

STĄPAJĄC MOCNO PO ZIEMI



RYSZARD KULIK

EKOZOFIA ZWYKŁEGO ŻYCIA

**STĄPAJĄC MOCNO PO ZIEMI**



# **STĄPAJĄC MOCNO PO ZIEMI**

**RYSZARD KULIK**

**EKOZOFIA ZWYKŁEGO ŻYCIA**

Opracowanie redakcyjne  
Krzysztof Petek

Opracowanie graficzne  
Studio WORD-PRESS

Projekt okładki  
Eta Zaręba

© Copyright by Ryszard Kulik 2013

ISBN 978-83-88605-21-5

Druk dofinansowano ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach  
w ramach projektu Klub Myśli Ekologicznej



Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Wydawnictwo WORD-PRESS 2013

# SPIIS TREŚCI

<b>Wprowadzenie</b>	9
Podstawy – filozofia i życie	13
Jak działa przyroda (i człowiek)?	14
Co jest naturalne?	19
Czy człowiek oddzielił się od przyrody?	22
Czym jest równowaga?	26
Czy bagno ma jakąś wartość?	30
Czy wilk jest moim bratem?	33
Czym jest antropocentryzm?	36
Czy biocentryzm jest groźny dla człowieka?	41
Czy możliwa jest integracja antropocentryzmu z biocentryzmem?	46
<b>Oblicza kryzysu</b>	51
Czy świat znajduje się w kryzysie?	52
Czy ludzkość znajduje się w kryzysie?	55
Dlaczego ludzie nie przyjmują do wiadomości, że jest tak źle?	59
Komu grozi wielkie wymieranie?	62
Czy przed powodzią trzeba się bronić?	65
Czy to dobrze, że dopada nas kryzys ekonomiczny?	69
O czym świadczą nasze lasy?	73

<b>Wojna z przyrodą</b>	77
Czy i dlaczego człowiek niszczy przyrodę?	78
Dlaczego walczymy z przyrodą?	81
Co jest złego w GMO?	86
Dlaczego ludzie polują?	92
Dlaczego ludzie boją się wilków?	96
Dlaczego rozjeżdżają...?	99
Dlaczego miejscowi nie chcą chronić tego, co mają u siebie?	103
O co chodzi w sporcie?	107
Dlaczego się z nas śmieją?	111
Kim jest ekoterrorysta?	115
<b>Ekonomia, polityka i współczesna kultura</b>	119
Czy współczesna ekonomia sprzyja ludziom i przyrodzie?	120
Ile to kosztuje?	124
Jak brzmi niewygodna prawda?	128
O co chodzi w rozrywce?	131
Kto jest Dobrodziejem przyrody?	136
Co może minister?	139
Czy podejście ekologiczne jest lewactwem?	143
Czy kobiety są bardziej proekologiczne?	147
Czy rozwój zrównoważony jest właściwą drogą?	152
Jaki sposób życia jest najlepszy dla przyrody?	156
Czy bieda może być dobra dla człowieka i przyrody?	161
<b>Punkt zwrotny</b>	167
Jak chronić przyrodę?	168
Co sprawia, że ludzie pomagają przyrodzie?	173
Czy ochrona środowiska jest problemem etycznym?	176
Co wynika z tego, że ochrona środowiska jest problemem etycznym?	181
Czym jest smutek po stracie?	185
Czy dobre chęci wystarczą?	189
Kim są Wojownicy Szambali?	192

Co jest normalne, co jest nienormalne?	195
Czy edukacja rozwiąże nasze problemy?	197
Na czym polega prawdziwa zmiana?	201
Na czym polega prawdziwa zmiana? Ciąg dalszy.	204
Co się musi stać, by człowiek zmienił swoje podejście do przyrody?	207
<b>Ku życiu</b>	213
Czy obszary chronione powinny być dostępne bez żadnych ograniczeń?	214
Jakie życie jest dobre?	217
Jakie życie jest dobre? Ciąg dalszy.	221
Jakich dróg potrzebujemy?	225
Jakiej energii potrzebujemy?	229
Czy wegetarianizm służy przyrodzie?	233
Kim jest ekolog?	237
<b>Natura największym nauczycielem</b>	241
Co mi daje dzika przyroda?	242
Czym jest kontrola?	245
Czym jest uważność?	250
Czy jest miejsce na duchowość w ochronie przyrody?	254
Zamiast zakończenia, czyli jak się to wszystko skończy	258





# Wprowadzenie

---

Dlaczego ludzie piszą książki?

Dlaczego inni chcą je czytać?

Nie miałem zamiaru napisania tej książki. Ale też nie mogłem jej nie napisać. W pewien mroźny wieczór 2001 roku w Białowieży podszedł do mnie Darek Matusiak, ówczesny prezes Pracowni na rzecz Wszystkich Istot i poprosił mnie o napisanie felietonu do miesięcznika „Dziki Życie”. Tak oto rozpoczęła się dla mnie wieloletnia przygoda z pisaniem krótkich esejów nawiązujących do tak zwanej mądrości ekologicznej – ekozo-fii, będącej podstawą filozofii głębokiej ekologii.

Ważną rolę w tej filozofii odgrywają pytania, które zadaje się sobie lub innym. Dobrze sformułowane pytanie jest jak snop światła, który rozświetla ciemne do tej pory miejsce. Pytania pozwalają wnikać w głąb problemów, ukazują je w szerszym kontekście i pozwalają budować pełniejszy obraz rzeczywistości. Ale zadawanie pytań na gruncie głębokiej ekologii nie jest wyłącznie zabiegiem intelektualnym. Nawiązuje w swej istocie do starożytnych koncepcji mądrościowych, które wykraczały poza intelektualny wymiar dociekań. Zarówno pytania jak i odpowiedzi w tym kontekście najlepiej znajdować na poziomie ciała. Tak właśnie jest z prezentowanymi tutaj tekstami. Są one bardziej „wychodzone” niż „przemysłane”. Stąpając twardo po ziemi, czując grunt pod stopami i będąc świadomym ruchu, znajduję wyraźny kontekst dla czegoś tak ulotnego jak myśli. Żeby przekonania, opinie, sądy i koncepcje nie odpłynęły w nierzeczywistość, muszą zostać zakorzenione w czymś tak dosłownym i konkretnym jak ziemia pod stopami. Z tej perspektywy sprawy nabierają właściwych proporcji, a rodzące się wnioski zyskują odpowiedni kontekst. „Wychodzone” i „uziemione” myśli stanowią główny składnik prezentowanych tekstów.

Zadając na początku pytanie, a następnie pisząc felieton, nie zastanawiam się, o czym on dokładnie będzie, jakie wątki podejmę czy jakich argumentów użyję. Siadając do pisania, nie mam gotowego planu, a kolejne akapity pojawiają się same, tak, jakby

były już ułożone przez kogoś wcześniej. Mogę powiedzieć, że to nie tyle ja napisałem te teksty, ale *się* je napisało.

Kim jest to *się*? Jest chodzeniem, patrzeniem, słuchaniem, przeżywaniem, smakowaniem... Jest nocą spędzoną w lesie pełnym dźwięków z rozgwieżdżonym niebem nad głową. Jest zapachem kwitnącej łąki w górskim lesie czy ryczeniem jelenia podczas rykowiska.

Przez wiele lat te doświadczenia zapisywały się w moim umyśle, ale też i ciele, i ostatecznie obrodziły tekstami, które tutaj zostały zebrane. Nie mogłem ich nie napisać – one pisały się same.

Tak czy owak w tych tekstach znajduje się wiele odniesień do faktów naukowych. Sam, będąc naukowcem, mam zwyczaj posługiwania się tego rodzaju informacjami po to, by zilustrować określone założenia czy wnioski. Wykorzystywanie nauki w kreśleniu obrazu świata jest obecnie niezwykle użyteczne i powszechne. Dowody naukowe pokazują, w jakim świecie żyjemy, jak go traktujemy i jakie są przyczyny oraz konsekwencje naszych działań. Obecnie dysponujemy ogromną ilością doniesień naukowych, które są jednoznacznie alarmujące – zarówno jeśli idzie o człowieka, jego cywilizację, jak i otaczający nas świat naturalny. Mimo to, nauka nie jest najważniejsza w tych rozważaniach. Dzisiaj bowiem mamy już wystarczająco wiele informacji, bardzo rzetelnych i wiarygodnych, by zdecydowanie zmienić w naszym życiu stosunek do samych siebie, do przyrody, do innych istot. By gruntownie przekształcić cywilizację, którą stworzyliśmy. Tak się jednak nie dzieje i to nie dlatego, że informacje są wadliwie skonstruowane. Przyczyna tkwi znacznie głębiej – w pewnym deficycie, w którym pozostajemy już od dłuższego czasu. Otóż brakuje nam głębszego wglądu w to, kim sami jesteśmy i jaki jest charakter życia planetarnego. Żadna nauka z właściwymi sobie narzędziami dochodzenia do prawdy nie potrafi na tak postawione pytania odpowiedzieć. Żaden, nawet najsprawniejszy intelekt, nie jest w stanie ogarnąć głębi tak postawionych pytań i w związku z tym udzielić adekwatnej odpowiedzi. Może też ona wcale nie musi być udzielona. A jednak ważne, by się pojawiła – w chodzeniu, patrzeniu, słuchaniu; w ciele, a nie tylko w głowie.

W moim przekonaniu na tym właśnie polega prawdziwa mądrość, która przekracza jednostkowe informacje, ale też i wiedzę, rozumianą jako całościowy zbiór informacji.

Taka mądrość nie jest niczym wielkim. Jest raczej czymś zwyczajnym, jest zakorzeniona w dosłowności każdego doświadczenia, w banalności tu i teraz, w tym, co jest. Patrząc na świat i siebie z takiej perspektywy, można zobaczyć z całą wyrazistością, jak bardzo na co dzień komplikujemy sobie życie, jak goniąc za iluzjami, prowokujemy cierpienie własne i innych, jak usilnie dążymy do czegoś, co już mamy i tak, jak umieramy z pragnienia, siedząc na brzegu rzeki. A przy tym wszystkim zabijamy świat, który ciągle widzimy jako oddzielony od nas samych.

Dlatego tak ważne jest przedarcie się przez zawieszony zasłonę iluzji i dotarcie do tego, co stanowi istotę naszych problemów.

Ta książka jest więc zapisem tego rodzaju codziennej praktyki, w której stąpanie mocno po ziemi staje się fundamentem budującej się ekozofii. A ekozofia jest zaproszeniem do działania, do zmiany własnego życia.

Niech więc głębokie pytania pozwolą nam stanąć mocno na ziemi i zobaczyć to, co jest!

*Łękawica, zima 2011 roku*



# **PODSTAWY – FILOZOFIA I ŻYCIE**

# Jak działa przyroda (i człowiek)?

---

Próba poznania i zrozumienia mechanizmów funkcjonowania przyrody wydaje się być zadaniem prawdziwie karkołomnym. Prawdopodobnie już od samego początku swego istnienia człowiek próbował odkryć tajemnice życia. Dzisiaj, po kilkuset latach wysiłków na polu nauki, większość z nas ma przeświadczenie, że wiemy bardzo dużo o funkcjonowaniu przyrody. Zobaczmy jednak, czy nasze przypuszczenia są uzasadnione. Obecnie opisano około 1,5 miliona gatunków. Ile może ich być faktycznie? Liczbę tę szacowano początkowo na 3-5 mln, ale w 1982 roku Terry Erwin – amerykański entomolog, określił tę liczbę na 30 mln. Wybitni ekolodzy, Paul Ehrlich i Edward Wilson w swoim artykule opublikowanym w Science niemal 10 lat później sugerują natomiast, że potencjalna liczba gatunków na Ziemi to nawet 90-100 mln. Wiele wskazuje na to, zakładając optymistycznie, że znamy zaledwie kilka procent gatunków zamieszkujących planetę. Nawet jednak gdybyśmy znali znacznie więcej gatunków, to wiedza ta i tak byłaby niewystarczająca, ponieważ istotne są procesy i relacje między gatunkami, a nie ich statyczny opis w oderwaniu od kontekstu. Sieć zależności między organizmami, gatunkami i środowiskiem fizycznym jest tak złożona, że poznanie jej w naukowy sposób prawdopodobnie jest niemożliwe. Rozpoznajemy więc pewne wycinki procesu, np. zależności między ofiarą i drapieżnikiem i na tej podstawie formułujemy bardziej lub mniej zaawansowane generalizacje. A gdzie wzajemne wpływy, jakie łączą ze sobą nie tylko poszczególne organizmy, ale też i fizyczne aspekty środowiska, jak stosunki wodne, nasłonecznienie, wiatry, temperatura powietrza, czy chemiczne profile gleby? Tych aspektów są setki, tysiące, a ich wzajemne powiązania bezpośrednio i pośrednio kreślą rysunek tak złożony, że nie ma na świecie komputera, który pozwoliłby ogarnąć i opisać ten układ. Wydaje się, że nawet nie jesteśmy w stanie uświadomić sobie własnej ignorancji, jeśli chodzi o zrozumienie fenomenu życia.

Dlatego tak ważne jest rozwijanie tej świadomości. Owo wielkie NIE WIEM jest gwarancją pokory, przezorności i umiarkowania w podejściu do świata. Leczy z arogancji

i przekonania, że jesteśmy na tym świecie panami i władcami, pod przewagą których wszyscy inni muszą ustąpić.

Tak czy owak próbujemy przybliżyć się do zrozumienia zasad, na jakich opiera się funkcjonowanie przyrody. Próbuje się też w oparciu o te zasady zrozumieć i ocenić działanie człowieka. Przynajmniej częściowo pozwala to nam na poznanie „instrukcji obsługi świata” i lepsze przystosowanie się do odkrytych prawideł, a ostatecznie do życia w jego całościowym wymiarze.

Najbardziej rozpowszechniony pogląd dotyczący funkcjonowania życia nawiązuje do teorii Darwina. Jego wyrazem są np. takie stwierdzenia: „agresja jest naturalną cechą wszystkiego, co żyje” oraz „wszystko walczy ze wszystkim”. Co ciekawe, zdania te nie tylko opisują świat przyrody, ale również można je odnieść do funkcjonowania ludzi. Współczesny system wolnorynkowy, który zdominował świat, w swych założeniach odwołuje się właśnie do darwinizmu.

Jakkolwiek mimo upływu lat teoria Darwina trzyma się nieźle, to problem dotyczy zakresu i poziomu refleksji, do której się odnosi. Dzisiaj już wiemy, głównie za sprawą Lynn Margulis – wybitnej mikrobiolog, że gatunki równie często (a nawet częściej) jak walczą, tak i współpracują. Np. dawno temu mitochondria dogadały się z komórkami i stworzyły z nimi zupełnie nowe istoty. Rośliny nagminnie współpracują z grzybami i dzięki temu pozyskują azot z powietrza; nie wspominając już o porostach, które są miłosnym związkiem glonów i grzybów. Oczywiście niezależnie od tego, czy u podstawy jest walka czy współpraca, organizmy zachowują się oportunistycznie, korzystając z każdej nadarzającej się okazji. To, co obserwujemy, jest zatem wypadkową tych jednostkowych interesów. Ta wojna i współpraca na dole manifestuje się jako równowaga i harmonia na górze. Podobnie możemy powiedzieć, że wdech walczy z wydechem (i vice versa), ale ostatecznie prowadzi to do procesu oddychania, który jako zjawisko z wyższego poziomu opisujemy w kategoriach równowagi pomiędzy przeciwstawnymi sobie aspektami. Na podobnej zasadzie możemy powiedzieć, że wilki opiekują się sarnami, polując na nie. To, co z punktu widzenia organizmu jest bezwzględną wojną, gdzie cierpienie ofiary miesza się z bezwzględnością oprawcy, z perspektywy całości jest harmonią i równowagą. Przyroda jako całość (i ożywiona, i nieożywiona) charakteryzuje się dynamicznym i zmiennym



oscylowaniem wokół domniemanego punktu równowagi.

Człowiek oczywiście podlega tym samym prawidłom. Natura wyposażyla naszych przodków w takie narzędzia (jakkolwiek skromne), które gwarantowały możliwość przetrwania w środowisku charakteryzującym się względnym niedoborem. W przyrodzie prawdopodobnie rzadko, o ile w ogóle, zdarzają się sytuacje optymalne, bo albo czyha jakiś drapieżnik, albo pożywienia jest mało, albo konkurent jest lepszy, albo inne czynniki środowiskowe jakoś nie sprzyjają. Może dlatego, gdy nadarza się dobra okazja, każdy organizm będzie maksymalizował swoje zasoby do oporu. Wirusy tak się namnożą, że zaatakowany przez nie organizm umrze, kornik będzie w stanie „zjeść” cały świerkowy las, a sarny wyjedzą cały podrost i las się nie odnowi. Takie optymalne warunki zawsze jednak kończą się katastrofą dla beneficjenta. Na tym polega paradoks: życie jak ognia unika sytuacji optymalnych czyli skrajnych, bo w swej istocie stworzone jest do warunków względnego niedoboru opartego o równowagę przeciwstawnych sił.

My, ludzie, zdołaliśmy stworzyć świat, który jest bliski warunkom optymalnym. Na nasze nieszczęście! Mamy np. w bród wysokokalorycznego jedzenia i nie potrafimy się powstrzymać. Objadamy się i tyjemy nieprzyzwoicie, ponieważ całe nasze ciało jest nastawione na życie w warunkach niedoboru, więc gdy jedzenia jest dostatek, trzeba jeść ile się da i robić zapasy (tłuszczowe) na chude, czyli normalne lata. Podobnie jest z gromadzeniem różnych dóbr, pieniędzy, budowaniem dużych domów, czy tworzeniem takich warunków, w których możemy leżeć brzuchem do góry i nic nie robić. To wszystko paradoksalnie jest ekologiczne, ponieważ wpisuje się w nakreślony przez naturę sposób funkcjonowania. Tak, w ten sposób rozumiana ekologia (jako podążanie za głosem natury) jest „antyeologiczna” jak widać. Można powiedzieć, że degradujemy ten świat, ponieważ nie mamy innego wyboru – tak zostaliśmy zaprogramowani. W końcu sama natura tak chciała. Czyżby?

Skoro jesteśmy jednak częścią przyrody, to jak potraktować „antyeologiczne” próby powstrzymania samych siebie? Będąc konsekwentnym, trzeba by powiedzieć, że są one takim samym wynalazkiem natury, jak wszczepiona nam tendencja do nieograniczonej ekspansji. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że ten wynalazek wydaje się być koniecznym dopełnieniem jednostronnego, naturalnego podejścia w warunkach, w których zamieni-

liśmy to, co oparte na niedoborze, na to, co jest optymalne. To tak, jakby natura chciała nam powiedzieć: jeśli decydujecie się na warunki optymalne, to zaszczeplam wam tendencję do samoograniczania się, by zachować równowagę. Wszystko bowiem ma (i musi mieć) swoją drugą stronę.

Oczywiście jest mnóstwo dowodów świadczących o tym, że nie potrafimy się pohamować. Od tragicznej historii społeczności na Wyspie Wielkanocnej, która po wyczerpaniu się zasobów pogrążyła się w chaosie i upadku, po naszą cywilizację z nieokiełznaną konsumpcją i rozpasaniem. Na szczęście jednak są od tej tendencji wyjątki. Wprawdzie ciągle jeszcze nieliczne, ale tym bardziej należy je eksponować. Otóż mieszkańcy jemeńskiej wyspy Sokotra od wieków praktykują różnego rodzaju samoograniczające sposoby gospodarowania (np. wypasu bydła), które pozwalają utrzymać delikatną równowagę ekosystemu. Mimo, że jedzenia mamy nadmiar, to nie wszyscy zajadamy się słodkimi i tłustymi „śmieciami”. Mimo, że niektórzy z nas mogliby mieć jeszcze lepsze samochody, komputery, domy i telewizory, to przynajmniej część z nas zadowala się tym, co ma. Część z nas też woli chodzić na własnych nogach niż wozić się wyciągami albo woli spać pod gołym niebem czy namiotem niż w górskim hotelu. Są też ludzie (np. mnisi), którzy z własnego wyboru żyją bardzo skromnie, poświęcając się zupełnie wydawałoby się niepraktycznym zajęciom. Z pewnej ograniczonej perspektywy te wszystkie zachowania są „antyekologiczne”, bo powinniśmy się nie przejmować i używać do woli tak, jak robią to wszystkie organizmy na Ziemi.

Ale natura na szczęście dała nam jeszcze jeden wynalazek, który ułatwia owo samoograniczanie się. Jest nim świadomość. Prawdopodobnie jako jedyni na tej planecie potrafimy przewidywać długofalowe konsekwencje własnych działań, potrafimy też spojrzeć na siebie z pewnej perspektywy i dystansu. Jeśli więc próbujemy wszystko sprowadzić do oportunistycznego, to w przypadku człowieka z pewnością jest to nadużycie i niebezpieczny redukcjonizm. Mamy tę przewagę nad wirusami atakującymi organizm, że widzimy, że jesteśmy w stanie wykończyć swojego żywiciela i w ten sposób unicestwić samych siebie. Dlatego podejmujemy wysiłek samoograniczenia. Chcemy „wykroić kawałek swego poślada i dać go głodnemu sępowi”, jak uczynił to pewien „nieekologiczny” mnich w buddyjskiej przypowieści. Tę historię rozumiem jako metaforę naszego bycia

w świecie, gdzie musimy nauczyć się brać mniej po to, by samemu przetrwać. Może to też jest jakiś rodzaj oportunistu, ale jeśli tak, to bardzo wyrafinowanego, który pozwala jednocześnie zadbać o całość.

Ta walka samym z sobą wydaje się niezwykle trudna, wręcz heroiczna, dlatego to podejście jest elitarne. Paradoks polega na tym, że stworzyliśmy cywilizację, by pławić się w dobrobycie i raz na zawsze skończyć z niedoborem i dzisiaj musimy przekonywać siebie, jak ważne jest mimo wszystko utrzymanie tego niedoboru, tym razem jednak siłą własnej woli.

Co jest trudniejsze: kiedy ogranicza nas środowisko, czy kiedy sami musimy się ograniczyć?

I co się stanie, gdy nie zdołamy tego zrobić (a wiele wskazuje na to, że nie zdołamy w skali globalnej)? Natura na szczęście ma pomysł na takich śmiałków. Zachwiania równowagi są naturalnymi procesami, a ci, którzy nadmiernie przechylają wahadło, stają się ofiarami własnej zachłanności. Wiele bajek, mitów i legend oparte jest na tym schemacie, przestrzegając nas przed pójściem za daleko. Na tym polega mądrość równowagi i harmonii w wymiarze absolutnym.

Ta mądrość, która wyraża się w świadomości ekologicznej, może jest takim samym wynalazkiem natury jak skrzydła ptaków czy zdolność fotosyntezy u roślin. Jest wynalazkiem, który służy naszemu lepszemu przystosowaniu, a ostatecznie przetrwaniu. To przystosowanie rozumiane jest jednak w sposób szczególny jako wycofywanie się z dominującej pozycji w ekosystemie, jako działanie, w którym rezygnujemy z nadmiernej kontroli i eksploatacji środowiska.

# Co jest naturalne?

---

Siedzę przed biurkiem, na którym stoi komputer. Biurko jest drewniane, czyli naturalne; komputer ma sporo części z tworzywa sztucznego. Sztucznego, zatem nienaturalnego. Wokół mnie jest mnóstwo sprzętów, które mógłbym rozdzielić do tych dwóch kategorii, podobnie zresztą jak jedzenie (np. kasza jest naturalna, a coca cola już mniej), określone środowiska (np. las naturalny i miasto) czy nawet style życia i działania w świecie (np. rolnictwo ekologiczne i przemysłowe).

Nawet, jeżeli czasami trudno się nam w tym połapać, intuicyjnie czujemy, co jest bardziej naturalne, a co mniej. Bo naturalne jest to, co nie zostało zmienione przez człowieka, jest pierwotne, dzikie, nieprzetworzone, pozbawione naszej ingerencji. Cywilizacja oraz towarzysząca jej kultura sprawiają, że naturalny świat zostaje przekształcony i taki, już z ludzkim piętnem, nabiera cech sztuczności. Mimo, że większość z nas żyje w miastach i lubi otaczać się luksusem, wygodą i nienaturalnym środowiskiem, podświadomie, a nawet coraz częściej świadomie tęsknimy za tym, co naturalne: mlekiem prosto od krowy, zapachem siana, szumem wiatru w koronach drzew, widokiem gór pozbawionych dróg, wyciągów i linii wysokiego napięcia czy obmyciem twarzy w czystym górskim strumieniu. Tęsknimy ostatecznie za prostotą życia, za zwykłym byciem bez specjalnych zabiegów, za życiem pozbawionym gonienia za nie wiadomo czym. Tęsknimy za naturalnością, która kojarzy się nam z podstawową mądrością czy niewinnością.

Tak oto wytyczamy w świecie wyraźną granicę między tym, co naturalne i nienaturalne. I jednocześnie sami wrzucamy się w tę część, którą definiujemy jako nienaturalną, bo przecież ingerując w coś, zmieniając czy tworząc, sprawiamy, że to, co było naturalne (pierwotne), staje się sztuczne. Mimo, że często jesteśmy dumni z tego, co wyszło spod naszych rąk, to jednak towarzyszy nam tutaj też jakieś poczucie winy. Widzimy przecież, że nasz świat jest coraz bardziej sztuczny, czyli taki, jaki być nie powinien.

Tak czy owak, jeśli przyjrzymy się dokładnie tym wszystkim nienaturalnym rzeczom, to okaże się, że powstały one z *naturalnych* surowców. Nawet worki foliowe, które są

synonimem sztuczności, zostały wyprodukowane na bazie związków pochodzących z ropy naftowej, która przecież jest jak najbardziej naturalnym produktem. Przypisując sobie i produkowanym przez nas rzeczom atrybut sztuczności, faktycznie stawiamy się poza światem, który istnieje. To tak, jakbyśmy nie należeli do niego na równi z innymi istotami. To tak, jakbyśmy byli jakimiś dziwnymi stworami, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Czy zatem żyjemy wszyscy w jednym świecie, czy może są dwa światy – ludzki, sztuczny i ten naturalny?

Oczywiście świat jest jeden! I w tym sensie nic mu nie grozi, bo to, co jest w nim z pozoru nienaturalne, jest jak najbardziej naturalne. Efekt cieplarniany wywołany przez człowieka jest tak samo naturalny, jak cykle aktywności słońca, które mogą spowodować wzrost temperatury. Wybuch bomby atomowej w jakimś konflikcie byłby tak samo naturalny jak uderzenie w ziemię jakiegoś niewielkiego kawałka materii kosmicznej. Wejście lodowca do Europy było kiedyś tak samo naturalnie zabójcze dla życia jak obecnie nasze, ludzkie działania w świecie. Wszystkie te czynniki są częścią jednego procesu, którego z perspektywy życia jako całości nie da się rozdzielać i wartościować.

Ale tak samo oczywiste jest, że świat nie jest jeden! Widać to przecież na każdym kroku: to, że jeździmy samochodami i musimy ciągle budować nowe drogi nie jest naturalne; naturalne jest to, że mamy dwie nogi do chodzenia, tak jak ptaki mają skrzydła do latania. Widzimy też, że nasze nienaturalne działania powodują coraz więcej negatywnych skutków dla całego świata, w tym również dla nas. Dlatego palącą potrzebą jest unikanie jak się da tych wszystkich nienaturalnych rzeczy i powrót do tego, co naturalne. Powrót do natury rozumianej jako część świata pozbawiona ingerencji, wpływu człowieka. Zawsze jednak będzie to część świata, a nie cały świat.

Jak więc pogodzić te dwa sprzeczne stanowiska?

Na poziomie naszego logicznego umysłu ta sztuka skazana jest z góry na absolutne niepowodzenie. Bo nasz umysł sam jest podzielony i z taką matrycą czy filtrem zawsze będziemy spostrzegać świat stronniczo, co w tym przypadku oznacza skłonność do projektowania podziałów i widzenia świata w kategoriach dualistycznych jako naturalnego i nienaturalnego. Ale przecież umysł i jego funkcje też są dziełem natury!

Dlatego właśnie trzeba tutaj powiedzieć tak, że oba te stanowiska są równie prawdziwe. Rzeczywistość jest jedna i niepodzielona, ale też jednocześnie jest dualistyczna. I jeszcze trzeba dodać, że nie jest ani taka ani taka.

Jaka zatem?

NIE WIEM.

# Czy człowiek oddzielił się od przyrody?

---

Za oknem jesienny chłód; wiatr zawiewa liście, a powietrze przesiąknięte wilgocią wydaje się jeszcze chłodniejsze. Zapada zmrok. Ale nie tutaj, gdzie jestem. W moim pokoju, gdzie teraz przesiaduję, warunki są niezmiennie: zawsze jest odpowiednio jasno, sucho i ciepło. Komfortowo i niezależnie. Ludzkość od tysięcy lat pracowała na to, bym między innymi ja dzisiaj mógł rozkoszować się tą bańką niezależności. Siedząc tutaj – czyż mogę mieć jakiegokolwiek wątpliwości, czy jestem oddzielony od przyrody, czy nie?

Ale zaraz, przecież wiele zwierząt próbuje w podobny sposób chronić siebie przed zmiennością warunków zewnętrznych. Takie, przykładowo bobry, budują żeremia, w których mogą bezpiecznie schronić się przed różnymi zagrożeniami świata. Czyż nie jesteśmy podobni do bobrów? Czy budowanie schronień ma rzeczywiście świadczyć o oddzieleniu?

Gdy przyjrzymy się budowli bobra, okaże się jednak, że jest to twór tzw. ekologiczny. Wykonany jest bowiem całkowicie z materiałów naturalnych. Inaczej mówiąc, żeremia są naturalną częścią środowiska, jak sam bóbr zresztą. W tym znaczeniu moja siedziba różni się od bobrzej zasadniczo. Jest tu sporo szkła, metalu, plastiku, które nie pasują do tej naturalnej układanki. Ale czy na pewno? Skąd pochodzą rzeczy znajdujące się w moim pokoju? Oczywiście, że kupiłem je w jakimś sklepie, ale trafiły tam one z fabryki, która wyprodukowała je z różnych surowców. Czy te surowce pochodzą z jakiejś innej planety? Czy są nieziemskie? Oczywiście wszystkie mają swoje źródło w ziemskich surowcach. W tym sensie wokół mnie nie ma niczego, co byłoby nienaturalne. I bóbr i ja jesteśmy jak najbardziej częścią natury. My, ludzie, nie jesteśmy oddzieleni.

Ale czy na pewno? Co się stanie po wielu latach z żeremiem bobra? Jeśli zostanie opuszczone, to stopniowo budujące je gałązki zamienią się za sprawą wody, słońca, powietrza i wielu organizmów w coś, co zostanie powtórnie wykorzystane na wiele różnych sposobów przez świat żywy. A co się stanie z moim komputerem? Przez kogo i na co zostanie rozłożony? Gdybym go nie daj boże wyrzucił do lasu, to w wielkiej samotności

dogorywałyby swych późnych lat. Żaden organizm, nawet coś tak niepozornego i mało wymagającego jak bakteria, nie byłby nim zainteresowany. Mój komputer, jak i większość sprzętów wokół mnie, to prawdziwie obcy przybysze. Tak obcy i oddzieleni jak jego właściciel.

Thích Nhất Hạnh, mnich buddyjski, pisał kiedyś, że patrząc głęboko w różę, można dostrzec stertę kompostu, w którą róża za jakiś czas się zamieni. Patrząc zaś w kompost można dostrzec różę, która z tej sterty odpadków w końcu wykiełkuje. Kompost i róża współistnieją ze sobą na równi z całym organicznym i nieorganicznym światem.

Gdy spojrzę głęboko w plastikowe przedmioty, których jest mnóstwo wokół mnie, to przez długi czas nie zobaczę tam nic. Dopiero po wielu, wielu latach wykiełkuje z nich jakaś róża. Nasz ludzki świat jest prawdziwie obcy i w naprawdę małym stopniu współistniejący z przyrodą. I my sami też tacy jesteśmy.

Oczywiście nie zmienia to w żadnym razie podstawowych faktów: żyjemy na planecie zwanej Ziemia, jesteśmy zwierzętami, ssakami i razem z wieloma naszymi zwierzęcymi i roślinnymi krewnymi dzielimy ten sam wzorzec życia. Po naszej śmierci pojawi się mnóstwo istot, które będą żywo zainteresowane, by skorzystać z naszych martwych tkanek i na powrót włączyć nas w obieg energii – materii. Tak naprawdę nie trzeba nawet czekać do naszej śmierci, bowiem każdy nasz oddech jest pieśnią współistnienia. Żyjemy, bo żyją wszyscy inni. Nawet komary, kleszcze i wirusy są włączone w misterną sieć naszych zależności ze światem. Nie jest i nie może być inaczej. Nie jesteśmy oddzieleni!

A jednak na swoich sztandarach niesiemy program oddzielenia od przyrody, który mozolnie (i z sukcesem) realizujemy w cywilizacyjnym pochodzie. Ten program miał rzekomo zabezpieczyć nas przed tym, co najbardziej tajemnicze i nieprzewidywalne, czyli przed śmiercią, a raczej przed lękiem przed śmiercią. Ostatecznie sprawił, że na własną prośbę staliśmy się wyrzutkami samotnie dryfującymi w oceanie życia.

Koszty są ogromne. Nasze zagubienie i pomieszenie osiąga niewyobrażalne rozmiary. Jak żyć? Co jeść? Co robić? Zwierzęta nie mają takich dylematów. Podążając za głosem natury, za mądrością procesu ewolucji, wiedzą, co mają jeść, kogo unikać, jak przetrwać zimę, jak wychować potomstwo czy jak zbudować gniazdo. My, ludzie, przebieramy w koncepcjach i ideach, zakładając, że wiemy lepiej, że da się to wymyślić. Odcięliśmy się



od tej przyrodzonej naturalnej mądrości i zaczęliśmy kombinować. I jakkolwiek staramy się zachować twarz, to popełniamy wiele błędów i ciągle jesteśmy niepewni. Jednocześnie, jakby na przekór, udajemy przed sobą, że to wyłącznie my, ludzie, mamy rację. Kurczowo, a nawet bałwochwalczo trzymamy się wiedzy i technologii, która ma nas zbawić, ale po prawdzie oddziela nas jeszcze bardziej od przyrody.

Wystarczy spojrzeć na to, co jemy. Ile jest w tym pomieszania. Ile diet, pomysłów. Widać też wyraźnie, że im bardziej jedzenie jest ucywilizowane, czyli przetworzone, tym więcej mamy kłopotów ze zdrowiem i środowiskiem. A sprawa wydaje się być bardzo prosta. W świecie współlistnienia i współzależności nasze ludzkie dylematy są po prostu śmieszne.

Oczywiście, że nie jesteśmy oddzieleni, ale z jakiegoś powodu uwierzyliśmy, że tak właśnie jest i jakąś siłą inercji turlamy się na złamanie karku. To tragiczne doświadczenie zawarte jest chyba we wszystkich religiach, jakie wymyślił człowiek. Grzech pierworodny, wygnanie z raju, zerwana więź z Bogiem są naszym uniwersalnym dziedzictwem. Oddzielenie jest charakterystyczną cechą naszej ludzkiej kondycji. A przekroczenie oddzielenia stanowi bodaj naszą najbardziej pierwotną tęsknotę. Dlatego większość religii po śmierci obiecuje ponowne połączenie się z Bogiem, bądź rzeczywistością, w której nie ma miejsca na jakiegokolwiek oddzielenie.

Tak czy owak nie trzeba czekać do swojej śmierci, by ten zbawienny proces się dokonał. Swoją drogą, to swoisty paradoks: to, co staraliśmy się wyrzucić poza nawias naszego doświadczenia, czyli śmierć, i co spowodowało nasze oddzielenie, ostatecznie staje się dla nas ratunkiem i powrotem do jedności świata. Nieuchronność śmierci jest ostatecznym zerwaniem iluzji oddzielenia. W wymiarze cielesnym wracamy do obiegu materii-energii. W wymiarze duchowym mamy połączyć się z Absolutem.

Ale, raz jeszcze, nie trzeba czekać do swojej śmierci. Już teraz można być mniej oddzielnym niż bardziej. Ufając swemu ciału, podążając za swoją intuicją, można powrócić do tego, co naturalne. Dzieje się to właściwie samo w procesie stopniowego poszerzania własnej tożsamości. To poszerzanie jest niczym innym, jak odkrywaniem własnych związków, powiązań i zależności z całym żywym światem. Jest olśniewającym przeżyciem współlistnienia.

To wtedy pojawia się nasz naturalny stan – spokojny umysł, który pozwala w końcu poczuć się tutaj jak u siebie w domu. Bez walki, bez jakiegoś ciągłego zmagania się, bez niepewności i doskwierającego poczucia samotności zaczynamy żyć tak po prostu.

Nie chodzi tu o jakąś nową lub starą koncepcję. Nie chodzi o jakiś powrót do natury. Chodzi o coś tak prostego i organicznego jak napić się wody z czystego źródła. I tyle. Każde kolejne słowo jest już nie na miejscu.

# Czym jest równowaga?

---

Wszystko ma swoją drugą stronę. Drugą stroną dnia jest noc, drugą stroną wdechu jest wydech, drugą stroną życia jest śmierć. Po drugiej stronie postępu cywilizacyjnego, czyli czystych, pachnących mieszkań, dobrobytu i dostatku są góry śmieci, wymierające gatunki czy ludzie, którzy umierają z głodu.

Jakkolwiek druga strona jest przeciwieństwem pierwszej, to obie są ze sobą ściśle związane i wzajemnie od siebie zależą. Jedna nie istnieje bez drugiej; nie można jednej strony wymazać, bo wtedy ostatecznie znika całość. Gdy zaś będziemy starali się wzmacniać tylko jedną stronę, to ryzykujemy, że również i druga będzie rosta w siłę. Tak oto żyjemy w świecie, który skazany jest na równowagę.

Równowaga jawi się jako podstawowa natura wszechrzeczy niezależnie od poziomu, na który zwracamy uwagę. Dotyczy bowiem w takim samym stopniu cząstek elementarnych, funkcjonowania organizmu, zjawisk społecznych czy ruchu galaktyk. Przeciwnieństwa dążą do siebie, próbują się uzupełnić i dopełnić, gdyż same w sobie faktycznie nie istnieją. Temu procesowi nieustannie towarzyszy ruch, który jest narzędziem równowagi. To właśnie za jego przyczyną wszystko, co istnieje, nieustannie się zmienia i dąży do idealnego punktu, którego nigdy nie da się osiągnąć. Bowiem równowaga nie tyle jest punktem, ideałem, ile ciągłym balansowaniem wokół tego punktu. Równoważąca się jedność jest nieustannie pulsującym tańcem wszystkiego, jest bijącym sercem kosmosu, jest oddechem samego Boga.

Co wynika z tych wszystkich dość abstrakcyjnych rozważań?

Otóż my, ludzie, mamy problem z dostrzeganiem tej jednoczącej przeciwności siły, która jest odzwierciedleniem mądrości procesu. Próbuje się za wszelką cenę oddzielać jedno od drugiego i boleśnie kawałkujemy rzeczywistość, przywiązując się nadmiernie do jednego z biegunów całości. Widać to wyraźnie na przykładzie gospodarowania w lasach. Zmorą leśników są tzw. szkodniki, z którymi próbują bezpardonowo walczyć. Ale dzisiaj już wiemy, co stałoby się, gdybyśmy wygrali tę wojnę. Las bez tzw. szkodników byłby

martwym lasem, ponieważ zabrakłoby w nim ostatecznie wielu organizmów związanych z tymi, które wytępiłimy. Tam, gdzie maleje bioróżnorodność, tam lasy stają się słabe i stopniowo zamierają. Podobnie jest z naszym organizmem. Gdyby udało się nam pozabijać wszystkie drobnoustroje mieszkające na powierzchni naszej skóry, czy wewnątrz naszego ciała, niechybnie skończyłoby się to dla nas poważną chorobą. Ostatnio lekarze zajmujący się astmą biją na alarm, ponieważ choroba ta zbiera swoje żniwo szczególnie w bogatych społeczeństwach, w których ludzie skutecznie mogą chronić siebie przed „obcymi” drobnoustrojami. Tak dobrze potrafimy dezynfekować swoją przestrzeń życia, że nasz system immunologiczny, który potrzebuje owej drugiej strony, zaczyna głupieć i ostrze swej broni kieruje wobec niewinnych zupełnie składników naszego świata. Profilaktyka astmy w tym przypadku brzmi dość paradoksalnie: jeśli dziecko ma infekcje w pierwszym roku życia, to dobrze; jeśli często kontaktuje się z psami i kotami – to dobrze, jeśli zbyt często **nie** myje rąk, to dobrze!

Krótko mówiąc: to, przed czym uciekasz – dogoni cię. Jeśli próbujesz z czymś walczyć, chcąc to osłabić lub wyeliminować – wzmacniasz to. Jeżeli kultywujesz w sobie tylko jedną stronę, to, co jest po drugiej, też rośnie w siłę. Im lepiej sobie radzisz, tym poważniejsze konsekwencje mogą cię spotkać. Im jesteś silniejszy, tym jesteś słabszy.

Dzisiaj wydaje się, że poprzez rozwój cywilizacyjny jesteśmy bardzo silni i skuteczni. Ale zobaczmy, na jakich glinianych nogach stoi ten kolos. Gdyby nagle, na kilka dni zaledwie, zabrakło prądu, nasz świat pogrążyłby się w niespotykanym chaosie. Dzisiaj całe nasze życie zależy od komputerów, telefonów i gniazdka z prądem. Zobaczmy, jak niezwykle wrażliwi i słabi jesteśmy z tymi naszymi wszystkimi podpórkami, od których się uzależniliśmy i bez których nie potrafimy już żyć.

Im bardziej wyrafinowane urządzenia produkujemy, tym łatwiej można je zepsuć. Jednocześnie stopień skomplikowania naszego życia osiągnął takie rozmiary, że naprawdę coraz trudniej się w tym połapać. Kiedyś życie było złożone i jednocześnie proste. Dzisiaj jest skomplikowane i jednocześnie coraz mniej złożone (patrz zanikająca bioróżnorodność).

A my w tym wszystkim stajemy się coraz bardziej wrażliwi i słabi, jak komputery, które co trochę się zawieszają.

Nasi przodkowie jeszcze kilkaset lat temu świetnie znosili zimno, choroby i niewygody życia. Oczywiście żyli krócej niż my obecnie, ale generalnie lepiej radzili sobie z przeciwnościami losu. Dzisiaj, gdy w mieszkaniach temperatura spada do 16 stopni, podnosi się alarm, bo ludzie ledwo mogą to wytrzymać. Nasz organizm staje się coraz bardziej kruchym naczyniem, które nie jest w stanie poradzić sobie bez tabletek i różnych poprawiaczy nastroju. Tak właśnie wygląda ciemna strona naszego świata, w którym chcemy dostrzegać i kreować tylko to, co ma nas doprowadzić do świetlanej przyszłości. Zabiegając o to za wszelką cenę, od razu, niejako z definicji skazujemy się na porażkę.

Czego chcemy, do czego dążymy? Nie rozwodząc się nad tym zbytnio, powiedzmy to wprost: naszym pragnieniem jest stan totalnej nierównowagi. Bogactwo, luksus, łatwe życie, niekończąca się szczęśliwość. To wszystko jest dramatyczną próbą utrzymania wahadła w jednym tylko położeniu, zatrzymania go, uczynienia z jego ruchu pokracznej niezmienności, w dodatku wychylonej tylko w jedną stronę. Ta nierównowaga wypisana jest na sztandarach wszystkich partii politycznych, ale też i każdego z nas z osobna. Konsekwencją tej nierównowagi jest spychanie w niebyt dzikiego świata, który stanowi przeciwieństwo naszej cywilizacji. I nie zmieni tego faktu nawet wpisanie w konstytucję naszego kraju zasady zrównoważonego rozwoju. Bo póki co jest to raczej magiczne zaklęcie, martwa litera, za którą nie idzie nic.

Ci, co starają się dzisiaj mówić o rzeczywistej równowadze, spostrzegani są jako szaleńcy albo nawet terroryści, którzy zagrażają porządkowi współczesnego świata. I poniekąd taka ocena jest uzasadniona. Bo jeżeli nasz świat jest skrajnie nierównoważony, to stan równowagi jawi się z takiej perspektywy jako skrajny punkt, który jest antytezą stanu obecnego.

Inaczej mówiąc, niewybredne ataki na ekologów, którzy próbują namawiać nas do równowagi, w całej okazałości obnażają skrajną nierównowagę atakujących. Tak oto, równowaga, normalność, złoty środek i harmonia stają się niebezpiecznymi, rewolucyjnymi postulatami, które mogą przewrócić obecny porządek. A jest się czego bać, bo zrównoważony świat na pewno wyglądałby inaczej niż obecnie. Nie da się utrzymać takiego świata, jaki znamy i osiągnąć jednocześnie punktu równowagi. Równowaga oznacza dla nas radykalną zmianę obecnego stanu rzeczy!

Prawdopodobnie jednak w wymiarze społecznym do tej rewolucji w najbliższym czasie nie dojdzie, bo główny nurt cywilizacyjny jest zbyt silny (choć z drugiej strony może właśnie to będzie dla niego gwoździem do trumny). Tak czy owak, dlatego tak ważne wydaje się zadbanie o siebie, co w tym przypadku oznacza złapanie wewnętrznej równowagi, która też ostatecznie okazuje się być zbawienna dla wszystkich i wszystkiego wokół nas.

Jak zrównoważyć swoje życie? Oto jest wielkie i właściwie zadane pytanie!

Trzeba przede wszystkim uważnie wsłuchiwać się w siebie i swoje ciało, ale też wsłuchiwać się w to, co mówią do nas lasy, chmury, rzeki, wilki czy góry. Tam ciągle jeszcze możemy usłyszeć pieśń równowagi, magiczne brzmienie całego wszechświata.

A co z naszym światem? Jakkolwiek, póki co, nie zapowiada się rewolucja społeczna, to prędzej czy później doświadczymy rewolucyjnego przesilenia. Ono już rośnie, niezmiennie zasilane bezwzględny parciem cywilizacyjnym, choć dla niektórych trudno je dostrzec, ponieważ znajduje się w cieniu głównego nurtu.

Ale nie ma innej drogi: prawo równowagi w końcu zrobi porządek z naszym światem, czy nam się to będzie podobać, czy nie.

# Czy bagno ma jakąś wartość?

---

Przy okazji konfliktu o Dolinę Rospudy w 2007 roku, wielokrotnie spotykaliśmy się z deprecjonowaniem wartości przyrodniczych rzeczonyj doliny. Mówiono nam, że bronimy jakichś mało znaczących żabek, roślinek czy ptaszków, co sugerowało, że torfowisko nad Rospudą jest zwykłym bajorem, które nie może równać się z prawdziwymi wartościami – ludzkimi. Powyższa argumentacja była obliczona przede wszystkim na dowartościowanie ludzkiego aspektu sprawy (dobrostanu mieszkańców Augustowa) poprzez umniejszanie wartości konkurencyjnego aspektu, czyli przyrody. Krótko mówiąc, Augustowianie nie mogli przyznać, że mają niedaleko miasta coś prawdziwie cennego, bo to zdecydowanie osłabiłoby ich koronny argument odwołujący się do prawa do życia bezpiecznego i wolnego od spalin. Ale pomińmy tutaj ten wątek, gdyż w całym konflikcie pojawił się też zupełnie inny, dużo poważniejszy problem.

Otóż, jak można bronić czegoś, co jest w istocie bezwartościowe? Co nam bowiem po tym torfie, którego przecież i tak nie będziemy pozyskiwać? Co nam po tych storczykach, które nie dość, że niepozorne i mało efektowne, to do tego jeszcze stosunkowo niedostępne, bo teren podmokły? Co nam nawet po tym orliku krzykliwym, skądinąd sympatycznym ptaszku, ale co nam przyjdzie z jego istnienia? W wielu innych miejscach go nie ma i jakoś nic się nie stało. Ludzie dalej żyją, tak jak żyli. Świat się nie zawalił. Nawet więc, gdybyśmy stracili Dolinę Rospudy, to czy będzie to jakaś katastrofa? O co chodzi tym wszystkim zielonym, którzy tak się zawzięli? Trzeba być chyba naprawdę nienormalną osobą, żeby stawać w obronie czegoś tak mało znaczącego.

Torfowiska nie mają i nigdy nie miały dobrej opinii, w odróżnieniu od innych środowisk, które podziwiamy i które traktujemy jako piękne i przyjazne. Bagna były pierwszymi ekosystemami, które człowiek próbował zmieniać. Wydawały się zupełnie bezużyteczne, więc osuszano je i zakładano na nich pastwiska. Tam, gdzie mokradła, bagna i torfowiska pozostały nietknięte, traktowano je jako tereny bezwartościowe, a nawet niebezpieczne i złe. Nie można było po nich spacerować, były trudno dostępne i jakieś złowieszcze. Za-

legająca woda była środowiskiem wylęgania się różnego rodzaju paskudztwa, któremu człowiek nigdy nie sprzyjał. Nieprzypadkowo więc w ludowych wierzeniach i przypowieściach bagna jawią się jako miejsca, których należy unikać. W ich zakamarkach czały się zwykle jakieś złe i nieczyste duchy: utopce i topielice. Utopiec w mitologii słowiańskiej był demonem wodnym lęgnącym się z dusz niektórych topielców – zazwyczaj ludzi, którzy popełnili samobójstwo. Utopiec zawsze stara się szkodzić ludziom.

Zatem torfowiska w powszechnej świadomości są nie tylko miejscami bez wartości, ale też należy trzymać się od nich z daleka, a przy nadarzającej się okazji trzeba próbować je osuszyć tak, by był z nich jakiś pożytek.

W tym całym myśleniu uwidacznia się bardzo wulgarny i wąsko pojmowany antropocentryzm. Gdybyśmy pozwolili mu w pełni dojść do głosu, prawdopodobnie już by nas dzisiaj nie było. To bardzo krótkowzroczne i powierzchowne podejście zakłada bowiem, że świat złożony jest z oddzielnych elementów, które są od siebie względnie niezależne. Są więc ludzie i jest jakaś przyroda. Są wilki, torfowiska, storczyki, orły, drzewa, no i ludzie – z drugiej strony. Ale między tymi dwoma światami jest przepaść i obcość. Mało tego, często świat przyrody spostrzega się jako nieprzyjazny i zagrażający człowiekowi. Z tego właśnie powodu wydaje się, że bezkarnie możemy, a nawet powinniśmy ten świat przekształcać i wykorzystywać, co prowadzi np. do spadku różnorodności biologicznej.

Czy naprawdę możemy? Wygląda to tak, jakbyśmy lecieli samolotem, a z jego kadłuba wypadały kolejne nity. Gdy wypada jeden lub drugi, nic specjalnego się nie dzieje; może nawet wypaść ich wiele i samolot będzie dalej leciał, ale przychodzi w końcu taki moment, gdy okazuje się, że wypadnięcie jakiegoś mało znaczącego nitu powoduje katastrofę. Tutaj moglibyśmy powiedzieć, że ta katastrofa była od samego początku wpisana w sposób myślenia, który zakładał, że istnieją jakieś elementy rzeczywistości, które są zupełnie niezależne od innych. Zatem to nie brakujący nit wywołał katastrofę, ale sposób myślenia o tym, że rzeczywistość jest złożona z niezależnych elementów.

Tradycyjna mądrość naszych przaprzodków, ale też odkrycia współczesnej nauki, rysują zupełnie inną wizję świata. Podstawowa zasada brzmi: wszystko jest ze wszystkim powiązane i wzajemnie się przenika. Inaczej mówiąc: patrząc głęboko w oczy wilka, w lecącego orła czy torfowisko, możemy dostrzec cały świat, w tym siebie. Nasze życie



zależy od bagien, niepozornych roślinek, owadów czy żabek. W tym podejściu, jeżeli uważamy, że człowiek jest wartością, to wartością jest także wszystko inne, bo dzięki temu innemu możemy żyć. Możemy oddychać powietrzem, pić wodę czy spożywać pokarm, który jest efektem pracy niezliczonych istot ludzkich i pozaludzkich. A jednak to ciągle jest podejście antropocentryczne, tyle że bardzo szerokie. Dbając bowiem o to, co z pozoru jest bezwartościowe i dalekie człowiekowi, tak naprawdę dbamy też o człowieka.

Są też tacy, którzy uważają, że takie miejsca jak torfowisko są wartościowe same w sobie, niezależnie od wartości, jakie przypisuje im człowiek i od korzyści, jakie może z nich mieć. Poszukując uzasadnienia takiej postawy, niektórzy odwołują się do Absolutu, Boga czy Rzeczywistości Nadprzyrodzonej, która w akcie stworzenia przypisuje tę wartość w sposób nieodwołalny. W tradycji judeochrześcijańskiej czytamy, że Bóg wiedział, że to, co stworzył było *dobrze*. W tradycji Indian Ameryki Północnej czytamy, że „zranić tę ziemię, znaczy zbezcześcić jej stwórcę”. Zatem bagna są wartościowe, bo stanowią dzieło lub manifestację samego Boga.

Ale są też i tacy, którzy nie muszą odwoływać się tutaj do Boga. Wychodząc poza wyłącznie ludzką perspektywę, powiemy, że wszystko, co istnieje, jest wartościowe samo w sobie poprzez to, że istnieje. Każda rzecz, każda istota i to niezależnie od tego czy żywa, czy nieożywiona, posiada przyrodzoną wartość. Jest wartościowa sama przez się. I nie da się tego w żaden sposób uzasadnić. I nie da się też tego zrozumieć, jeśli twardo i uparcie identyfikujemy się z ludzkim umysłem i ludzką perspektywą patrzenia. Jeżeli więc wychodzimy poza te ograniczenia a nasza świadomość uwalnia się od ciasnego gorsetu, możemy doświadczyć prawdziwej wolności bycia w świecie, który do cna prześiąknięty jest wartościami, w którym każde zwierzę, drzewo, rzeka, kamień jest czymś absolutnie ważnym i cennym, w którym każda chwila jest doskonałą manifestacją pełni i całości.

Jaka to ulga, że w tym świecie wszystko jest tak naturalnie proste i oczywiste.

Jaka to ulga, gdy po raz kolejny mówimy sobie: NIE WIEM – i stajemy w obronie jakiejś z pozoru bezwartościowej i mało znaczącej doliny.

# Czy wilk jest moim bratem?

---

Na dobrą sprawę, na tak postawione pytanie może odpowiedzieć tylko wilk. Co zatem odpowie? Cóż, jeżeli będziesz miał szczęście, wilk nie będzie cię unikał i spotkasz go w końcu, to prawdopodobnie zupełnie cię zignoruje, podążając swoją ścieżką. Czy tak zachowuje się brat? Możesz mieć jeszcze mniej szczęścia, gdy jesteś hodowcą owiec. Wtedy nie dość, że wilk może nie ujawnić swojego braterstwa, to jeszcze okaże się krwiożerczą bestią. Kim zatem jest wilk?

Pytanie to prowadzi nas wprost do naszego umysłu, a konkretniej do różnych wyobrażeń na temat świata przyrody, które w tym umyśle są zawarte. Kołaczą się tam zaiste różnorakie wymysły. A to przyroda jawi się jako bezwzględna, krwiożercza, rywalizująca i okrutna maszyna, a to znów przypisujemy jej atrybuty piękna, prawdziwej naturalności, mądrości i doskonałości. Zarówno jedno jak i drugie jest iluzją. Z tej perspektywy bowiem nie mamy kontaktu z prawdziwą rzeczywistością, a jedynie z jej wyobrażeniem we własnym umyśle. Czy to coś złego? Poniekąd tak, ponieważ jak każda iluzja, i ta prowadzi nas na manowce. Ciągłe wydaje się nam, że wiemy lepiej, kim jest wilk, czym jest las czy cała przyroda. W nadmiarze ufamy swojej wiedzy (wyobrażeniom) i na tej podstawie budujemy działania w świecie. Czyż to, co się obecnie dzieje z naszą planetą, nie wskazuje na to, że nasze wyobrażenia są nieadekwatne?

Ale czy możemy inaczej? Czy możemy sobie nie wyobrażać? Czy możemy zabrać nasze myśli precz od przyrody? Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że nie jest to za bardzo możliwe. Nasz umysł jest tak skonstruowany, że zawsze spostrzegając coś, nadaje temu znaczenie, określa, buduje obraz. To właśnie jest istotą procesu spostrzegania. Spostrzeganie jest tworzeniem rzeczywistości. Jeżeli już to robimy, to róbmy, ale bądźmy uważni na to, jakie są te wyobrażenia. Czy one sprzyjają życiu, czy nie. Czy ich konsekwencją jest więcej cierpienia, bólu i walki, czy może dają nam spokój umysłu, poczucie pełni, rozwijają współczucie i troskę. W tym znaczeniu warto pielęgnować w sobie takie wyobrażenia, których owoce są dobre – nie tylko dla siebie samego.

Jeżeli wnikliwie przyjrzymy się współczesnemu światu, w którym środowisko naturalne jest coraz bardziej zagrożone, to okaże się, że jak w lustrze odbijają się w nim nasze wyobrażenia na temat przyrody. Prawdopodobnie zobaczymy w tym lustrze to, że przyroda jest czymś bezdusznym, jest maszyną, którą można poznać, a następnie eksploatować i zarządzać nią. Jest tam też pewnie przekonanie o bezwzględności i krwiożerczości natury. Symbolem takiego podejścia jest właśnie wilk, któremu przypisuje się wszystkie najgorsze cechy. Przyroda jest też spostrzegana jako skarbnica różnych cennych surowców i bogactw, jednak najczęściej tego rodzaju wyobrażenia prowokują do nieograniczonego plądrowania i wykorzystywania tego, co natura oferuje. Możemy więc powiedzieć, że świat jest dokładnie taki, jakie są nasze umysły i zawarte w nich wyobrażenia. Najwyższy czas skonfrontować się z tymi wyobrażeniami i zapytać się, w jakim stopniu sprzyjają, a w jakim nie sprzyjają życiu.

Jak więc widać, to co mamy w głowach ma zasadnicze znaczenie dla świata, w którym żyjemy. Właśnie z tego powodu ludzie od najdawniejszych czasów praktykowali rytuały. Były to bowiem sposoby grupowego podtrzymywanie takich wyobrażeń na temat rzeczywistości, które pomagały przeżyć w środowisku i jednocześnie chroniły to środowisko. Fakt, że współczesna kultura się od nich odwróciła i zaczęła wtłaczać nam zupełnie inne wyobrażenia, jest jednym z najpoważniejszych zagrożeń, przy których efekt cieplarniany czy dziura ozonowa bledną. Dzisiaj potrzebujemy bardziej niż kiedykolwiek powrotu do tych prastarych praktyk, by odkrywać takie wyobrażenia, dzięki którym nasi przodkowie potrafili w równowadze i harmonii współistnieć razem ze środowiskiem, w którym żyli. Te wyobrażenia przekonywały nas, że Ziemia jest miejscem świętym, że inne istoty są naszymi braćmi i siostrami, że przyroda jest naszym domem, któremu należy się szacunek oraz troska.

Tak czy owak, zanim przypomnimy sobie te stare i sprawdzone prawdy, prawdopodobnie musimy zobaczyć w przebłysku oczywistości, że nasze obecne wyobrażenia nie służą ani nam, ani planecie. To zadanie jest jednym z najtrudniejszych wyzwań, jakie przed nami stoją, bo wiąże się z zakwestionowaniem tego, co znajduje się w naszych umysłach, a przecież my tak nie lubimy przyznawać się do błędu.

Zatem warto powiedzieć: tak, wilk jest moim bratem. Nawet, jeżeli on sobie nic

z tego stwierdzenia nie robi (a chyba właśnie tak jest), to jednak jest ono ważne i dla mnie, i dla niego. A przekona się o tym np. wtedy, gdy zamiast mnie na swej drodze spotka kłusownika.

Można pójść jeszcze dalej i pielęgnować w sobie uważność, dzięki której rośnie świadomość owego przypisywania przyrodzie atrybutów. Jeżeli myślę o wilku, że jest moim bratem, to pamiętam, że jest to wyłącznie produkt mojego umysłu. W ten sposób nie przywiązuję się nadmiernie do swoich wyobrażeń, mam do nich dystans, wiem, że nie są one prawdą absolutną. Tak oto rodzi się pokora i świadomość własnej ograniczoności. Tak oto zmniejsza się arogancja i uzurpacja. Tak oto NIE WIEM.

Wilk jest moim bratem, ale podchodzę do tego dokładnie tak jak on...

# Czym jest antropocentryzm?

---

Nie ma co do tego żadnych wątpliwości: żyjemy w świecie, w którym niezależnie od kręgu kulturowego, opcji politycznej czy ekonomicznej, dominuje jedna i niepodważalna ideologia antropocentryczna. Zgodnie z definicją antropocentryzm jest poglądem, według którego człowiek stanowi centrum i cel wszechświata. W ten sposób stawia człowieka w uprzywilejowanej pozycji wobec innych bytów. Daje nam, ludziom, poczucie szczególnej wartości, co automatycznie skutkuje deprecjonowaniem innych istot. Powszechność i akceptowalność antropocentryzmu może sugerować, że mamy do czynienia niemal z prawdą objawioną. Może to bezkrytyczne podejście byłoby uzasadnione, gdyby nie fakt, że coraz wyraźniej widzimy negatywne konsekwencje środowiskowe tej ideologii.

Czy są jakieś inne przesłanki wskazujące, że antropocentryzm jest problematyczny?

## **1. Antropocentryzm jest narcystyczną uzurpacją.**

Wyobraźmy sobie człowieka, który uważa, że jest lepszy pod jakimś względem od innych, który w swoim przekonaniu zasługuje na szczególne traktowanie, który twierdzi, że tylko on jest wartościowy. Jest coś nietaktownego w takim podejściu. Poza tym prawdopodobnie tak daleko posunięty egocentryzm spotka się ze społecznym ostracyzmem. Zwykle też przypuszczamy, że ludzie kierujący się takimi przekonaniem mają jakieś problemy emocjonalne ze sobą.

Antropocentryzm w perspektywie gatunkowej jest tym samym, czym egocentryzm w perspektywie międzyludzkiej. Jest przejawem szowinizmu gatunku ludzkiego.

Jakie są przesłanki słuszności założeń antropocentryzmu? Czy w przyrodzie odnajdziemy jakieś potwierdzenia ludzkiej wyjątkowości? Przyroda nas nie wyróżnia: słońce tak samo świeci na nas, jak i na inne istoty, deszcz pada w tym samym stopniu na nas i innych. Tak samo rodzimy się i umieramy, jak wszystko wokół nas. Tak samo mamy swoje potomstwo, tak samo dojrzewamy i starzejemy się. Prawdopodobnie tak samo też jak inne gatunki znikniemy kiedyś z tej planety. Jesteśmy stworzeni z tych samych

pierwiastków, oddychamy tym samym powietrzem i tak samo jak inni zależni jesteśmy od Ziemi.

Oczywiście, jako ludzie mamy też coś szczególnego, co nas wyróżnia: samoświadomość i abstrakcyjne myślenie. Tym obdarzyła nas natura. Ale zauważmy od razu, że inne istoty też zostały obdarzone szczególnymi cechami: ptaki potrafią latać, wilki mają doskonały węch, nietoperze słuch, a sekwoje mogą żyć kilka tysięcy lat, czerpiąc energię wprost ze słońca. To wszystko sugeruje, że każda istota została obdarzona czymś szczególnym i dlatego przypisywanie sobie jakichś specjalnych względów przez człowieka jest uzurpacją. Jest jednocześnie żalosnym przejawem narcystycznego podejścia do samego siebie, w którym zachwyty nad sobą i poczucie własnej wyjątkowości prowadzi wprost do stawiania niżej tego wszystkiego, co nieludzkie (swoją drogą zwróćmy uwagę na to, jaką konotację ma przymiotnik *nieludzki*).

Z drugiej strony równość i „współrodzinnność” różnych form życia wydaje się być czymś naturalnie prostym, co nie wymaga żadnych uzasadnień. Antropocentryzm jawi się jako coś wtórnego, co wymaga dodatkowych uzasadnień, np. religijnych. W tym sensie jest uzurpacją.

Proces ten przypomina nasze funkcjonowanie społeczne. Człowiek jest istotą społeczną, co oznacza, że zawsze należymy do jakiejś grupy. Psychologowie zauważyli, że ludzie mają skłonność do dzielenia świata na swoich i obcych w kontekście grupy, do której należą. Faworyzujemy własną grupę i jednocześnie deprecjonujemy grupy obce. Oczywiście później uzasadniamy odpowiednio te nasze preferencje. Na tym fundamencie rodzą się stereotypy i uprzedzenia, ale w gruncie rzeczy są to zjawiska powszechne i w tym sensie naturalne. Nie ma w tym nic złego, dopóki nie zaczynamy tworzyć ideologii podważającej normę egalitaryzmu. Wiemy, do czego takie ideologie doprowadziły w historii ludzkości.

Antropocentryzm ma swoje uzasadnienie w tym, że ludzie są inną grupą niż pozostałe organizmy i na tej podstawie faworyzujemy grupę własną, ale na gruncie społecznym mimo, że występuje podobne zjawisko, wystrzegamy się szowinizmu. Czas najwyższy, by powściągnąć również naszą skłonność do przekonania, że człowiek zajmuje wyższą pozycję pośród innych bytów.

## 2. Antropocentryzm jest historycznym i rozwojowym anachronizmem.

Patrząc na rozwój cywilizacyjny, widzimy pewien proces, w którym opisywane zjawiska zmieniają swój charakter. Wczesny etap rozwoju ludzkiej cywilizacji cechował skrajny etnocentryzm. Oznacza to, że ludzie traktowali własną grupę, klan, plemię, czy naród w sposób uprzywilejowany wobec innych. Zabicie członka innej grupy nie było w tym kontekście czymś nagannym, bo liczyli się tylko swoi. Tych innych można było wykorzystywać też jako niewolników.

Przełamaniem etnocentryzmu było pojawienie się religii chrześcijańskiej, która polecała miłować również wrogów. Ostatecznie też wszyscy byli równi wobec Boga. Tak czy owak trzeba jednak było zaakceptować wizję *tego* Boga. Tak oto świat ludzki został podzielony na wierzących i innowierców, co w perspektywie wieczności stawia tych drugich na gorszej pozycji. Zatem ciągle jeszcze, choć poza obszarem społecznym, chrześcijaństwo jest *centryczne*.

Na kolejną rewolucję etyczną musieliśmy czekać wiele setek lat. Dopiero nie tak dawno temu, bo w 1776 roku w Ameryce Północnej i w 1789 roku w Europie, przełamano w sposób radykalny różne warianty etnocentryzmu i przyznano wszystkim wolnym ludziom te same prawa. Mimo, że Deklaracja Niepodległości i Wielka Rewolucja Francuska uczyniły tutaj znaczący postęp, to wiemy przecież, że jeszcze wiele czasu upłynęło, zanim w różnych rejonach świata zaakceptowano normę egalitaryzmu. Po drodze mieliśmy eksterminację Indian, Żydów, Romów, niewolnictwo i segregację rasową. Zatem powszechny egalitaryzm tak naprawdę jest zdobyczą ostatnich lat i chociaż wydaje się nam czymś oczywistym, to jeszcze niedawno oczywistym nie był. Ciągle też nie ma powszechnej zgody co do niezbywalnej wartości płodu ludzkiego, choć wiele wskazuje, że prędzej czy później społeczeństwa również w tym względzie osiągną zgodę.

Podobny proces dotyczył także stosunku do zwierząt. Aż do roku 1997 w polskim prawodawstwie zwierzę było rzeczą, z którą można było robić, co tylko się chciało. Obecnie litera prawa stanowi inaczej, choć świadomość społeczna zmienia się znacznie wolniej.

W tym kontekście postawa antropocentryczna wydaje się dość anachroniczna i tkwi swoimi korzeniami w „etnocentryzmie gatunkowym”. Pojawienie się idei biocentrycznej jest prawdopodobnie awangardą zmiany, jaka będzie się stopniowo dokonywać

na gruncie świadomości społecznej i dominującej etyki, podobnie, jak miało to miejsce w przypadku obdarzenia prawami kobiet, murzynów czy nienarodzonych dzieci. Jak długo będziemy na to czekać? Trudno przewidzieć, ale trzeba tutaj jeszcze raz wspomnieć, że w obszarze społecznym egalitaryzm jest stosunkowo nowym wynalazkiem, a wspomniany proces odchodzenia od antropocentryzmu dopiero się rozpoczął.

Podobny proces dotyczy także naszego jednostkowego życia. Jako dzieci jesteśmy skrajnie egocentryczni, nastawieni wyłącznie na zaspokojenie własnych potrzeb. Stopniowo, w toku socjalizacji, uczymy się odraczać zaspokojenie potrzeb i powoli odchodzimy od egocentryzmu. W procesie tym obejmujemy niejako innych ludzi, przyjmując ich perspektywę i decentrując się poznawczo. Innymi słowy, proces dojrzewania to odchodzenie od egocentryzmu w kierunku „światocentryzmu”.

Mamy zatem proces społeczny oraz rozwój indywidualny, w którym stopniowo się decentrujemy. Trzymanie się kurczowo antropocentryzmu w kontekście naszej relacji z przyrodą jest, jak się wydaje, daremną próbą zatrzymania naturalnego procesu rozwoju ludzkości, który zmierza w kierunku biocentryzmu.

### **3. Antropocentryzm zakłada nieprzekraczalny konflikt między człowiekiem a resztą przyrody.**

Jeśli zgodnie ze światopoglądem antropocentrycznym ludzie uzurpują sobie szczególną pozycję wobec innych bytów, to warto zapytać, z jakich psychologicznych powodów to czynią. Trzymanie się kurczowo antropocentryzmu ujawnia ukryte założenia, które czyni się wobec świata przyrody. Przywileje, jakie sobie przypisujemy, są nam potrzebne, ponieważ bez nich (rzekomo) zginęlibyśmy. Krótko mówiąc, świat, w którym człowiek żyje, jest zagrażający, nieprzyjazny, brutalny i pełen walki. Gdyby nie przewaga, jaką zyskujemy, przypisując sobie wyższą pozycję, bylibyśmy zdecydowanie na straconej pozycji. Zatem u podłoża antropocentryzmu leży przekonanie, że tocymy wojnę z przyrodą, w której wygra ona albo my. I rzeczywiście tocymy tę wojnę, i nawet mamy w niej spore „sukcesy”. Antropocentryzm uzasadnia wojnę, którą tocymy z przyrodą, a permanentne poczucie pozostawania w stanie wojny skłania nas do kurczowego trzymania się antropocentryzmu.

Skąd jednak to dominujące przekonanie o nieprzekraczalnym konflikcie między



człowiekiem a przyrodą? Prawdopodobnie wynika ono z poczucia oddzielenia, jakie pojawia się w naszym ludzkim doświadczeniu. Wyobcowujemy się z natury i wtedy zaczynamy spostrzegać ją jako zagrażającą i niebezpieczną. Wtedy też musimy się jakoś przed nią zabezpieczyć, musimy zacząć z nią walczyć i zdobywać nad nią przewagę. Ciągłe jednak czujemy się niepewnie i obco: nie jest to już nasz dom, inne organizmy są obce, przestaliśmy być jedną rodziną i wszędzie czai się wróg. Tak przynajmniej nam się (złudnie) wydaje.

Inaczej mówiąc, antropocentryzm obnaża naszą niepewność, poczucie obcości i samotności w tym świecie. Jest w gruncie rzeczy rozpaczliwym wołaniem o pomoc i dramatycznym pragnieniem jedności, które nie zostaje ziszczone, bo filozofia antropocentryzmu tym bardziej nas od tego stanu harmonii i jedności z przyrodą oddala. Pozostaje nam więc tylko walka, w której niezależnie od tego, czy wygramy, czy przegramy, to zawsze przegramy, bowiem taka jest logika walki z samym sobą.

# Czy biocentryzm jest groźny dla człowieka?

---

Tak, dla wielu etyka biocentryczna zakładająca równość wszystkich bytów wobec życia, które stawiane jest w centralnym punkcie, jest prawdziwą „czerwoną płachtą”, budzącą przerażenie, lęk i sprzeciw. Przyjrzyjmy się zatem zarzutom formułowanym przeciw biocentryzmowi i skonfrontujmy je z rzeczywistymi założeniami tej etyki. Jakie są główne mity dotyczące etyki biocentrycznej?

## **1. Biocentryzm stawia człowieka niżej w hierarchii bytów.**

Nieprawda. Światopogląd biocentryczny w sposób zdecydowany odcina się od hierarchicznego porządku rzeczywistości. W tym sensie hierarchia zakłada zawsze jakąś nierówność (tak jak w antropocentryzmie: człowiek jest najważniejszy), natomiast rezygnacja z hierarchii w sposób automatyczny zakłada równość bytów. Metaforą antropocentryzmu jest drabina jestestw z człowiekiem jako koroną stworzenia. Metaforą biocentryzmu jest koło, okrąg lub sieć, gdzie nikt nie jest ważniejszy ani mniej ważny. Zatem z tego punktu widzenia człowiek jest równie ważny jak inne organizmy, a nie mniej ważny.

**2. Jakkolwiek biocentryzm nie stawia człowieka niżej w hierarchii bytów, to jednak jest on na straconej pozycji, jeśli idzie o realizowanie swojego dobra w konfrontacji z innymi organizmami.**

Nieprawda. W jednym z ośmiu punktów podstawowych zasad głębokiej ekologii (nurtu utożsamiającego się z biocentryczną orientacją), Arne Naess i George Sessions piszą: „Ludzie nie mają prawa ograniczania bogactwa i różnorodności [form życia], z wyjątkiem *szczególnych* sytuacji życiowych”. Zatem, jakkolwiek nie mamy prawa dla naszych zachcianek zubażać bioróżnorodności, to jednak, by podtrzymywać nasze życie, musimy ingerować w środowisko i powodować w nim owo zubożenie. W tym sensie, skrajne pojmowanie biocentryzmu prowadzi do absurdu i nikt o zdrowych zmysłach nie będzie go próbował bronić. Bo gdyby tak, to nie mielibyśmy prawa się myć (zabijamy wtedy roztocza żyjące na naszej skórze), leczyć (zabijamy bakterie) czy sprzątać mieszkania (bo np. podczas odkurzania giną pająki). To wszystko mamy prawo robić. I jeszcze

więcej. Arne Naess podaje przykład, w którym ojciec ratuje swojego syna przed atakiem dzikiego tygrysa. Czy w takiej sytuacji można zastrzelić tego tygrysa? A gdyby był to ostatni tygrys na ziemi? Twórca filozofii głębokiej ekologii i rzecznik biocentryzmu jednoznacznie odpowiada: tak! I jednocześnie dodaje: problemem nie jest przedkładanie w takiej sytuacji własnego, ludzkiego życia nad życie ostatniego tygrysa, ale sytuacja, w której my – ludzie doprowadziliśmy do tego, że na ziemi pozostał ostatni przedstawiciel tego gatunku.

Każdy organizm jest dla siebie centrum wszechświata i realizuje swoje życie we właściwy sobie sposób. Z wąskiej perspektywy rodzi to problemy, bo np. wilk zjada dziką, czyli jest jakaś ofiara, która cierpi. Ale z szerokiej, ekologicznej perspektywy nie dzieje się tutaj nic złego. Człowiek jest dla siebie również centrum wszechświata i ma prawo realizować siebie. Problem jednak polega na tym, że my – ludzie – idziemy znacznie dalej i uzasadniamy naszą ingerencję naszymi zachciankami, a nie prawdziwymi potrzebami. Dlatego odwoływanie się w tym kontekście do biocentryzmu niejako równoważy nasze zapędy i ustawia nas w równym szeregu z innymi istotami. Biocentryzm zdaje się mówić: „w centrum jest życie, a nie ludzkie zachcianki”. Pozornie może wydawać się to sprzeczne: własny interes człowieka (podtrzymywanie jego życia) i biocentryzm. Ale zobaczmy, że z podobnym procesem spotykamy się na gruncie społecznym. Z jednej strony mamy normę egalitaryzmu: ludzie są równi wobec prawa i nikt w warunkach społeczeństwa demokratycznego nie będzie negował tej normy. Ale jednak dla siebie samych jesteśmy (subiektywnie) ważniejsi niż inni. Również nasi bliscy są ważniejsi niż obcy. Jeżeli ojciec ratuje przede wszystkim swojego syna z płonącego budynku, czy zaprzecza tym samym równości wszystkich ludzi? Podobnie biocentrysta będzie zawsze dbał bardziej o siebie czy innych ludzi (jeśli chodzi o podstawowe, życiowe potrzeby, owe *szczególne* sytuacje) niż o inne istoty, czym nie przeczy idei biocentrycznej.

### **3. Biocentryzm wymusza decyzję o braku posiadania dzieci. Wszak posiadanie dzieci przyczynia się do większego obciążenia ekosystemu.**

Nieprawda. Argumentacja jest podobna jak powyżej. Posiadanie dzieci i prokreacja są naturalną potrzebą każdego organizmu, są czymś podstawowym i niezbywalnym. Jakkolwiek na gruncie ekologii głębokiej akcentuje się problem przeludnienia, to dziś już

wyraźnie wiemy, że większym problemem niż przyrost populacji ludzkiej jest problem stylu życia. Co najbardziej niszczy środowisko? Nie samo pojawienie się kolejnego człowieka, ale sposób, w jaki on będzie żył. Podstawowym argumentem na rzecz tej tezy jest koncepcja ekologicznego śladu. Gdybyśmy wszyscy chcieli żyć tak, jak np. Amerykanie, potrzebowalibyśmy pięciu dodatkowych planet takich jak Ziemia (!). W krajach zachodniej cywilizacji nie mamy problemu przeludnienia, za to mamy problem nadmiernej konsumpcji, która degraduje (mimo wysiłków ludzi i względnie wysokiej świadomości ekologicznej) środowisko. W krajach trzeciego świata mamy problem przeludnienia, ale jednocześnie ludzie tam żyjący relatywnie w mniejszym stopniu obciążają środowisko.

#### **4. Biocentryzm odbiera człowiekowi przywilej posługiwania się umysłem.**

Zwolennicy antropocentryzmu często sądzą, że skoro sama przyroda dała człowiekowi umysł zdolny do podejmowania działań moralnych, to daje mu to (z natury) uprzywilejowaną pozycję wobec innych bytów. Zatem bycie podmiotem moralnym jest czynnikiem stawiającym człowieka ponad innymi formami życia. Jeżeli więc biocentryzm występuje przeciwko temu uprzywilejowaniu, to tak jakby negował sam umysł, który do niego prowadzi.

Nieprawda. Biocentryzm nie zaprzecza, że umysł jest takim samym wynalazkiem natury jak np. skrzydła ptaków i w tym sensie nikt nie ma prawa odbierać tego ludzkiego przywileju, tak jak nie będziemy tego robić w odniesieniu do ptaków i ich skrzydeł. W argumentacji zwolenników antropocentryzmu zawarte jest ukryte założenie, jakoby posługiwanie się umysłem prowadzić musiało wyłącznie do akceptacji jedynej, słusznej koncepcji czyli antropocentryzmu. Jeśli zatem biocentryzm przeciwstawia się antropocentryzmowi, to tak jakby negował sam umysł. Należy wyraźnie podkreślić, że utożsamianie umysłu z antropocentryzmem jest uzurpacją. Oczywiście biocentryści nie negują samego umysłu, natomiast wnikliwie przyglądają się jego wytworom, bo to one ostatecznie mogą powodować negatywne konsekwencje. Ostatecznie więc, jeśli biocentryzm czemuś się przeciwstawia, to antropocentrycznej uzurpacji.

#### **5. Biocentryzm, dowartościowując inne byty, faktycznie zakłada nienawiść do człowieka.**

Nieprawda. Człowiek jest taką samą częścią fenomenu życia jak inne gatunki

i ma takie samo prawo do życia jak inni. Nienawiść do człowieka lub do jakiegokolwiek innego gatunku jest sprzeczna z etyką biocentryczną. Zwolennicy antropocentryzmu często zakładają, że między człowiekiem a przyrodą tkwi nieprzekraczalny konflikt, w którym może wygrać tylko jedna ze stron. Zatem można albo kochać człowieka, albo przyrodę – nigdy człowieka i przyrodę jednocześnie.

Biocentryzm zdecydowanie godzi te dwie miłości i jednocześnie nie uprzywilejowuje żadnej ze stron. Natomiast biocentryzm może jednocześnie formułować krytyczne oceny funkcjonowania człowieka w ekosystemie i rzeczywiście to czyni. Nie można jednak utożsamiać krytyki zachowania (np. konsumpcjonizmu) z deprecjacją ludzi, czy nienawiścią do nich. Podobnie, jeśli ojciec złości się na swojego syna, że ten coś przeskrobał, nie oznacza to, że go nienawidzi lub że podważa jego wartość jako osoby.

### **6. Biocentryzm prowadzi do ekoterroryzmu.**

Nieprawda. Biocentryzm jest stawianiem życia w centrum i w tym sensie jest związany z umiłowaniem tegoż życia, a nie walką z nim w jakiegokolwiek, również ludzkiej postaci. Oczywiście mogą być też i tacy ekolodzy, którzy powołując się na etykę biocentryczną, dokonują aktów terroru. Czy jednak za akty te można obarczyć odpowiedzialnością biocentryzm? W podobnym duchu można by zapytać, czy za okropności krucjat chrześcijańskich możemy uczynić odpowiedzialną naukę Chrystusa? Taki wniosek byłby absurdalny i stanowiłby nadużycie. Dlatego też nie można przypisać intencji terrorystycznych etyce biocentrycznej, a to, że może być ona opacznie interpretowana i wykorzystywana, nie jest mankamentem samej etyki, a wyłącznie ludzi, którzy ją na swój użytek wykorzystują.

**7. Biocentryzm błędnie zakłada równość człowieka i innych istot, ponieważ nie ma równości między istotami, które posiadają możliwość wartościowania czynów moralnych (człowiek) i tej możliwości nie mają (istoty pozaludzkie).**

Nieprawda. Nie ma logicznego związku między założeniem o wewnętrznej wartości moralnej jakiejś istoty, a jej możliwością wartościowania czynów. Gdyby taki związek był prawdziwy, trzeba by pozbawić wewnętrznej wartości moralnej ludzi głęboko upośledzonych, bądź dzieci nienarodzone, a nawet dzieci już narodzone do momentu, aż nabiorą umiejętności dokonywania sądów moralnych.

Wewnętrzna wartość moralna wynika z samego faktu istnienia. Jeszcze raz można

tutaj powtórzyć: każdy organizm jest dla siebie centrum wszechświata i w tym sensie wartość jego istnienia może być rozpatrywana wyłącznie od wewnątrz. I choć tylko człowiek może ostatecznie nadać tę wartość, robi to w momencie decentracji, a więc postawienia siebie w cudzym położeniu, czyli wyjścia poza perspektywę wyłącznie ludzką.

Oczywiście, jakkolwiek wartość ta jest absolutna, to w świecie przyrody jest nagminnie (pozornie) naruszana poprzez np. zjadanie siebie nawzajem. Z nadrzędnej, całościowej (ekologicznej) perspektywy jednostkowa śmierć nie ma znamion moralnego zła. Również śmierć człowieka jest koniecznością i nie można jej oceniać jako zjawiska moralnie naganego, chyba, że stoi za nim świadoma intencja pozbawienia życia. Ale takie intencje są wyłącznie wyborem człowieka i w tym sensie przyroda nigdy nie może być rozpatrywana jako okrutna czy brutalna. Co oczywiście nie odbiera jej przywileju bycia przedmiotem wartościowania moralnego, jak wcześniej to starałem się przedstawić.

Czy biocentryzm jest rzeczywiście przeciwko człowiekowi? Dla mnie jest jak zaproszenie do wspólnego tańca, jak powrót do domu, w którym można poczuć się w końcu u siebie. W tym domu starczy miejsca dla wszystkich...

# Czy możliwa jest integracja antropocentryzmu z biocentryzmem?

---

Może się wydawać, że między antropocentryzmem a biocentryzmem nie ma żadnego punktu wspólnego i oba te systemy się wykluczają. Rzeczywiście do takich wniosków można dojść, gdy potraktuje się te dwie wersje etyki w kategoriach zeroje-dynkowych. Jeżeli jednak zobaczymy antropocentryzm i biocentryzm jako wymiar, a nie jedynie przeciwstawne, skrajne bieguny, okaże się, że możliwe jest przynajmniej częściowe spotkanie się tych dwóch systemów. Rozważmy w tym kontekście taki oto przykład.

W Tatrzańskim Parku Narodowym w 2002 roku rozpoczyna się budowa nowej kolejki na Kasprowy Wierch, która, zastępując starą, jednocześnie przewozić ma dwa razy więcej turystów niż jej poprzedniczka. Lobby narciarsko-biznesowe stojące za tą inwestycją formułuje własne argumenty w oparciu o myślenie antropocentryczne. W tym myśleniu Tatry są dobrem człowieka, z którego ma prawo korzystać. Oczywiście trzeba to robić z poszanowaniem tych gór (dowodzi się, że nowa kolejka będzie korzystniejsza dla środowiska niż stara), niemniej jednak liczy się tutaj człowiek, jego potrzeby, a właściwie przyjemności oraz możliwość większego zysku. Te ludzkie wartości są ważniejsze od potencjalnie negatywnych skutków środowiskowych (większa antropopresja). Co ciekawe, jednym z oponentów planowanej inwestycji jest prof. Zbigniew Mirek (botanik, były Przewodniczący Rady Naukowej TPN), który swój sprzeciw uzasadnia również argumentami antropocentrycznymi. Otóż twierdzi on, że TPN chroni nie tylko przyrodę, ale też i człowieka, zatem budowa nowej kolejki nie tylko zagraża tatrzańskiej przyrodzie, zagraża również człowiekowi. Chodzi tutaj o model turystyki, w którym człowiek zamiast chodzić – wozi się kolejką. Ta bezwysiłkowa, szybka oraz masowa turystyka zabija w nas to co zdrowe i jednocześnie pcha nas w kolejną wersję konsumpcjonizmu, choć w tym przypadku bardzo subtelny, bo związanego z kolekcjonowaniem atrakcyjnych turystycznie miejsc bez najmniejszego wysiłku.

Mamy więc tutaj dwa warianty antropocentryzmu, które prowadzą do zupełnie

różnych postaw. Czym różnią się od siebie te dwa warianty? Moim zdaniem chodzi tu o szerokość perspektywy, w której widzi się człowieka. Lobby narciarsko-biznesowe kieruje się, jak już wcześniej wspomniałem, przyjemnością i zyskiem, co jest dość wąską perspektywą widzenia człowieka. Inaczej mówiąc, mamy prawo zmieniać świat, jeśli może nam (i tylko nam) być lepiej. To dość wulgarny przejaw antropocentryzmu. W argumentacji Zbigniewa Mirka człowiek jest widziany znacznie szerzej. Nie chodzi tutaj o jakiś wąski, doraźny interes, ale o pewną refleksję na temat tego, kim jest człowiek i co jest dla niego najlepsze. Z tej perspektywy okazuje się, że to co jest dla człowieka dobre w wąskiej perspektywie (przyjemność, komfort, luksus i wygoda), niekoniecznie jest najlepsze w perspektywie szerokiej. Specjaliści zajmujący się promocją zdrowia mówią np., że każdy człowiek powinien co najmniej raz dziennie spocić się z wysiłku. To jest dla nas korzystne, choć niekoniecznie przyjemne z wąskiej perspektywy. Co ciekawe, jeśli widzimy człowieka właśnie w takiej szerokiej perspektywie, to okaże się, że między potrzebami środowiska, przyrody, a potrzebami człowieka nie ma dużej różnicy. Przykład Tatr jest tu bardzo wymowny. Dla nas ludzi najlepiej będzie, jeśli góry te pozostaną dzikie, bo wtedy my w swoich zachowaniach będziemy bliżej tego, co w nas zdrowe, naturalne i korzystne.

Jak więc widać antropocentryzm jest raczej wymiarem niż punktem. W tym wymiarze zasadnicze znaczenie ma to, jak definiuje się człowieka, z jakiej perspektywy się go widzi, czy jest on totalnie oderwany i wyobcowany z przyrody (wąska perspektywa), czy podobny, a może nawet tożsamy z tym, co go otacza (szeroka perspektywa). W tym drugim wariantcie przestaje mieć nawet znaczenie, kto jest tutaj ważniejszy, a kto mniej ważny, czy człowiek, czy przyroda, bowiem w szerokiej perspektywie nasze najgłębsze potrzeby i pragnienia nie są sprzeczne z potrzebami samej przyrody. W najbardziej szerokiej perspektywie ostatecznie znika podział na podmiot i przedmiot. Właśnie taki skrajnie szeroki antropocentryzm spotyka się z biocentryzmem, choć w tym wymiarze przestaje mieć znaczenie jakim „izmem” to nazwiemy.

W tym sensie także biocentryzm jest pewną umowną konstrukcją. W najbardziej skrajnej postaci może wydawać się absurdalny, bo zgodnie z nim nie moglibyśmy nic zrobić, bo zawsze narusza to jednostkowe dobro jakiegoś innego organizmu. Ale z takim



biocentryzmem raczej nie mamy do czynienia. Zdrowy biocentryzm to taki, w którym zawarta jest jakaś odrobina antropocentryzmu. Ostatecznie bowiem mamy prawo ingerować w środowisko, choć możemy to robić wyłącznie z szerokiej perspektywy naszego „ja”, nie ulegając naszym zachciankom czy wąsko pojętemu interesowi. W takiej perspektywie ingerując w środowisko i zaspokajając swoje potrzeby, nie różnimy się od innych organizmów, które przecież też zawsze jakoś ingerują w środowisko po to, by wyjść naprzeciw swoim potrzebom. W takim świecie nikt z nikim nie prowadzi wojny, choć oczywiście nie znaczy to, że nie ma tam cierpienia i śmierci.

Co decyduje o tym, że ludzie preferują orientację antropocentryczną czy biocentryczną? Dokonana przeze mnie wyżej analiza dowodzi, że kluczową rolę odgrywa tutaj koncepcja „ja”, jaką przyjmuje się w odniesieniu do człowieka. Innymi słowy, to, w jaki sposób myślimy o sobie, jak odpowiadamy na pytanie „kim jestem”, ma zasadnicze znaczenie przy akceptacji określonego systemu etycznego. Z tego punktu widzenia etyka jest czymś wtórnym wobec psychologii. To na fundamencie koncepcji „ja” akceptuje się określoną etykę środowiskową. W tym sensie przekonywanie ludzi do jakiegoś systemu etycznego ma bardzo ograniczone znaczenie, bowiem ludzie wierzą w coś i przyjmują za prawdziwe czy słuszne to, co jest zgodne z definicją ich „ja”. Im szerzej pojmuje się własne „ja”, widząc je w globalnym kontekście wzajemnych związków i zależności z innymi ludźmi, innymi istotami oraz elementami świata nieożywionego, tym większe prawdopodobieństwo akceptowania wizji biocentrycznej. Choć, jak starałem się to pokazać wcześniej, podział na antropocentryzm i biocentryzm w tym przypadku przestaje mieć znaczenie. W takiej sytuacji etyczne dylematy i rozważania tracą sens, a na znaczeniu zyskują psychologiczne mechanizmy odpowiedzialne za określony sposób pojmowania własnego „ja”.

Etyka ma tutaj jeszcze dodatkowe ograniczenia. Formułując bowiem odpowiednie normy związane z tym, jak należy bądź nie należy postępować, często narzuca ludziom takie zachowania, których oni nie akceptują. Zdarza się, że normy etyczne traktowane są jak coś zewnętrznego wobec człowieka, z czym faktycznie się on nie identyfikuje. Tak oto spotykamy się z sytuacją, w której ktoś nawet deklaruje akceptację określonej normy etycznej, ale gdy przychodzi co do czego, konkretne zachowanie stoi z tą normą

w sprzeczności. Dlatego obok norm etycznych ciągle jako ludzie i społeczeństwo potrzebujemy strażników czy odpowiednich służb, które czuwają nad przestrzeganiem tych norm. Najlepiej oczywiście, gdy normy są uwewnętrznione i automatycznie przejawiają się w zachowaniu; o takiej jednak sytuacji ciągle jeszcze możemy jedynie pomarzyć.

Poza tym ludzie raczej nie lubią, gdy się ich strofuje lub mówi im, co powinni, a czego nie powinni robić. Bycie pouczanym wzbudza poczucie winy i dlatego najczęściej unikamy takich sytuacji. Innymi słowy, ludzie raczej wolą mieć rację niż świat, w którym mogą się czuć naprawdę dobrze. Odwoływanie się do norm, nakłanianie innych, by się do nich stosowali, zawsze jest czymś niewygodnym i trudnym, bo uświadamia im, że mogą nie mieć racji. To właśnie tutaj rodzi się opór i próba utrzymania dotychczasowych często niekorzystnych zachowań.

Ludzie nie lubią się też poświęcać. A podporządkowywanie się normom jest w zasadzie poświęcaniem się czemuś zewnętrznemu z jednoczesnym rezygnowaniem z własnej przyjemności. Tak oto rodzi się zgorzknienie tych, którzy najdalej zaszli w „świętości”. Tak też rodzi się „święte oburzenie” u tych, którzy się poświęcają, wobec tych, którzy nie mają za bardzo na to ochoty. Wtedy się na nich pomstuje lub otwarcie się ich potępia i z nimi walczy. Walka ta jest jedynie zewnętrzną manifestacją wewnętrznej wojny, jaką toczy człowiek z samym sobą, ze skłonnościami, które muszą ulec pod naporem słusznych moralnie norm. Od tego zjawiska nie są wolni ekolodzy, ale też wszyscy inni nawiedzeni moraliści, którzy odkryli, co jest właściwe, i próbują na siłę do tego przekonać siebie i innych.

Z drugiej strony mamy wiele zachowań moralnych, które pojawiają się spontanicznie, których nie trzeba wymuszać, planować, uzasadniać czy obwarowywać przepisami. Czy jeśli nasza lewa ręka zostanie zraniona, to prawa musi ustanawiać jakieś normy wskazujące na obowiązek pomagania zranionej ręce? Obie ręce wzajemnie sobie pomagają i troszczą się o siebie w sposób naturalny i spontaniczny. Jest to tak oczywiste, że aż trudno o tym mówić. Tak czy owak potraktujmy to jako metaforę naszych relacji z przyrodą. Wierzmy, że jako ludzie jesteśmy oddzieleni od przyrody, że jesteśmy obok niej lub ponad nią. Jesteśmy jak ręka, która straciła poczucie, że jest częścią jednego ciała. Dlatego musi się jakoś szczególnie przekonywać, budować systemy filozoficzne i etyczne, formułować

normy prawne, a następnie kontrolować ich przestrzeganie w celu zapewnienia odpowiednich zachowań wobec drugiej ręki czy całego ciała. Pozycja oddzielenia wymaga etyki i norm, choć te regulatory zachowania są słabe i zawodne. Oczywiście dobrze, że są, bo oddzieleni potrzebujemy jakiejś wizji, jakiegoś uzasadnienia własnej sytuacji, ale ostatecznie, by odpowiednio zachowywać się wobec drugiej ręki, powinniśmy zrobić coś raczej z przekonaniem ręki na swój temat, z owym poczuciem oddzielenia, które jest podstawowym problemem i źródłem naszych kłopotów. Zatem nie tyle potrzebujemy najlepszej etyki, ale odpowiedniej koncepcji „ja”, w której czujemy się częścią całości, w której nie jesteśmy oddzieleni i w której pomagamy drugiej stronie tak, jakbyśmy pomagali samemu sobie. Bo ostatecznie prawa ręka pomaga lewej nie dlatego, że tak należy, że ma w tym jakiś interes, ale dlatego, że inaczej nie może, bo jest częścią tego samego ciała.

Spór o słabe i mocne strony etyki biocentrycznej czy antropocentrycznej jest sporem, który można toczyć wyłącznie na poziomie oddzielnego „ja”, w perspektywie konfliktu między światem przyrody i światem ludzkim. Zawsze można argumentować, że jedna lub druga etyka prowadzi do negatywnych konsekwencji albo dla człowieka, albo dla przyrody. Wydaje się jednak, że jest wyjście z owej pułapki, a jest nim potraktowanie etyki jako wymiaru, na którym można człowieka opisać jako bardziej lub mniej oddzielnego od tego, co na zewnątrz. Przesuwając się w kierunku bieguna jedności człowieka i przyrody, odwołujemy się do naturalnego procesu dojrzewania jednostki ludzkiej, w którym stopniowo przekraczamy własny egocentryzm obejmując własną tożsamością coraz większy zakres rzeczywistości zewnętrznej. W tej perspektywie integrujemy szeroko pojęty antropocentryzm i biocentryzm. Ostatecznie, osiągnięcie pełnego „ja” skutkuje wyjściem poza jakikolwiek wariant etyki, a dyskusja o tym, która z etyk jest bardziej właściwa, staje się bezprzedmiotowa.

Św. Augustyn mówi tutaj: „Kochaj i czyń co chcesz”.

# OBLICZA KRYZYSU

# Czy świat znajduje się w kryzysie?

---

Ileż to razy wieszczono już koniec świata? Ileż to razy na co dzień wysłuchujemy narzekań, utyskiwań i alarmujących doniesień, że świat nie jest taki, jaki być powinien. Można by powiedzieć, że tak było zawsze. Od kiedy istnieje ludzkość wybuchają wojny, mają miejsce zbrodnie, ludzie chorują, cierpią, są bogaci i biedni, co prowokuje napięcia i konflikty. Również przyroda nas nigdy nie rozpieszczała: trzęsienia ziemi, powodzie, nieurodzaj, wybuchy wulkanów, epidemie czy anomalie pogodowe – to wszystko może wskazywać, że żyjemy w czasach, które specjalnie nie różnią się od tego, co było kiedyś.

A jednak, mimo iż jesteśmy podobni pod wieloma względami do naszych przodków, a Ziemia jest ciągle tą samą planetą, to trzeba powiedzieć, że jest nas znacznie więcej niż kiedyś i mamy znacznie bardziej zaawansowane narzędzia do wywierania wpływu na świat. To wszystko powoduje zasadniczą różnicę w skutkach naszych działań, szczególnie jeśli chodzi o kondycję naszej planety. Pod pewnymi względami nigdy nie było tak, jak jest obecnie, a ta różnica, jak się okazuje ma dla nas decydujące znaczenie. Jaki jest zatem stan planety w związku z naszym oddziaływaniem na środowisko?

Jedną z najbardziej wiarygodnych prób oceny oddziaływania człowieka na ekosystem jest koncepcja śladu ekologicznego (*ecological footprint*) zaproponowana przez Mathisa Wackernagla w 1996 roku. W tej koncepcji powierzchnia łądów i mórz jest wskaźnikiem, a różne kategorie konsumpcji są przeliczone na powierzchnie produkcyjnego terenu. Każde nasze działanie, każda czynność ma wpływ na przyrodę – wymaga korzystania z określonych zasobów środowiska, ale również wymaga zdolności absorpcyjnej określonego obszaru łądu lub wody. Ta wartość jest podawana jako powierzchnia produkcyjnego łądu lub morza. Każdy z nas potrzebuje określonej wielkości produkcyjnego terenu, który podtrzymuje właściwy nam styl życia.

Wskaźnik śladu ekologicznego stał się w ostatnich latach najbardziej wiarygodnym miernikiem oceny wpływu człowieka na środowisko. Wykorzystywany jest między innymi w raportach przygotowywanych przez Unię Europejską, ONZ oraz wiele niezależnych

instytucji jako obiektywna i rzetelna metodologia.

Wyniki zaprezentowane w raporcie „Living Planet Report ” przez WWF, Londyńskie Towarzystwo Zoologiczne i Global Footprint Network w 2010 roku, w odniesieniu do śladu ekologicznego są naprawdę niepokojące. Jeżeli podzielimy powierzchnię produkcyjną naszej planety przez liczbę jej mieszkańców, to na jedną osobę przypada tylko 1,8 globalnego hektara (gha) produktywnych biologicznie terenów. Tyle właśnie daje nam planeta byśmy mogli zaspokoić nasze wszystkie życiowe potrzeby. Okazuje się jednak, że jako ludzkość wykorzystujemy dzisiaj średnio 2,7 gha na osobę. Oznacza to, że aż o 50% przekraczamy roczne moce produkcyjne biosfery. Ziemia potrzebuje zatem ponad 18 miesięcy, aby odtworzyć to, co zużyliśmy w ciągu 12 miesięcy. Jeszcze inaczej można powiedzieć, że obecnie żyjemy tak, jakbyśmy potrzebowali nie jednej, lecz półtora planety. Autorzy raportu jednocześnie szacują, że jeśli nic się nie zmieni, jeśli obecny trend się utrzyma, to w 2030 roku będziemy potrzebowali aż dwóch takich planet jak Ziemia.

Oczywiście globalny wskaźnik śladu ekologicznego na poziomie 150% jest średnią, co oznacza, że niektórzy z nas czerpią mniej, a niektórzy więcej. Ci pierwsi, to zazwyczaj mieszkańcy Trzeciego Świata, którzy żyją w biedzie lub w oparciu o skromne środki. I tak, przykładowo, gdyby wszyscy na Ziemi żyli jak mieszkańcy Egiptu, to potrzebowalibyśmy jedynie 0,8 takiej planety jak Ziemia. Gdyby natomiast chcieć żyć tak jak Amerykanie lub Duńczycy, to potrzebowalibyśmy niemalże 5 takich planet. Wyniki te bardzo jednoznacznie rozstrzygają spór o to, co ma większy wpływ na biosferę: ilość ludzi czy może raczej styl życia. Okazuje się bowiem, że najbardziej obciążają Ziemię mieszkańcy krajów bogatych, którzy charakteryzują się rzekomo coraz bardziej rozwiniętą świadomością ekologiczną i którzy coraz częściej wykorzystują nowoczesne technologie (często podobno przyjazne środowisku).

My Polacy, którzy tak ciągle narzekamy na biedę i uważamy, że nasz kraj powinien się szybko rozwijać, by dogonić innych, już teraz żyjemy tak, że potrzebujemy ponad dwóch planet. Ten deficyt skrupulatnie zostaje „zamiatany pod dywan”, czyli przenoszony na przyszłe pokolenia oraz obecnie żyjących ludzi, którym zabieramy ich aktualne zasoby.

Ślad ekologiczny jest więc ważnym dowodem w kwestii istnienia kryzysu planetarnego. Jeśli potraktujemy wyżej wymienione wskaźniki poważnie, to musimy przyznać, że

niebezpiecznie się zadłużamy jako ludzkość, oraz że owo zadłużenie wiąże się z dramatycznym pogarszaniem się stanu usług świadczonych przez ekosystemy. To wszystko pokazuje, że nie mamy wyłącznie do czynienia z kryzysem ekologicznym, ale, że jest to również kryzys naszej cywilizacji, która nie może rozwijać się nadal w oparciu o istniejące obecnie założenia, ponieważ prowadzi to do podcinania korzeni, od których zależy.

# Czy ludzkość znajduje się w kryzysie?

---

Współczesna cywilizacja w zachodnim wydaniu jest ogromnym obciążeniem dla planety. Wartości, jakie leżą u jej podstaw, czyli dobrobyt, wolność, nastawienie na zysk i zachęcanie do konsumpcji, obracają się ostatecznie przeciw życiu w jego globalnym wymiarze. Tak zwany zrównoważony rozwój jest fikcją, pustym hasłem bez pokrycia. I będzie tak dopóki nie zrewidujemy założeń i wartości leżących u podstaw zachodniej cywilizacji.

Jedno z nich stawia człowieka w centrum i afirmuje jego dobrostan. Proces rozwoju cywilizacyjnego ma służyć zaspokojeniu najważniejszych potrzeb ludzkich. Cywilizacja ma być środkiem do powszechnej szczęśliwości, drogą do dobrego życia. Wydaje się nam, że rozwijając się na obecną modłę, tworzymy rzeczywistość, która dla nas ludzi jest lepsza, w której czujemy się spełnieni, w której nasze najgłębsze tęsknoty i pragnienia są zaspokojone. Wierzmy, że idziemy w dobrym kierunku, nawet jeśli ponosimy w związku z tym koszty środowiskowe.

Sprawdźmy zatem, czy tak rzeczywiście jest. Mówi o tym raport, sporządzony przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) w 2009 roku. Pojawiają się w nim doniesienia na temat stanu zdrowia psychicznego ludzi. Otóż zaburzenia psychiczne dotyczą 20% ludzi na świecie. Raport Komisji Europejskiej również z 2009 roku i dotyczący tego samego problemu wskazuje, że w Europie zaburzenia psychiczne manifestuje aż 27% ludzi. W doniesieniach pojawiają się również alarmujące prognozy nasilania się tego zjawiska.

Czy ludzie zawsze mieli aż tak duże problemy ze zdrowiem psychicznym? Jeśli chodzi np. o występowanie depresji w Stanach Zjednoczonych, to psychologowie szacują, że nastąpił dziesięciokrotny wzrost ryzyka wystąpienia tej choroby na przestrzeni dwóch ostatnich pokoleń. Co ciekawe, ryzyko wzrostu depresji jednobiegunowej nie dotyczy np. społeczności Amiszów, która nie korzysta z elektryczności, samochodów, deklaruje pacyfizm oraz unika alkoholu.

Podobne obserwacje dotyczą także innych tradycyjnych społeczności. Naukowcy



dysponują dokumentem, opartym na zapiskach i obserwacjach, prowadzonych przez 80 lat w XIX i XX w., w obwodzie astrachańskim, gdzie badacze porównywali psychopatologię siedmiu narodów, z których przynajmniej dwa: Kałmucy i Kirgizi, były pierwotne przez długi czas. Otóż częstotliwość występowania chorób psychicznych u tych narodów była skrajnie niska (0,01%) w 1850 r. Kontakt z cywilizacją nawiązany ok. 1850 r. oznaczał stały wzrost wskaźników zachorowalności. Im dalej byli Kałmucy od obszarów cywilizowanych, tym niższy był wskaźnik zachorowalności. Podobnie wśród Papuasów z Melanezji, którzy żyją z dala od cywilizacji, schizofrenia nie występuje, nerwice są rzadkie, a obserwować można jedynie okazjonalne stany maniakalne.

Co sprawia, że w najbogatszym na świecie społeczeństwie amerykańskim szerzy się zaburzenie, które odbiera ludziom szansę cieszenia się dobrobytem i bogactwem? Wiele wskazuje na to, że odpowiedzialny jest tutaj toksyczny system społeczny, który w imię lepszego jutra „produkuje” coraz większą ilość nieszczęśliwych jednostek już dziś. Martin Seligman, uznany psycholog i jednocześnie krytyk współczesnej amerykańskiej rzeczywistości sugeruje trzy podstawowe przyczyny tego zjawiska. Po pierwsze, ma to związek z zachwianiem równowagi między kategoriami „ja” i „my”. Współczesna zachodnia kultura stała się nazbyt indywidualistyczna, co oznacza, że ludzie w dużym stopniu odcięli się od istotnego obszaru wsparcia społecznego, które było dostępne w dawnych czasach i jednocześnie określało to, kim jednostka jest. Źródłem tego wsparcia była wiara w Boga, w naród i w stabilną rodzinę. Dzisiaj, gdy ludzie stali się bardziej niezależni, jednocześnie pozbawili siebie starych sprawdzonych sposobów na utrzymanie dobrej kondycji psychicznej. Zachodni indywidualizm stawia też coraz bardziej wygórowane wymagania wobec jednostek. Dzisiaj „dobrze przystosowany” oznacza osiągnący sukces, a nawet najlepszy. Jednak ilu może być tych najlepszych? Społeczne naciski próbują uczynić z nas wyjątkowe pod każdym względem osoby, podczas gdy zwykły rachunek i realistyczne oceny wskazują, że na samym szczycie mogą znaleźć się tylko nieliczni. W ten oto sposób jednostka bierze na siebie ogromny ciężar sprostania rosnącym wymaganiom z jednocześnie powiększającym się obszarem rywalizacji z innymi. To sprawia, że coraz trudniej stać się tym wyjątkowym i najlepszym i, dodatkowo, w sytuacji porażki coraz trudniej liczyć na autentyczną pomoc ze strony drugiego człowieka.

Po drugie, w rozwiniętych cywilizacyjnie społeczeństwach dramatycznie rozpowszechnił się „mit wysokiej samooceny”. Oznacza on, że współcześni rodzice robią wszystko, by ich dzieci czuły się zawsze dobrze i miały wyłącznie pozytywne przekonanie na własny temat. Ta tendencja, choć wydaje się być czymś naturalnym, prowadzi do wielu niekorzystnych konsekwencji. Opiera się ona bowiem na zakłamywaniu rzeczywistości. Nie ma tutaj znaczenia, czy poczucie własnej wartości jest oparte na uzasadnionych czy nieuzasadnionych przesłankach – celem jest maksymalizowanie tego poczucia. Tak oto dzieci w Stanach Zjednoczonych myślą wprawdzie, że są najlepsze i wyjątkowe, choć w konkretnych sytuacjach życiowych coraz trudniej im sprostać realnym okolicznościom. Mimo że posiadają wysokie poczucie własnej wartości, to jest ono niezwykle kruche i niestabilne, i nie może być inaczej, skoro nie jest oparte na rzeczywistych przesłankach.

Po trzecie wreszcie, do przesady rozwinęła się ideologia wiktymologiczna, która pozwala rozgrzeszać się z doznawanych niepowodzeń przenosząc ciężar odpowiedzialności na warunki zewnętrzne. W ten sposób następuje wprawdzie natychmiastowe ukojenie nadszarpniętej samooceny, jednak w konsekwencji prowadzi to do kreowania siebie na ofiarę, której bierność i smutek stają się objawami wyuczonej bezradności.

Jak więc widać depresja jawi się jako zaburzenie wynikające z rosnących coraz bardziej wymagań wobec jednostki przy jednoczesnym nacisku na to, by czuła się ona zawsze dobrze.

Takie zjawiska jak niespełnienie pośród dostatku, nuda pośród nieograniczonych możliwości, uzależnienia pośród nacisku na wolność i niezależność, czy zagonienie i pośpiech pośród urządzeń oszczędzających nam czas są prawdziwymi znakami naszych czasów i wskazują na pogłębiającą się zapaść dominującej koncepcji rozwoju cywilizacyjnego.

Pojawienie się tzw. *miejskiej psyche*, która zdominowała, wyparła, a może nawet zniszczyła inne ważne funkcje całości psychofizycznej człowieka, skutkuje dramatycznymi zjawiskami w wymiarze psychologicznym, społecznym, fizycznym i duchowym. Świat, który stworzyliśmy, niezbyt nam sprzyja. Wygoda i luksus, do jakiego dążymy za wszelką cenę, ostatecznie nas degenerują i sprawiają, że zatracamy naszą prawdziwą naturę. Nasze ciała w procesie ewolucji najlepiej przystosowały się do warunków, które były

charakterystyczna dla aktywności zbieracko-łowieckiej. Dzisiaj, gdy wozimy je samochodami, zamykamy w ciasnych klatkach mieszkań, karmimy wysoko przetworzonym jedzeniem i tabletkami, stopniowo degenerują się, a wraz nimi to samo dzieje się z psychiką. Do tego dochodzi jeszcze rozpad więzi społecznych, wszechobecna rywalizacja i niezwykle wręcz obciążenie naszego „ja”, które musi udźwignąć ciężar wykreowania siebie w taki sposób, by w istniejących układach społecznych zaistnieć jako wartościowy „towar”. To wszystko jest zabójcze dla nas, odbiera nam siły, spokój umysłu i radość życia. Ci, którzy są w stanie sprostać tym ciągle rosnącym wymaganiom, zaprzędają duszę diabłu i tylko odraczają w czasie smutną perspektywę spłacenia rachunków wobec własnej natury. Inni po prostu rezygnują, stopniowo zagłębiając się w czeluściach własnego szaleństwa lub cierpienia.

Po raz kolejny widać jak na dłoni, że to, co nie służy przyrodzie, nie jest dobre również dla człowieka. Te dwa pozornie odległe aspekty faktycznie są ze sobą blisko związane, a właściwie stanowią jedną i tę samą rzeczywistość. Patrząc na to, co robimy przyrodzie, widzimy, jaką krzywdę wyrządzamy sami sobie. Ale kto chce tak naprawdę uczciwie spojrzeć na te zjawiska? W naszym krótkowzrocznym interesie leży to, by nie być świadomym tych powiązań i by w dalszym ciągu przekonywać siebie, że idziemy jedyną słuszną drogą. A nawet tym bardziej afirmować tę drogę rozwoju cywilizacyjnego, im bardziej wyraźne stają się fakty podważające sens kierunku, który wybraliśmy.

Jak duże cierpienie musimy jeszcze zafundować światu i sobie, by w końcu obudzić się z tego snu?

# Dlaczego ludzie nie przyjmują do wiadomości, że jest tak źle?

---

Interesujące jest to, że raporty o stanie świata, w tym o kondycji człowieka nie przebijają się medialnie do szerokiego odbiorcy. O tym wszystkim, co napisałem, nie dowiemy się z pierwszych stron gazet, a nawet jeśli, to większość z nas obojętnie wruszy ramionami i przejdzie nad tym do porządku dziennego. Do ludzi w większości nie dociera to, jak jest źle i w związku z tym nie zmieniają, nie chcą zmieniać swojego życia.

Dlaczego tak się dzieje? Otóż kryje się za tym ważny psychologiczny mechanizm, który każdy z nas zna z codziennego życia. Chodzi o to, że bardzo lubimy mieć rację. Uważamy, że nasz sposób postępowania jest właściwy i robimy wszystko, żeby potwierdzać jego słuszność oraz podtrzymywać się w dobrym samopoczuciu. W kontekście kryzysu ekologicznego przychodzi nam to o tyle łatwiej, że jego skutki są zwykle odroczone w czasie, a sama katastrofa, która się nieuchronnie zbliża, ma znamiona katastrofy pełzającej, a nie jednorazowego spektakularnego zdarzenia o wyraźnej i jednoznacznej przyczynie. Zatem lubimy żyć tym życiem, którym żyjemy, lubimy czuć się dobrze i robimy wszystko, by nie dostrzegać, jak kolejne nity wypadają z samolotu, którym lecimy, bo przecież ciągle jeszcze on leci.

Jesteśmy mistrzami w podtrzymywaniu dobrego samopoczucia i przekonywaniu siebie, że wszystko jest OK. Używki, cały przemysł rozrywkowy i nasze codzienne małe i duże uzależnienia chronią nas przed tym, żeby spojrzeć prawdzie w oczy. Podobnie jak alkoholik, nie widzimy problemu, nie potrafimy przyznać się do tego, że jesteśmy chorzy. Zamiast tego po raz kolejny znieczulamy swoją świadomość i wprowadzamy się w stan upojonej beztroski. Dlatego wolimy nie słuchać lub bagatelizować doniesienia tych okropnych ekologów, którzy psują nam nastrój. Niech żyje bał! Zabawmy się na śmierć!

Co więc pozostaje? Chyba tylko czekać, aż wypadnięcie kolejnego, może nawet niezbyt ważnego nitu spowoduje katastrofę samolotu. Wtedy nie będzie już można nie dostrzegać problemu. To prawdziwie zbawienna sytuacja. Alkoholik też zwykle dostrze-

ga problem i udaje się na leczenie, gdy osiąga dno.

Czym jednak jest ten wszechobecny kryzys, który manifestuje się niemalże na każdym kroku? Ci, którzy go widzą, w większości jednak traktują go jako coś, czego nie powinno być. Kryzys, to coś złego, niewłaściwego i szkodliwego. Kryzys to destrukcja, choroba, cierpienie i śmierć. To koniec pewnego stanu obecnego, czegoś, co trwało do tej pory.

W historii naszej planety mieliśmy pięć tego typu dramatycznych epizodów, kiedy to niemalże całe życie zostało zmiecione z powierzchni Ziemi. Oczywiście później się odraźdało, by załamać się podczas kolejnego wymierania. Ten schemat powtarzany jest na innym poziomie codziennie w historii gatunków, poszczególnych osobników, a nawet określonych procesów życiowych. Życie i śmierć, choroba i zdrowie, sukces i porażka, ale też wdech i wydech, dzień i noc, skurcz i rozkurcz serca, wszystko to jest wpisane w uniwersalny i odwieczny rytm wszechświata, który pulsuje na wszystkich poziomach swojego istnienia: od atomu, poprzez komórkę, organizm, gatunek, aż po planety i galaktyki. Wydaje się nawet, że kosmos jako taki również poddaje się temu pulsowaniu – właśnie, po wielkim wybuchu, jesteśmy w fazie rozszerzania się wszechświata i kto wie, czy po nim nie nastąpi jego kurczenie się i zapadanie. To prawdziwy wdech i wydech Absolutu.

Jaki to ma związek z kryzysem? Ano taki, że my, ludzie, z powodu naszego wewnętrznego podzielenia, rozdzielamy ten naturalny proces i jednej części przypisujemy wartość pozytywną, a drugiej negatywną. Rozwój, życie jest dobre, kryzys, śmierć są złe.

Ale kryzys jest jak najbardziej częścią wielkiego spektaklu życia, jest zarzewiem zmiany, jest cudowną sposobnością, jest zapowiedzią nowego. Bo stare w końcu musi odejść i zrobić miejsce nowemu. Żeby wyzdrowieć, najpierw trzeba zachorować – jak mawiał pewien poeta. Trzeba doświadczyć tej choroby w pełni, jej bólu i cierpienia, a nie łykać kolejną tabletkę przeciwbólową i udawać, że wszystko jest w porządku. Trzeba więc zachorować i wierzyć w to, że choroba, że kryzys jest częścią procesu zdrowienia i że musi mieć swoje miejsce, bo bez tego nie dokona się przemiana. Wietnamski mnich buddyjski Thích Nhất Hạnh mówi, że jednym z najważniejszych zadań, jakie przed nami stoją, jest „usłyszeć w sobie głos płaczącej Ziemi”. Ten głos jest naszym głosem, który póki co tłumimy, wypuszczając się w kolejne cywilizacyjne poprawiacze nastroju. I dlatego

kryzys się pogłębia, dobijając się do bram naszej świadomości coraz bardziej wyraźnymi sygnałami.

Taka perspektywa patrzenia na świat pozwala jednak na zachowanie niewzruszonego spokoju umysłu oraz zaufania w mądrość procesu, który się toczy, jakkolwiek może się on nam nie podobać.

To prawdziwa sztuka i niezmiernie ważna rzecz: czuć wyraźnie kamyk w butcie, doświadczać „kryzysowej niewygody”, zmieniać swoje życie i jednocześnie mieć w sobie spokój, który podpowiada, że żyjemy jednak na najlepszym ze światów...

# Komu grozi wielkie wymieranie?

---

Podobno nie ma co do tego żadnych wątpliwości: żyjemy w czasach wielkiego wymierania gatunków, szóstego w historii Ziemi. Z 99% gatunków, które kiedykolwiek istniały na tej planecie, nie istnieje już żaden. Oznacza to, że wymieranie jest czymś naturalnym w historii Ziemi i tak jak zwykłą rzeczą kolejną jest pojawianie się gatunków nowych, tak też normalną sprawą jest wypadanie tych dotychczasowych z ewolucyjnej gry. A jednak ten proces ma swoją dynamikę; w ciągu kilku miliardów lat pięć razy życie załamywało się niemal kompletnie i właśnie te zdarzenia nazywamy katastrofami. Oczywiście później odradzało się w jeszcze bogatszej i w bardziej zróżnicowanej formie, niemniej jednak to odrodzenie poprzedzone było dramatem.

Dzisiaj przeżywamy ten scenariusz po raz kolejny. Na naszych oczach życie znika w zastraszającym tempie. Jak szacują naukowcy, przebiega ono od kilkuset do nawet kilku tysięcy razy szybciej (!) niż w okresach stabilizacji. Co takiego się stało? Czy dostaliśmy kopniaka z kosmosu, czy zmieniły się bieguny Ziemi, a może jakiś ogromny wulkan wypułł tyle dymu, że zmienił się klimat? Nie, wiemy już z całą pewnością, że za tą agonią stoimy my – ludzie. Jest nas za dużo i żyjemy w sposób skrajnie niezrównoważony, co odbija się na kondycji całej biosfery.

Ale wielu z nas wzrusza ramionami. I cóż z tego, że gatunki wymierają? Jakie to ma znaczenie dla nas? Tak naprawdę prawie nikt się tym nie przejmuje. No, może oprócz garstki nawiedzonych ekologów, którzy próbują przekonywać, że z tego powodu tracimy potencjalne lekarstwa na nieuleczalne jeszcze choroby, że świadczenia ekosystemu są najważniejszym warunkiem dobrobytu ludzkości, że w sposób niesprawiedliwy ograniczamy szanse przyszłym pokoleniom. Z pewnością w tych wszystkich argumentach jest sporo prawdy. Ale z jakiegoś powodu ludzie tego wszystkiego nie chcą słuchać. Większość z nas żyje w przekonaniu, że ludzki świat istnieje poza tym wspólnym, planetarnym systemem życia, że gdy będzie już źle, to damy sobie radę, bo naukowcy coś wymyślą.

Tak, szósta katastrofa w historii Ziemi, której przyczyną jesteśmy my, jest najdobitniejszym dowodem, że straciliśmy w naszych umysłach świadomość połączenia z planetarnym cudem życia i zatraciliśmy się w iluzji oddzielenia. No bo co z tego, że nie będzie wilka, puszczyka uralskiego czy jakiegoś niewielkiego owada, który nie ma jeszcze swojej nazwy? Nic to dla nas nie znaczy, bo w istocie w naszym życiu nic się nie zmienia. Z jednej strony mamy ludzi i ich świat, a z drugiej – przyrodę. Uwierzyliśmy, że te rzeczywistości są rozdzielone i że potrafimy istnieć bez dzikich mateczników, oceanów, raf koralowych i wilków.

Co się jednak stanie, gdy przyjmiemy za prawdę, że istnieje tylko jeden, niepodzielny świat, którego jesteśmy częścią? To, co się wyłania z takiego założenia, nie jest ani wcale łatwe, ani przyjemne. Kto bowiem wymiera? Czy wymierają jakieś tam gatunki? Jeżeli wnikiemy głęboko w tę kwestię, zobaczymy naszą własną agonię. Tak, z każdym gatunkiem, który wypada z ewolucyjnej gry, tracimy jakąś część siebie. Każda śmierć jest kolejnym ciosem, który wymierzamy sobie sami. I jakkolwiek śmierć jest wpisana w proces życia, to wypadki ostatnich kilkuset lat niezmiennie dowodzą, że rozgrywa się jakaś hekatomba, w której jesteśmy jednocześnie sprawcami i ofiarami.

Szósta, planetarna katastrofa jest ostatecznie naszą własną katastrofą; wymieranie gatunków jest naszą własną śmiercią. I nie jest to żadna ideologia ani nawiedzona wizja, tylko podstawowa obserwacja procesu ewolucyjnego.

I nie miejmy złudzeń, że coś da się tutaj zrobić, by zatrzymać ten proces.

Ale mylicie się, jeśli myślicie, że jestem pesymistą. Jakość umierania jest tak samo ważna jak jakość życia. To, jak umieramy ostatecznie jest lustrzanym odbiciem tego, jak żyliśmy, ale też umieranie może w sposób radykalny odmienić nasze życie i uczynić je pełniejszym.

Doświadczenie osób chorujących na nieuleczalne choroby pokazuje, że po jakimś czasie od wysłuchania dramatycznej diagnozy część z nich zaczyna zupełnie inaczej żyć. Mając świadomość ciężącego na nich wyroku, pozwalają sobie na doświadczenie każdej chwili, jakby była ona cudownym darem, zaczynają dbać o to, co i jak jedzą, rezygnują z używek, zbliżają się do ludzi i Boga. Wielu z nich odkrywa, że świadomość choroby i nieuniknionej śmierci była dla nich błogosławieństwem, która odmieniła ich życie



i sprawiła, że przebudzili się z jakiegoś letargu. To paradoks, ale jakość życia może znacznie wzrosnąć, gdy człowiek patrzy w oczy śmierci.

Bo ostatecznie nie chodzi o to, żeby żyć byle jak, ale żeby żyć w pełni. To, że tego nie potrafimy, póki co prowadzi do wielu katastrofalnych skutków, w tym też i tego o wymiarze planetarnym. I poniekąd to całe wymieranie jest odpowiedzią Ziemi na naszą ignorancję, jest zaproszeniem nas do ponownego wejścia w krąg życia, stania się pełną istotą świadomą pokrewieństwa z całym cudem życia, z cudem własnej egzystencji. Szósta katastrofa jest dla nas szansą na przebudzenie się, nawet, jeśli dokona się ten dramat do samego końca. Bo ostatecznie nie o koniec tutaj idzie, ale o każdą kolejną chwilę, którą przeżywa się świadomie i uważnie. Ciągłe mamy jeszcze na to szansę i ciągle tę szansę prowokujemy. W pewnym sensie to my sami ją sobie dajemy. Wydaje się, że ten całościowy proces jest niezwykle mądry i daje nam to, czego najbardziej potrzebujemy. Czy jednak będziemy potrafili z tej szansy skorzystać? Ile jeszcze musi wycierpieć życie, ile jeszcze musimy wycierpieć my sami, byśmy usłyszeli, co do siebie mówimy, co mówi nasze większe JA?

Nawet jeśli nie da się zatrzymać wymierania gatunków, nawet jeśli sami w końcu umrzemy, warto żyć pięknie. Warto ze spokojnym i uważnym umysłem doświadczać w pełni tego, co jest. Świadomość śmierci jest naszą szansą na przebudzenie się za życia.

# Czy przed powodzią trzeba się bronić?

---

Cóż to za szalone pytanie! Jak można poddawać w wątpliwość zabiegi, które mają chronić ludzi, zwierzęta gospodarskie czy zgromadzony majątek? Jeśli przychodzi woda, mała lub wielka, to trzeba robić wszystko, by ograniczyć, a jak się da, to zniwelować zagrożenie.

Powódź, która nawiedza Polskę co kilka lat prowokuje ludzi do refleksji i działań dotyczących coraz lepszej i skuteczniejszej obrony przed wielką wodą. Ech, gdybyśmy tak mieli nieograniczone fundusze, można by przeprowadzić te wszystkie inwestycje, które odkładaliśmy do tej pory, a których brak spowodował dramatyczne skutki. Spróbujmy jednak puścić wodze fantazji i wyobrazić sobie taką rzeczywistość, która w sposób doskonały chroni nas przed powodziami.

Gdybyśmy tak wyprostowali wszystkie rzeki, jednocześnie obudowując je wysokimi, nowoczesnymi wałami, gdybyśmy uczynili z nich wybetonowane rynny, to wtedy żadna woda nie mogłaby nam zagrozić. Każdy większy deszcz, czy gwałtowny roztop śniegu szybko zostałby przetransportowany wprost do morza. Gdyby w pobliżu rzek i wałów wykarczować całą roślinność, ponieważ utrudnia ona szybki spływ wody, przewężając koryto i akumulując osady, to mielibyśmy spokojną głowę. Gdyby w pobliżu wałów powystrzelać, wytruć czy w inny jeszcze sposób zlikwidować wszystkie bobry, piżmaki, nornice, krety, myszy, dżdżownice i inne żywe organizmy naruszające strukturę wałów, to mielibyśmy w końcu spać spokojnie – wały by nie rozmiękały i nie groziłoby nam ich przerwanie. Gdyby tego jeszcze było za mało, mielibyśmy zbudować ogromne zbiorniki retencyjne, które gromadziłyby nadmiar wody i redukowałyby do zera ryzyko powodzi. A gdyby przyszły naprawdę solidne deszcze? Może wtedy nasi, a najlepiej amerykańscy naukowcy wymyśliliby naprawdę skuteczne metody wpływania na pogodę. To byłaby prawdziwa rewolucja – nie ograniczanie skutków, tylko sięgnięcie do samej przyczyny. Deszcz na zawołanie, błękitne niebo na życzenie. Czy coś wtedy mogłoby nam jeszcze zagrozić?

Gdyby te wszystkie marzenia się spełniły, gdyby te ambitne, ale jakże szlachetne i ze wszech miar korzystne cele zostały zrealizowane, to wtedy ze spokojną głową moglibyśmy robić to, czego tak pragniemy: budować domy tam, gdzie się nam zachce, mieć piękne osiedla z oknami skierowanymi na płynącą rzekę. Ale przede wszystkim moglibyśmy mieć pod kontrolą całą rzeczywistość. To jest sen, który musi się spełnić. To pragnienie, które kieruje niemal każdym naszym krokiem, które stoi u podstaw całego rozwoju cywilizacyjnego. Ech, tak by się chciało...

Gdy dotyka nas powódź, gdy jesteśmy boleśnie zranieni przez naturę, tym bardziej, z większym zaangażowaniem będziemy wcielać w życie tę piękną i ambitną wizję. Niech w końcu ziści się nasze pragnienie. Niech cały świat legnie u naszych stóp! Niech już nigdy nie będzie źle.

Ktoś powie, że ten program jest nierealny. Ale to jeszcze pół biedy. On jest najwyczejniej zabójczy – dla nas. Gdyby jakimś cudem udało się go wprowadzić w życie, już bylibyśmy martwi.

Przypomina to sytuację, w której paląc codziennie po kilka paczek papierosów, odżywając się tłusto i siedząc w bezruchu, decydujemy się walczyć z potencjalnym zawałem serca, wyrzucając je z własnej klatki piersiowej i zastępując najnowocześniejszą maszyną, o której wiemy, że nigdy się nie zatka i nie zepsuje.

Czy to jest dobry pomysł – walczyć z własnym sercem, bronić się przed nim, gdy do oczu skacze, że to my sami jesteśmy sprawcami nieszczęścia?

Jeśli idziemy na wojnę z rzekami, bo rzekomo nam zagrażają, to niechybnie prowokujemy jeszcze większe kłopoty. Co ciekawe, nie pomagają tutaj najbardziej nawet rozsądne argumenty, analizy naukowe, wypowiedzi specjalistów, czy przykłady chociażby z Europy Zachodniej, gdzie zamiast ujarzmiania rzek (jak kiedyś) stopniowo się je renaturalizuje. Dlaczego to do nas nie dociera?

Po raz kolejny widać, że ponad wszystko pragniemy mieć rację. Wolimy cierpieć, a wielu z nas nawet zginąć, byleby postawić na swoim. To jeden z najbardziej zadziwiających, ale też i uniwersalnych mechanizmów psychologicznych. Jesteśmy stronniczy i zapatrzeni w siebie – taką właściwością obdarzyła nas natura, bo do pewnego stopnia jest to przystosowawcze – nazywamy to zdrowym narcyzmem. Ale w nadmiarze, jak

wiemy, ta tendencja szkodzi. Dlatego też dramatyczne sytuacje, tragedie czy momenty kryzysowe są dla nas szansą na zmianę, na odstąpienie od własnego stanowiska. Co jednak sprawia, że część z nas nie jest nawet wtedy skłonna zrewidować swoich przekonań? Są dwie możliwości: albo tragedia nie była wystarczająco dotkliwa, albo człowiek tak bardzo tkwi w schemacie walki – obrony, że nie jest dla niego możliwy inny sposób funkcjonowania. Tacy ludzie ciągle czują się zagrożeni, ale paradoksalnie sami prowokują to zagrożenie po to, by uzasadnić nieustanną potrzebę walki i totalnej kontroli. Tutaj można by zapytać dalej: skąd taka silna tendencja do utrzymywania schematu walki – obrony? Wiedza psychologiczna sugeruje, że stoi za tym słabość struktury „ja”. Wczesne, dziecięce zranienia i traumy przekładają się na kurczowe trzymanie się obron, które mają chronić przed potencjalnym zranieniem. Im słabsze „ja”, tym paradoksalnie silniejsza tendencja do walki, do manipulowania i kontrolowania rzeczywistości. „Odpuszczanie” sobie jest możliwe wyłącznie, gdy człowiek nie czuje się zbyt zagrożony, a głównym źródłem zagrożenia jest zawsze własna osoba z dominującym rysem charakterologicznym.

To, co napisałem, nie dotyczy wyłącznie relacji międzyludzkich, ale również naszej relacji ze światem. Dzisiaj psychologowie podkreślają coraz wyraźniej, że mamy do czynienia z epidemią postaw i zaburzeń narcystycznych, które charakteryzują jednostki o słabym i niepełnym „ja”. Nie tylko coraz więcej ludzi manifestuje takie skłonności, ale też dostrzegamy, że nasza cywilizacja staje się coraz bardziej narcystyczna. Usilne i nadmierowe budowanie własnej przewagi oraz próba kontrolowania w coraz większym stopniu rzeczywistości są przesiąknięte narcystyczną trucizną.

Jeśli więc po powodzi, która ludziom zabrała domy i dorobek całego życia, ci sami ludzie z pomocą państwa odbudowują swoje dominium w tym samym miejscu, to zachowują się jak małe dziecko, które za wszelką cenę chce postawić na swoim, choć prowokuje to większe kłopoty w przyszłości.

Wojna trwa, wyzwanie zostało rzucone, kolejny cykl eskalacji szaleństwa został rozpoczęty. Zaraz pokażemy, że przyroda z nami nie wygra, że jesteśmy w stanie obronić się przed każdym zagrożeniem.

Pytanie jest jednak takie: kto komu zagraża? Czy rzeki nam zagrażają?

Rzeka nie ma oczywiście intencji wyrządzenia komukolwiek szkody; nie ma złej woli,

ani jakiejś ukrytej złości na nas. Rzeka ma swój rytm wezbrań i opadania. To jej oddech, który podobny jest do naszego, to właściwy jej puls, którym wibruje również wszystko wokół: atomy, drzewa, oceany czy pory roku. Powódź jest wyłącznie zjawiskiem ludzkim. Jest skutkiem naszych własnych działań – nadmiarowych tendencji do bronięcia się przed życiem z jego różnorodnością. Kto zatem zagraża komu?

Największym zagrożeniem dla nas jesteśmy my sami. Odcinając od siebie kolejne obszary dzikości i naturalności, coraz bardziej osłabiamy nasze wątle „ja”. Budujemy coraz większy mur mający nas uchronić przed złym światem, choć to rozpoznanie jest iluzją, a sam mur powoduje coraz większe cierpienie dla nas samych i dla tego, co wokół nas.

Dlatego, jeśli uważamy, że musimy bronić się przed powodzią, to oznacza, że uczestniczymy w jakimś koszmarnym tańcu, w jakiś cyklicznym dramacie, który sami prowokujemy.

Zamiast więc walczyć z rzeką, najlepsze, co możemy zrobić, to odkryć ją w sobie, stać się nią i zrobić to, co ona – dostosować się do tego, co jest. Woda zawsze idealnie i bezwysiłkowo wpasowuje się w warunki. Dla nas oznacza to pójście tam, gdzie możemy być w najlepszej zgodzie z tym, co jest. Gdzie nas chcą. To z pewnością nie jest rzeczna dolina. W zgodzie z miejscem, z rzekami, chmurami, lasami, zwierzętami i ludźmi nasze „ja” ma też znacznie większe szanse, by dojrzeć, stać się prawdziwie mocne i tak bardzo nie bronić się przed życiem. W takich warunkach nasz toksyczny narcyzm rozplywa się jak nocny koszmar w świetle porannego słońca.

Póki co jednak wojna trwa. My, ludzie, pokażemy tym rzekom takiego „wałę”. O!  
Ciekawe, jak długo jeszcze.

# Czy to dobrze, że dopada nas kryzys ekonomiczny?

---

No cóż, chyba nikt nie lubi kryzysów, szczególnie finansowych. Kryzys oznacza konieczność zmiany, a tej raczej się wystrzegamy. Lubimy status quo, bo nie wymaga to od nas żadnego wysiłku dostosowywania się do nowej sytuacji. Boimy się nowego i nieznanego, a przecież każda zmiana, to zmierzenie się z rzeczywistością, której jeszcze nie ma. No i poza tym wszystkim uwielbiamy mieć rację, a sytuacja kryzysowa jest przykrą okolicznością mówiącą nam, że mogliśmy się mylić.

Szalejący w latach 2007 – 2009 światowy kryzys finansowy i towarzyszący mu w latach kolejnych kryzys ekonomiczny dotykał nas w tych wszystkich wymiarach i straszyl bezrobociem, obniżeniem poziomu życia czy koniecznością ograniczenia własnych zachcianek. Sprawiał, że czuliśmy się mniej bezpiecznie, z obawą myśleliśmy o własnej przyszłości, a i terażniejszość jawiła się jako trudna, ponieważ stawiała nowe wyzwania i problemy, których wolelibyśmy uniknąć.

Gdy dopada nas kryzys, marzymy, by wróciło stare. To życie, które wiedliśmy do tej pory, choć może nie było usłane różami, to jednak mieliśmy przekonanie, że jest najlepszym z możliwych. Dlatego w swoich prognozach zwykle licytujemy się, ile ta trudna kryzysowa sytuacja będzie trwała i kiedy będzie jak kiedyś. Ostatecznie traktujemy ją jako tymczasową, nienormalną, a to, co było, jako właściwe i pożądane. Kiedy się to skończy? Oby jak najszybciej – marzymy.

Zapytajmy jednak, do czego chcemy wrócić, kiedy obecnie dzieje się źle. Przede wszystkim do cywilizacji, która istnieje wyłącznie dzięki szaleńczej konsumpcji. To, że ciągle coś kupujemy, sprawia, że cały system ekonomiczny może funkcjonować. Taka konsumpcja jednak oparta jest na dwóch zasadniczych kłamstwach. Pierwsze polega na tym, że kupujemy rzeczy, które w większości są nam niepotrzebne, nie odnoszą się do naszych zasadniczych potrzeb. Daliśmy sobie wmówić, że dzięki gadżetom nasze życie będzie pełniejsze i szczęśliwsze, że konsumpcja jest drogą do lepszego świata. Tak

jednak nie jest, o czym przekonujemy się na każdym kroku osobiście, nie wspominając już innych zapewnień pochodzących z badań naukowych, przekazów mędrców, filozofów, czy przywódców religijnych. Drugie kłamstwo polega na tym, że uwierzyliśmy, że wszystko możemy mieć. Prawda jest jednak taka, że na tak szaloną konsumpcję zwyczajnie nas nie stać. Żeby konsumować w taki sposób, trzeba zaciągać kredyty. Dzisiejszy obywatel wolnego świata ma poczucie nieograniczonych możliwości, choć tak naprawdę kryje się za tym wyrafinowana forma niewolnictwa, polegająca na uwikłaniu się w zobowiązania finansowe, zwykle na kilkadziesiąt lat. W ten oto sposób ludzie zaharowują się, pracując po kilkanaście godzin na dobę, ciągle żyjąc w lęku związanym z groźbą niespłacenia kredytu.

Zadłużanie się nie jest wyłącznie domeną zwykłych ludzi. Okazuje się bowiem, że zadłużają się firmy małe i duże, zadłużają się banki jedne u drugich, a w końcu zadłużają się całe państwa, dzięki czemu jako formy instytucjonalne w ogóle mogą istnieć. Najbardziej zadłużonym obecnie państwem na kuli ziemskiej są Stany Zjednoczone – jednocześnie najbogatsze państwo na świecie. W pierwszej dekadzie XXI w. kolejne państwa Unii Europejskiej borykały się z kryzysem wynikającym z nadmiernego zadłużenia. Większość bogatych państw, w tym i Polska, posiada tak znaczący dług publiczny, że stanowi to silny czynnik destabilizujący i pogłębiający strukturalny kryzys finansowy i gospodarczy. Ten publiczny dług jest tak ogromny, że podobno nawet ekonomiści nie są w stanie odpowiedzieć, kto i kiedy będzie mógł go spłacić. Tak czy owak, bez kredytowania współczesnego systemu ekonomicznego ten ogromny gmach runie jak przysłowiowy domek z kart. I tak właśnie dzieje się w okresach kryzysu, ponieważ jednym z jego objawów jest brak zaufania w relacjach finansowych, co przekłada się na ograniczony zakres kredytowania zarówno w przypadku zwykłych ludzi, jak i firm, banków czy całych państw.

Zatem każdy kryzys ekonomiczny jest spojrzeniem prawdzie w oczy, jest okazją do poznania kłamstw, na jakich oparty jest nasz świat. Najkrócej mówiąc: żyliśmy ponad stan, przeholowaliśmy z naszą niepohamowaną żarłocznością. Kryzys jest jak bolesne oparzenie, które mówi nam, że najszybciej jak to możliwe musimy cofnąć rękę z nad gorącego pieca. Kryzys jest dla nas ratunkiem!

A co na to mówią nasi ukochani przywódcy? Oni mówią: utrzymajmy za wszelką

cenę to, co było. Żyjmy jak dotychczas. Mówią wprost: konsumujmy! zaciągajmy kredyty! Oczywiście, żeby to brzmiało mądrze i roztropnie, podkreślają, że mamy konsumować teraz ekologiczne produkty, a przy udzielaniu kredytów banki mają posługiwać się bardziej racjonalnymi przesłankami. Nie zmienia to w żaden sposób tych dwóch kłamstw, w które ślepo uwierzyliśmy. Tak naprawdę obecne sposoby zażegnania kryzysu są zachęcaniem do dalszego trwania w niebezpiecznej iluzji.

Nie może być jednak inaczej, bo przecież gdybyśmy rzeczywiście skonfrontowali się z głębokimi przyczynami sytuacji kryzysowej i spróbowali im zaradzić, to niechybnie współczesny system ekonomiczny, a nawet szerzej: cały współczesny świat musiałby zmienić się radykalnie. Na taką zmianę w większości nie jesteśmy gotowi, bo prawdopodobnie wiązałaby się ona z ogromnymi kosztami społecznymi. Tak czy inaczej ta zmiana prędzej czy później nas czeka, ponieważ w kłamstwie można żyć tylko jakiś czas. Rzeczywistość w końcu weryfikuje takie kłamliwe systemy i odsyła je w niebyt.

Jeśli ktoś jest zwolennikiem prawdy, to kryzys ekonomiczny jest najlepszą z możliwych okoliczności. Pokazuje jak na dłoni ślepą uliczkę, w jaką sami się wpakowaliśmy. Trudno przy tej okazji pominąć aspekt przyrodniczy. Kiedy ludzie doświadczają kryzysu ekonomicznego, to wydają mniej pieniędzy, mniej konsumują. To sprawia, że producenci mniej produkują. Kolejne fabryki są zamykane. Nowe powstają wolniej. Buduje się mniej domów. Ludzie mniej jeżdżą samochodami. W wakacje zamiast lecieć tysiące kilometrów albo zostają na miejscu, albo wybierają miejsca niezbyt odległe. Gospodarka się kurczy. Zużywa mniej surowców, produkuje mniej zanieczyszczeń. To wszystko jest prawdziwym oddechem dla świata naturalnego. Mniejsza ekspansja człowieka jest zawsze szansą dla przyrody na zregenerowanie własnych zasobów. Dlatego też kryzys jest zbawienny dla środowiska naturalnego. Podobną sytuację mieliśmy w Polsce pod koniec lat osiemdziesiątych. Wtedy recesja związana z transformacją gospodarki okazała się korzystna dla środowiska. Żadne nawoływania ekologów do opamiętania się, żadne koncepcje, filozofie, systemy etyczne, żadne prawo dbające o przyrodę, żadne autorytety, żadne nawet najcudowniejsze systemy edukacyjne wskazujące na wartość przyrody nie mają takiego wpływu na jej zachowanie jak właśnie załamanie gospodarcze.

Swoją drogą to dość smutna i zatrważająca obserwacja. Okazuje się bowiem, że



wymyśliliśmy świat, w którym to, co dobre dla przyrody, okazuje się być złe (pozornie) dla człowieka, a to, co jest trudne i bolesne dla człowieka jest korzystne dla przyrody. Po raz kolejny ukazuje to kłamiwe fundamenty, na jakich postawiony jest nasz świat. Bo oczywista prawda jest zupełnie inna. To, co dobre dla przyrody jest zawsze dobre dla człowieka, a to, co dobre dla człowieka (w głębokim znaczeniu tego słowa) jest też dobre dla przyrody. W tym sensie obecny kryzys pokazuje, w jakim kierunku powinniśmy pójść i jakie priorytety wziąć pod uwagę, poszukując nowej wizji świata.

Kryzys prowokuje sporo zmian. Przede wszystkim rośnie bezrobocie. To zawsze jest bolesne, ale trzeba się zastanowić, czy chcemy, by ludzie pracowali przy taśmie, produkując samochody, zmywarki, telewizory czy tandetę za 4 zł i stawali się w tej pracy ludzkiemi automatami. Czy takiej pracy chcemy? Czy taki system pozwala afirmować nasze człowieczeństwo? Bezrobocie jest zjawiskiem stworzonym wyłącznie przez obecnie panujący system, ponieważ pracy dla każdego człowieka jest wystarczająca ilość. Tak było od zawsze, gdyż życie oznacza pracę. To dopiero ostatnio daliśmy sobie wmówić, że liczy się jedynie praca na rzecz systemu, który nas dehumanizuje i zniewala.

Podczas kryzysu zdecydowanie mniej konsumujemy. Ale to jest informacja dobra dla wszystkich. Dla ludzi, bo będą bardziej rozważnie, powściągliwie i oszczędnie zarządzać swoimi zasobami, ograniczając zachcianki, które prowadziły wyłącznie do degradacji naszego człowieczeństwa. Dla środowiska, bo dzięki recesji obciążenie ekosystemów będzie mniejsze.

Jeśli przychodzi kryzys, cieszymy się. To jest szansa dla nas wszystkich, dla całego świata.

# O czym świadczą nasze lasy?

---

W statystykach wygląda to nawet niezłe: 29% powierzchni naszego kraju zajmują lasy. Polska może się poszczycić wciąż rosnącą lesistością, choć do średniej unijnej ciągle nam jeszcze trochę brakuje. Niemniej jednak po drugiej wojnie światowej udało się nam odbudować leśny potencjał i znacząco go powiększyć.

Co to jednak za lasy, chciałoby się powiedzieć. Co tak naprawdę możemy nazwać lasem? I gdzie taki prawdziwy las możemy spotkać?

Las to oczywiście coś więcej niż tylko skupisko drzew na jakimś obszarze. Prawdziwy las, to taki ekosystem, w którym obecne są naturalne procesy wolne od znaczącej ingerencji człowieka. Prawdziwy las, to miejsce, gdzie rośliny, grzyby i zwierzęta „pasują” w sposób naturalny do warunków środowiskowych, czyli gleby, klimatu, układu hydrologicznego czy obecności innych organizmów.

Biorąc pod uwagę te kryteria, niewiele naszych lasów będzie można nazwać prawdziwym lasem. Powyższy pogląd jest wyrażony między innymi przez dziennikarza Gazety Wyborczej Adama Wajraka. Adam wie co mówi, bowiem ma to szczęście, że niemal na co dzień może podziwiać prawdziwy las. Puszcza Białowieska, bo to właśnie w jednej z puszczańskich wiosek mieszka dziennikarz, jest z pewnością jednym z nielicznych przykładów lasu w naszym kraju, który zachował sporo cech naturalnych, a nawet pierwotnych.

A co z pozostałymi lasami? Miałem to „szczęście” jakiś czas temu przez kilka dni podróżować rowerem przez lasy Pomorza Zachodniego. Monokultury sosnowe jak powtarzający się refren dominowały w leśnym krajobrazie. Ten rodzaj lasu słowacki aktywista ekologiczny Juro Lukáč nazywa martwym lasem. Bo mimo, że las z definicji jest środowiskiem życia, to w tym przypadku jest go rzeczywiście niewiele. Dzieje się tak, ponieważ człowiek prowadzi w nim gospodarkę, pozyskując drewno i robi to w sposób daleki od zrównoważonego. Takie „lasy” bardziej przypominają plantacje desek niż żywy organizm, który rządzi się własnymi prawami. Plantacja desek jest zakładem produkcyjnym,

w którym sadi się, nawozi, pielęgnuje, walczy ze szkodnikami, opiekuje się zwierzętami, zabija je oraz wycina drzewa, gdy osiągną wiek rębności. Te działania prowadzone są według zasad i planu zwanego operatem urządzeniowym. W takim lesie wszystko (jeśli to w ogóle możliwe) ma być pod kontrolą człowieka. A robi się to po to, by zachować las i jednocześnie mieć cenny surowiec. Leśnicy przekonują, że gospodarując w lasach, jednocześnie je chronią. Jeśli jednak taka jest prawda, to dlaczego najcenniejsze lasy wyłącza się z takiej planowej gospodarki i chroni pod postacią rezerwatów? Gdyby rzeczywiście współczesne leśnictwo w odpowiedni sposób gospodarowało lasami, to rezerваты przyrody (przynajmniej te leśne) nie byłyby potrzebne.

Wiele przemawia za tym, że plantacja desek jest katastrofą dla lasu, zmieniającą to, co żywe, w to, co martwe. To dlatego prawie wszystkie polskie lasy zostały zniszczone tak bardzo, że dzisiaj trudno je nazwać lasami.

Badania naukowe wskazują na to, że w złożonym pod względem struktury (różne gatunki drzew, w różnym wieku) lesie grądowym na obszarze 10 ha występuje aż 147 gnieźdzących się par ptaków z 33 gatunków. W przypadku typowego lasu hodowlanego w wieku 70 lat, na podobnym obszarze gniazdowało wyłącznie 9 par ptaków z dwóch gatunków. Różnorodność gatunków ptaków w lasach i ich liczebność jest dobrym odzwierciedleniem kondycji lasu, stopnia jego stabilności i zachowania naturalnych procesów w niezmienionym stanie. Żywy las to względnie stabilny, choć dynamiczny ekosystem, który cechuje się sporą bioróżnorodnością, zróżnicowaniem wiekowym i gatunkowym. Leśne monokultury są martwymi plantacjami desek.

Od jakiegoś czasu leśnicy, którzy zarządzają tym naszym ogromnym wspólnym dobrem, deklarują, że funkcje produkcyjne lasu stają się mniej ważne, niż pozostałe funkcje, które las pełni. Zatem najważniejsze nie mają być zyski finansowe z pozyskania drewna, ale to, że las np. dostarcza tlenu, absorbuje zanieczyszczenia powietrza, chroni przed powodzią, czy stwarza miejsce wypoczynku dla ludzi. Mimo że ta deklaracja jest wielce obiecująca, to praktyka pokazuje jednak, że na prawdziwą zmianę przyjdzie nam jeszcze poczekać. Oczywiście nie chodzi o to, by zrezygnować z pozyskania drewna i nic nie wycinać; chodzi o to, by wycofać się z totalnej kontroli i pozwolić działać przyrodzie z jej mądrością naturalnego procesu. Jednymi z działań, które sprzyjałyby

powrotowi lasów do życia, byłoby nieusuwanie z nich pojedynczych złamanych drzew, wywrotów i suchych stojących drzew oraz pozostawienie części dorosłych drzew (najlepiej ok. 20%) do ich naturalnego rozpadu w drzewostanie. Taki rodzaj gospodarowania nie zamyka możliwości zarabiania na lesie. Ale prawdopodobnie wiązałoby się to jednak z mniejszym, przynajmniej na początku, pozyskaniem drewna, a w konsekwencji ze wzrostem jego ceny. To zaś mogłoby być zabójcze dla przedsiębiorstwa Lasy Państwowe, które jak każda szanująca się firma ma generować przede wszystkim zysk. Alternatywą jest dalszy monokulturowy oraz totalnie kontrolowany proces gospodarki leśnej. Warto jednak sobie uświadomić, że obecny model nie może trwać wiecznie. Monokultury są z każdym pokoleniem coraz słabsze, wymagają coraz większych nakładów, a pozyskiwany surowiec drzewny jest coraz słabszej jakości. Ten model, nastawiony na zysk, jest tak naprawdę ukrytą formą zadłużania się i prowokowania większych kłopotów w przyszłości.

Jak więc widać, gospodarowanie lasami jest kolejnym przykładem tego, jak współczesna ekonomia tworzy system oparty na nierównowadze. Nasze lasy poddawane są ogromnej presji ekonomicznej i w tym kontekście ukazują podstawowy rys naszego współczesnego świata. Lasy będące synonimem życia ukazują, co się dzieje, gdy poddane zostają ekonomicznemu rachunkowi. W takiej sytuacji stają się własną karykaturą – ową plantacją desek, która stopniowo zamienia się w martwy ekosystem.

Przyglądając się lasom, widzimy też samych siebie. My również ulegliśmy ekonomicznemu dyktatowi i uczyniliśmy ze swego życia coś na kształt monokultury. Wprawdzie mamy poczucie jednostkowej wolności, ale po prawdzie wszyscy odgrywamy jakiś koszmarne spektakl, w którym to, co żywe, zamienia się na to, co martwe. Żywe doświadczenie życia zamieniliśmy na wirtualną sieczkę, którą konsumujemy równie nałogowo jak tysiące innych produktów. To ma być życie? Bardzo w tym przypominamy monokulturę sosnową, która jest ciągle obca w miejscu swojego życia, którą ktoś zaplanował i ukształtował, by czerpać z tego określone profity.

Mimo pozorów różnorodności, nasz współczesny świat jest bardzo monokulturowy. Co z tego, że jeździmy różnymi samochodami, skoro stworzyliśmy świat, w którym trzeba mieć samochód. Co z tego, że mamy kilkadziesiąt programów w telewizorze, skoro uczyniliśmy świat, w którym zasiadamy przed ekranami jak przed ołtarzem. Najważniejszym

jednak monokulturowym kieratem jest model ekonomiczny, który nauczył nas wąsko kalkulować swoje życie w kategoriach zysku i straty. Taki oto stworzyliśmy świat. Tacy w końcu sami się staliśmy.

Jaki człowiek, takie lasy. Jakie lasy, taki człowiek. Bo może szansą dla nas na przebudzenie się z tego letargu byłoby uważne słuchanie i uczenie się od prawdziwego lasu. Ale gdzie ten las, od którego mamy się uczyć? Póki co, kontaktując się z plantacjami desek podtrzymujemy, jedynie dominujące wzorce. Utwierdzają nas one w przekonaniu, że przyrodę trzeba aktywnie zarządzać, nie pozwalając na żadne odstępstwa od z góry ustalonego planu.

Taka nadmierna kontrola skutkuje wyłącznie kłopotliwą frustracją, że sprawy nie idą tak, jakbyśmy chcieli.

Rozmawiając z wieloma leśnikami, uświadomiłem sobie, jak bardzo ta grupa zawodowa narażona jest na frustrację. Ciągłe bowiem jest coś nie tak. A to gradacja jakiegoś szkodnika, a to pożar, a to jeleniowate zgryzają podrost. Ciągłe trzeba walczyć z naturalnym procesem, który tylko czyha, by uszczuplić nasze zyski i pokrzyżować nasze plany. Najbardziej jednak absurdalnym i niebezpiecznym wnioskiem, jaki ludzie formułują w oparciu o tego typu sytuacje, jest stwierdzenie, że lasom najbardziej zagraża istniejące w nich życie. To naturalny proces ma w sobie rzekomo najbardziej niszczycielski potencjał. Zatem zadaniem leśników jest za wszelką cenę chronić las przed nim samym. Tak oto największym "sukcesem" współczesnego leśnictwa jest utożsamienie wąsko pojmowanego rachunku ekonomicznego z istotą życia.

Wiele wskazuje na to, że można inaczej, że można pogodzić pozyskanie jakiejś ilości drewna z zachowaniem ciągłości lasu i naturalnego procesu.

Jeśli taki scenariusz jest możliwy, to za jakiś czas mielibyśmy prawdziwe lasy, a i my sami mielibyśmy szansę bardziej zrównoważyć nasze życie i uczynić je bardziej żywym. Bowiem lasy są naszym zwierciadłem i jednocześnie wielkim nauczycielem, którego mamy nauczyć się ponownie słuchać.

# WOJNA Z PRZYRODĄ

# Czy i dlaczego człowiek niszczy przyrodę?

---

Dlaczego ja niszczę? Dlaczego robisz to Ty? Na tak postawione pytanie większość ludzi się obruszy. Jak to? Przecież nie wyrzucam papierków gdzie popadnie, segreguję śmieci, szanuję zieleń... No tak, tylko skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

Robimy wszystko, aby nie dopuścić do siebie poczucia winy w związku z degradacją planety. Wprawdzie mówimy czasami, że to człowiek jest odpowiedzialny na kryzys ekologiczny, ale jakby nie dotyczy to samego autora tych słów. W ten sposób zachowujemy dobre samopoczucie i jednocześnie słusznie pomstujemy na tych innych. Tak oto w poczuciu troski o przyrodę i dobrze spełnionego obowiązku, zwykle nieświadomie podejmujemy takie działania, których konsekwencją jest coraz większa degradacja środowiska naturalnego. Dopóki więc nikt z nas nie bierze osobistej odpowiedzialności za to, że znajdujemy się w sytuacji globalnego kryzysu ekologicznego, to jak może się to zmienić?

Zatem, dlaczego ja niszczę przyrodę? Bo oddzieliłem się od niej, bo zapomniałem o tym, kim naprawdę jestem i skupiam się na własnym, małym „ja”, bo nie słucham, co przyroda mi mówi, bo wydaje mi się, że to ja mam rację, bo inni też niszczą, więc widocznie tak trzeba, bo Pan Bóg dał mi władzę nad Ziemią, bo liczy się tylko doraźny zysk, bo nie zadaję sobie głębokich pytań i żyję jak automat, bo...

Tych odpowiedzi mogłoby być jeszcze sporo i wszystkie zdają się zawierać cząstkę prawdy. Mimo to, że dotyczą one różnych rzeczy, jest coś, co je łączy. Tym czymś jest pewne założenie, który kryje się też za pytaniem: „dlaczego człowiek niszczy przyrodę?” Otóż zagłębiając się w to pytanie odkrywamy, że stawiamy w nim człowieka poza przyrodą. Jest jakaś natura i jakby obok – człowiek, który ją niszczy. Zatem to pytanie, jak i konstatacja, która się za nim kryje, występują przeciwko podstawowej prawdzie, która mówi, że świat jest jeden, a człowiek jest jego częścią. Czyż nie wpadamy tu we własne sidła?

Można by zapytać: jaka jest różnica między człowiekiem i tym, co robi, a innym, inwazyjnym gatunkiem, który może zniszczyć swoje środowisko i jednocześnie siebie, albo

między człowiekiem a zlodowaceniem, zmianą biegunowości planety, czy uderzeniem meteorytu, które to czynniki są w historii Ziemi odpowiedzialne za okresy wielkiego wymierania gatunków. Wszystkie je traktujemy jako naturalne. A człowiek? Czyż nie jest również częścią natury? Jeżeli konsekwentnie stoimy na stanowisku, że człowiek jest jednością ze swoim środowiskiem, że nie jest oddzielony, to trzeba też przyjąć, że tak naprawdę nie niszczymy przyrody!

No to jak w końcu rozstrzygnąć ten dylemat?

Dotykamy tutaj wielkiej tajemnicy i paradoksu, ponieważ każda udzielona odpowiedź będzie jednocześnie i prawdziwa, i błędna. Prawdziwa będzie z wąskiej perspektywy naszego życia, określonych interesów i jednostkowych potrzeb. Gdy jednak postawimy się ponad tymi wszystkimi partykularnymi interesami, to fakt niszczenia wydaje się problematyczny.

Jeżeli więc oczekujecie tutaj z mojej strony jakiejś podpowiedzi, to jedyne, co mogę wam dać, to NIE WIEM.

To „nie wiem” jest dla mnie ważne, bo pozwala mi ono z pokorą patrzeć na świat i ludzi, nie oceniać ich pochopnie; nie tyle ich usprawiedliwiać, co raczej zawiesić osąd. Tak samo, jak zawieszam go, gdy idę do lasu i patrzę na kornika, który zabija świerki. Bardzo łatwo jest przecież powiedzieć, że ten kornik jest szkodnikiem. I rzeczywiście nim jest, gdy założymy, że ważne są tylko świerki. Jeżeli założymy natomiast, że i drzewa, i owad są częściami całości, to możemy być spokojni. Kornik przestaje być szkodnikiem.

Z nami, ludźmi, jest podobnie. Niszczymy tę planetę. Jesteśmy oddzieleni. I trzeba potraktować to bardzo poważnie. Trzeba robić wszystko, by przeciwdziałać tym destrukcyjnym i autodestrukcyjnym tendencjom.

Ale też trzeba powiedzieć z całą mocą: jesteśmy Ziemią. Nigdy nie przestaliśmy i nie przestaniemy nią być. Nie niszczymy Ziemi, ponieważ jesteśmy częścią wielkiego procesu, w którym podziały na pozytywne i negatywne zjawiska są nieadekwatne. Wszystkie te kategorie związane są z naszym ludzkim światem, są umysłowymi kalkami, które próbujemy nakładać na rzeczywistość, choć ona sama niewiele sobie z tego robi. Patrząc z tego poziomu na świat, można być zupełnie spokojnym.

Ostatecznie bowiem nie ma ani tego, kto niszczy, ani tego, co jest niszczone...



Czy w związku z tym mamy usiąść wygodnie w fotelu i machnąć ręką na wszystko? Bynajmniej! Najwyższy stopień wtajemniczenia w kwestię ochrony przyrody, to zdecydowane działanie w jej obronie z jednoczesną głęboką świadomością tego, kim jest człowiek i jakie jest jego miejsce w przyrodzie. Ostatecznie staje się to źródłem spokojnego umysłu, który nie przywiązuje się do rezultatów własnego działania.

W tym miejscu mądrość łączy się ze współczuciem i opierając się na NIE WIEM, skłania nas do robienia tego, czego nie da się nie robić.

# Dlaczego walczymy z przyrodą?

---

W naszym stosunku do dzikiej przyrody przejawia się podstawowy schemat naszego bycia w świecie. Najbardziej bodaj wymownym przykładem naszego stosunku do dzikości jest to, jak traktowaliśmy i traktujemy wilki. Ten drapieżnik jest dla nas trudny: dziki, nieprzewidywalny, uosabia cechy, których nie akceptujemy, np. okrucieństwo, a do tego wszystkiego stanowi dla nas konkurencję, ponieważ poluje na te same zwierzęta, co my. Stąd od niepamiętnych czasów wilk był uważany za szkodnika i bezpardonowo tępony. Nie tylko wilk. Ten worek z trudnymi istotami wypełniony jest po brzegi. Znajdują się tam różne owady (np. kornik), bakterie, wirusy oraz inne stworzenia, których wyliczanie zajęłoby wiele miejsca. Zbyt wiele miejsca. Wszystkie te organizmy stanowią dla nas ciemną stronę rzeczywistości, którą najchętniej byśmy wyeliminowali. Walczymy z nimi od zawsze i choć z niektórymi rozprawiliśmy się bezpardonowo, to w ogólnym rozrachunku ciągle zmagamy się z ciemną stroną, która jakoś nie chce zamienić się na jasną.

Do tej ciemnej strony zaliczylibyśmy również naszych wrogów czy osoby, których nie lubimy, ale także różne kawałki nas samych, których nie akceptujemy. Ostatecznie jest tam i śmierć sama, jako coś, co krzyżuje wszystkie nasze świadome zamiary.

Jak więc widać, nasz stosunek do wilków jest zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Niemniej jednak dobrze pokazuje nasz podstawowy schemat bycia w świecie. W tym schemacie kawałkujemy rzeczywistość, rozdzielając ją na część jasną i ciemną. Są ludzie, którzy ciągle walczą, zmieniają świat i zmagają się z rzeczywistością, wikłając się w dualistyczny schemat dobra i zła. Są też tacy, którzy z większym spokojem podchodzą do życia i bardziej akceptują to, co jest, niż walczą. Dzika przyroda jest jednym z najważniejszych obszarów, gdzie uwidacznia się schemat walki.

Skąd się bierze ten schemat? Czy jesteśmy na niego skazani? I czy jesteśmy skazani w związku z tym na nieustanną walkę z wilkami, czy ogólnie z całą dziką przyrodą? Jak widać, są to jedne z najważniejszych pytań dotyczących naszego bycia w świecie.

W naszych poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania kierujemy się wprost ku materii psychologicznej, a dokładniej ku podstawowym zrębom naszego charakteru, który determinuje nasze zachowanie w świecie. Otóż w drugim i trzecim roku życia kształtuje się nasze „ja”. Ten proces odbywa się w oparciu o relację, jaką nawiązujemy z osobą znaczącą (rodzicem). Kształtowanie się „ja” dziecka polega na uwewnętrznianiu obrazu rodzica. Jednym z warunków, by mogło to nastąpić, jest połączenie i zintegrowanie w jednej reprezentacji poznawczej tzw. obrazu dobrego i złego rodzica. Mimo że np. mama daje jeść i jest źródłem poczucia bezpieczeństwa, to czasami zakazuje czegoś i się złości. Te dwa zachowania są sprzeczne, choć pochodzą od jednej osoby. Wcześniej dziecko nie potrafi połączyć w jedną całość tych doświadczeń i rozdziela obraz rodzica na dwie części, tak jakby miało do czynienia nie z jedną, lecz z dwiema osobami. Dzięki temu radzi sobie z frustracjami, choć ten sposób jest dość prymitywny. W końcu jednak dziecko uczy się, że ta sama osoba jest źródłem zróżnicowanych emocjonalnie doświadczeń. Zatem krokiem w kierunku dojrzałości jest umiejętność połączenia w jedno wyobrażenia «dobrej» i „złej” części osoby.

To, w jakim stopniu uda się nam osiągnąć ten poziom dojrzałości, decyduje o naszym funkcjonowaniu w świecie. Relacja z rodzicem i dojrzałość naszego „ja” stanowią matrycę wpływającą na każdą naszą decyzję i określającą to, w jaki sposób czujemy się ze sobą i z innymi. Ta matryca wyznacza podstawowy poziom naszej relacji ze światem.

Na czym polega dojrzałość? Można w dużym skrócie powiedzieć, że na umiejętności przeżywania ambiwalencji. Rzeczywistość wokół jest źródłem różnorodnych doświadczeń; niektóre z nich są korzystne, inne niekorzystne. Ludzie nie są doskonali, a sytuacje prawie nigdy nie są optymalne. Krótko mówiąc, życie jest pełne problemów, trudności i cierpienia. Oczywiście przeżywamy też przyjemne chwile, niemniej jednak ważne jest to, jak potrafimy integrować te różnorodne przeżycia w jednym doświadczeniu. Jeśli ich nie rozdzielamy w taki sposób, że prowadzi to do amputacji części rzeczywistości, świadczy to o naszej dojrzałości. Ambiwalencja, która jest przejawem dojrzałości, wskazuje też, że najlepsze dla nas są nie tyle sytuacje optymalne, ale wystarczająco dobre. Czyli korzystne jest dla nas przeżywanie frustracji oraz rozstanie się z przekonaniem, że rzeczywistość kiedykolwiek mogłaby w pełni odpowiadać naszym wyobrażeniom tudzież planom.

Nieumiejętność znoszenia ambiwalencji skutkuje tendencją do stosowania starego mechanizmu obronnego pod postacią rozszczepienia. Człowiek rozdziela rzeczywistość na tę dobrą i tę złą, a następnie za wszelką cenę próbuje wyrugować ciemną stronę. Ostatecznie ma to doprowadzić do sytuacji, w której nigdy nie będzie trudno, nie będzie cierpienia czy innych niepomysłnych okoliczności. Tendencja ta wskazuje na bardzo stary mechanizm obronny, który ma chronić nas przed cierpieniem, ale ostatecznie staje się jego źródłem, ponieważ cofa nas do prymitywnych i niedojrzałych form radzenia sobie z rzeczywistością.

W obecnych czasach obserwujemy prawdziwą epidemię tego rodzaju postaw. Zaczyna się od absurdalnej walki ze swoimi słabościami w imię kulturowych ideałów doskonałości. Coraz częściej też walczymy ze sobą w bliskich związkach, gdzie partner musi być taki, jak go sobie wymyśliliśmy (czyli idealny, spełniający nasze oczekiwania i wyobrażenia). Gdy idealny nie jest, wymieniamy go na lepszy (jak złudnie wierzymy) model. Niektórzy mogą tak w nieskończoność. Ostatecznie polem walki jest świat zewnętrzny, w tym dzika przyroda. Najlepiej gdyby nie było żadnych szkodników i chorób. Ta ciemna strona rzeczywistości spędza nam sen z powiek i sprawia, że tym silniej próbujemy udoskonalać, ulepszać, zmieniać i ingerować w naturalne, czyli niedoskonałe (dla nas) procesy. Lepsze jest wrogiem dobrego – jak przyjęło się mówić. «Wystarczająco dobry», to zbyt mało – musi być najlepszy!

Te oczekiwania są niedojrzałe i szkodliwe. Dla nas – choć nie tylko dla nas. Bakterie, wirusy, korniki, wilki oraz nasi partnerzy, którzy nie są do końca tacy, jak byśmy chcieli, pozwalają się nam depsychotyzować. To znaczy, że utrzymują nas w psychicznym zdrowiu rozumianym jako stan ambiwalencji odzwierciedlającej naturę rzeczywistości. Gdyby nawet jakimś cudem udało się nam stworzyć idealny świat, totalnie pod naszą kontrolą, to ostatecznie pogrążylibyśmy się w jakiejś przerażającej malignie, tracąc zupełnie kontakt z rzeczywistością. I po prawdzie coraz bardziej się pogrążamy. Nazywamy to narcystycznym zaburzeniem, które jest coraz częściej rozpoznawane przez psychologów u współczesnych ludzi. Można też powiedzieć, że współczesna cywilizacja jest przesiąknięta tą narcystyczną trucizną. Każe nam ona za wszelką cenę osiągać egoistyczne cele, stawiając nas jednocześnie na piedestale oraz dając poczucie, że jesteśmy absolutnie

wyjątkowi. To my jesteśmy panami i władcami i ma być tak, jak sobie wymyślimy.

Nawet jeśli jest to charakterystyczny rys współczesnego świata, nie oznacza to, że wszystkich łatwo da się sprowadzić do tego narcystycznego schematu. Nasze życie obejmuje wiele sfer i obszarów, w których możemy być mniej lub bardziej gotowi na przyjmowanie rzeczywistości taką, jaka jest. Ludzie mogą walczyć z jakimś wrogiem w jednej kwestii, a w innej mogą wykazywać daleko idącą akceptację i otwartość na doświadczanie ambiwalencji. Chciałoby się powiedzieć, że to wszystko nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać, a my nie jesteśmy tak jednoznaczni, jak można by przypuszczać. Niemniej jednak warto dostrzec, z jakiej przyczyny stajemy się niewolnikami jedynie słusznej racji.

Nawet, jeśli mamy rozwijać w sobie zgodę na ambiwalencję, to, żeby była jasność, nie oznacza to braku jakiegokolwiek reakcji z naszej strony w sytuacji realnego zagrożenia. Nie chodzi o to, by spokojnie patrzeć, jak ktoś umiera zaatakowany przez jakiegoś groźnego wirusa. Mamy prawo się bronić. Ale te wszystkie działania nie mogą być nadmiarowe. A takie dzisiaj najczęściej są. Przesadzone wykorzystywanie antybiotyków, środków ochrony roślin, zabiegów w regulowaniu rzek, strzelanie do wilków czy nadmierne chronienie naszych dzieci przed porażką, to niektóre z przykładów niedojrzałej postawy uniemożliwiającej nam branie rzeczywistości takiej, jaką ona jest.

Przyjmowanie świata z całym jego bogactwem, dobrodziejstwem i trudną różnorodnością, to między innymi zgoda na to, by były w nim wilki i by się od nich uczyć.

Czego więc wilki mogą nas nauczyć? Przede wszystkim tego, że rzeczywistość w sporej części jest i powinna być poza naszą kontrolą. Ta gotowość do wycofania się nie powinna być aktem kapitulacji, tylko świadomej zgody na przyjmowanie rzeczywistości taką, jaka ona jest.

Jak to zrobić? Najlepszym treningiem w tym względzie jest nierobienie nic. Jest to jedna z najprostszych, a jednocześnie najbardziej trudnych i wyrafinowanych technik psychoterapeutycznych. Stosowana jest np. w psychoanalizie. W pewnych wariantach była i jest stosowana w zaawansowanych praktykach medytacyjnych oraz stanowi podstawę podejścia taoistycznego. Jest też fundamentem filozofii stoicyzmu. Jej celem jest nauczenie mieszcznia w sobie różnorodnych emocji bez ingerencji w to doświadczenie.

Ten trening, to nic innego jak powrót do wczesnego dzieciństwa, kiedy naszym zadaniem było nauczyć się integrować w jednym obrazie sprzecznych informacji i uczuć.

Najkrócej można by powiedzieć, że mamy nauczyć się żyć z wilkami. I tyle. Tak jak mamy nauczyć się żyć z naszymi niezbyt idealnymi partnerami, czy z nami samymi, którzy przecież nie jesteśmy doskonali.

A może to, że świat nie jest idealny, jest właśnie doskonałe? Z pewnością jest wystarczająco dobry.

Na szczęście!

# Co jest złego w GMO?

---

Spór dotyczący organizmów modyfikowanych genetycznie najczęściej sprowadza się do zonglowania argumentami na temat ich bezpieczeństwa dla człowieka i środowiska oraz ekonomicznych skutków wprowadzania takich organizmów. W tym gąszczu argumentów za i przeciw każda ze stron uważa, że ma rację, biorąc pod uwagę odpowiednią kategorię odniesienia.

Na GMO można jednak spojrzeć ze znacznie szerszej perspektywy. Otóż w kwestii GMO przejawia się odwieczny problem wykorzystania wiedzy do kontrolowania rzeczywistości.

Żyjemy w czasach kultu wiedzy. Widać to zarówno w dynamicznym rozwoju nauki, która stopniowo się specjalizuje, zgłębiając coraz to bardziej szczegółowe aspekty rzeczywistości, jak i w silnej tendencji poszczególnych ludzi i społeczeństw do podnoszenia kwalifikacji i poziomu wykształcenia. Oba te zjawiska są ze sobą sprzężone i wskazują na dominujące przekonanie, że nauka odkrywa przed nami prawdę na temat rzeczywistości. W tym sensie nauka spełnia obecnie podobną funkcję jak kiedyś religia, która miała wyjaśniać i interpretować świat.

Wydaje się, że w samej tendencji do gromadzenia wiedzy, orientowania się w rzeczywistości oraz nadawania jej sensu, nie ma nic niezwykłego. Prawdopodobnie wszystkie formy życia na właściwym sobie poziomie charakteryzują się potrzebą orientacji w środowisku. Orientacja i swoista wiedza, jaka gromadzi się w tym procesie w postaci nawykowych (wyuczonych), ale także instynktownych zachowań uwarunkowanych genetycznie, gwarantuje dobre przystosowanie się do środowiska, a tym samym ewolucyjny sukces.

W przypadku ludzi tendencja ta przybiera najbardziej złożone i rozbudowane formy. Wiedza zdobywana na temat świata ostatecznie staje się narzędziem wywierania wpływu, kontrolowania oraz manipulowania rzeczywistością. Im więcej wiedzy, tym większa możliwość ingerowania w naturalne procesy, co ostatecznie ma skutkować bardziej sku-

tecznymi strategiami zaspokajania potrzeb.

Każdy z nas potrzebuje określonego zasobu wiedzy, dzięki któremu stajemy się osobami kompetentnymi życiowo. Wszystkie społeczeństwa i kultury ludzkie na przestrzeni tysięcy lat przekazywały z pokolenia na pokolenie ów zasób jako jeden z gwarantów przetrwania i zachowania kulturowej ciągłości. Zakres tej wiedzy nazywam „Małym Wiem”, gdyż odnosi się do podstawowych informacji na temat funkcjonowania rzeczywistości, które mają gwarantować nabycie fundamentalnych kompetencji życiowych sprzyjających możliwości zaspokajania różnorodnych potrzeb. W przypadku pozyskania jedzenia, bo tego najczęściej dotyczy problem GMO, ludzkość od rewolucji neolitycznej wypracowała rozliczne kompetencje oraz wiedzę na temat uprawy roślin i hodowli zwierząt. Biorąc to pod uwagę, od tysięcy lat radzimy sobie wystarczająco dobrze, zasiedlając coraz to nowe obszary naszej planety.

Jednakże w nowoczesnych społeczeństwach coraz wyraźniej obserwujemy zjawisko polegające na liniowym modelu rozwoju, w którym oczekiwania społeczne dotyczą nieustannego wzrostu różnorodnych wskaźników, w tym również tego, który związany jest z wiedzą. Otóż pragniemy coraz więcej wiedzieć i uważamy, że ów przyrost ma charakter liniowy, co oznacza, że nigdy się nie skończy. Nauka ma za zadanie odkrywać kolejne tajemnice i w jeszcze doskonalszy sposób objaśniać zagadki wszechświata. W ten oto sposób „Małe Wiem” ma zamienić się w „Wielkie Wiem”, które ostatecznie przekuje się w takie narzędzia technologiczne, dzięki którym będziemy mogli jeszcze doskonalej wpływać na rzeczywistość i kontrolować ją. Tworzenie GMO jest jednym z najbardziej wyrazistych przykładów tej tendencji.

Jaka jest geneza naszej tęsknoty za absolutną prawdą, za wiedzą, dzięki której będziemy mogli uczynić świat takim, jakim chcemy?

Źródłem tej tęsknoty jest prawdopodobnie nasza niepewność wyływająca z poczucia oddzielenia. Tam, gdzie jest oddzielenie, pojawia się tajemnica i nieznanne, które w jakiś sposób trzeba oswoić. Pojawia się też głęboka tęsknota za utraconą jednością, w której wszystko było oczywiste i znajome. Na fundamencie tej tęsknoty oraz poczucia własnej słabości i załknięcia tworzy się pragnienie, by zdobyć absolutną moc, która pozwalałaby na przekroczenie trudnych uczuć. Środkiem do zdobycia owej mocy i znaczenia jest



wiedza, która następnie jest wykorzystywana do kontrolowania i manipulowania rzeczywistością. Tak oto dramat egzystencjalny pcha nas w wir rozwoju cywilizacyjnego, dzięki któremu stajemy się coraz silniejsi, w coraz większym stopniu ingerujący w naturalne procesy. Narzędziem tego wpływu jest technologia oparta na coraz bardziej zaawansowanej wiedzy na temat rzeczywistości.

Biotechnologia i jej produkty w postaci GMO są kwintesencją tej tendencji.

W ten oto sposób ma ziścić się marzenie o życiu bez chorób, z nieograniczoną zasobnością środowiska w produkty spożywcze. Chcemy zrozumieć tajemnice starzenia się i śmierci po to, by móc wydłużyć swoje życie, a ostatecznie, by móc przechytryć samą śmierć.

Kryzys, w jakim obecnie znajduje się ludzkość, oraz cała planeta prawdopodobnie ufundowany jest na tęsknocie za «Wielkim Wiem». Za pragnieniem zdobycia wiedzy absolutnej i totalnej kontroli nad rzeczywistością podąża silnie niezrównoważona struktura współczesnego świata. A to wszystko po to, by w jeszcze doskonalszy sposób zaspokajać nasze nadmiarowe potrzeby.

Żyjemy w czasach, w których „Wielkie Wiem” ujawnia z coraz większą wyrazistością swój potencjalnie destrukcyjny charakter.

Znamienne jest też to, że tendencja do zdobywania „Wielkiego Wiem” tak charakterystyczna dla naszej cywilizacji, jest jednocześnie na poziomie archetypowego przekazu kulturowego deprecjonowana w tradycyjnych baśniach, opowieściach, mitach i legendach. Wystarczy przywołać tutaj biblijną opowieść o Wieży Babel, mit o królu Midasie, „Fausta” Goethego, czy nawet bajkę o Złotej Rybce.

Znaczące jest również to, że wraz z rozwojem nauk szczegółowych ujawnia się coraz bardziej zakres niewiedzy, który z jednej strony wskazuje na nasze ograniczone możliwości poznawcze, a z drugiej na szczególną strukturę rzeczywistości, której nie można sprowadzić do prostych zależności i jednoznacznych bitów informacji. To „Wielkie Nie Wiem” od zawsze było traktowane na gruncie tradycji mądrościowych jako głęboki wgląd w tajemniczą naturę rzeczywistości. „Wielkie Nie Wiem” jest bowiem świadomością własnej ograniczoności, która, gdy zostaje w pełni zintegrowana pozwala na akceptację rzeczywistości. W oparciu o to podejście rodzi się spokój umysłu przyjmującego tajem-

nicę jako podstawowy wymiar świata. Jednocześnie „Wielkie Nie Wiem” nie zaprzecza posiadaniu podstawowych kompetencji życiowych i wiedzy, która pozwala nam funkcjonować w świecie na najbardziej fundamentalnym poziomie. W tym znaczeniu „Wielkie Nie Wiem” zawiera w sobie „Małe Wiem”.

Tak czy owak, wydaje się, że współczesna nauka traktuje „Wielkie Nie Wiem” jako swoją porażkę i próbuje na różne sposoby przyciąć złożoność świata do prostego schematu.

Dzieje się tak w przypadku próby odkrycia tajemnicy życia na naszej planecie. Na pytanie: jak funkcjonuje życie, próbujemy odpowiadać w oparciu o opis istniejących gatunków lub rozpoznanie cegiełek składających się na ich genom. Ale warto zwrócić uwagę na to, że samo opisanie gatunków niewiele mówi nam o charakterze planetarnego życia, tak jak poznanie genomu niewiele mówi o tym, jak funkcjonuje cały organizm. Gatunki bowiem (tak jak i geny) wchodzą ze sobą w rozliczne zależności, które można przedstawić jako bardzo złożoną sieć, w której wszystko wpływa na wszystko. Opis i uchwycenie tej złożonej sieci daleko wykracza poza nasze możliwości, wskazując jednocześnie na żłudną tęksnotę osiągnięcia „Wielkiego Wiem”.

W przypadku GMO wykorzystywanych w rolnictwie, organizmy i otaczające je środowisko traktowane są w naukowym podejściu jak swego rodzaju maszyny, które składają się z określonych części. Interakcje między tymi częściami są dość proste, nieliczne i często jednokierunkowe. Tak oto nauka redukuje niezwykle złożoność świata do prostych zależności, które brane są pod uwagę jedynie ze względu na nasz ludzki interes. W związku z tym nie wiemy, jaki jest długofalowy wpływ GMO na zdrowie ludzi oraz kondycję środowiska w całej jego złożoności. Na tak postawione pytania nauka nie potrafi odpowiedzieć i nigdy nie odpowie, gdyż redukcjonistyczny paradygmat naukowy z definicji nie radzi sobie z tego rodzaju kwestiami. Jeśli ktoś myśli inaczej, jest niebezpiecznie zaślepiiony obietnicą totalnej władzy nad rzeczywistością. Jest niewolnikiem iluzji „Wielkiego Wiem”.

Ścieranie się „Wielkiego Wiem” i „Wielkiego Nie Wiem” jest treścią rozwoju ludzkiej cywilizacji.

Wydaje się, że czasy współczesne są dowodem, iż w tym zmaganiu zdecydowaną

górą staje się „Wielkie Wiem», pozostając kołem zamachowym postępu technologicznego i rozwoju cywilizacyjnego.

To oznacza, że pewna subtelna równowaga została zaburzona. Bo jakkolwiek potrzebujemy wiedzy, to jednak przywiązując się do niej w nadmiarze i ufając bezwzględnie swojej sile, stajemy się aroganccy i zbyt dominujący. „Wielkie Wiem” jest narcystycznym ograniczeniem, które niebezpiecznie przekracza punkt równowagi między aktywnością a wycofaniem się, między odwagą a powściągliwością, między wiedzą a świadomością tajemnicy.

Wiedza, którą posiadamy, układa się w szczególne kontinuum. W tym przypadku mielibyśmy, zaczynając od lewej: **ignorancję** („Małe Nie Wiem”) jako pozycję pozbawiającą podstawowych kompetencji i w związku z tym adaptacji do warunków środowiskowych, **kompetencję** („Małe Wiem”) jako pozycję dającą wystarczająco dobre zasoby do radzenia sobie z rzeczywistością, **mądrość** („Wielkie Nie Wiem”) jako pozycję, która przekracza typowy poziom adaptacyjny i odnosi się do tajemnicy oraz **arogancję** („Wielkie Wiem”), która jest pozycją kuszącą możliwością wywierania największego wpływu, choć w małym stopniu zrównoważoną.

W kontekście tego kontinuum widać, że dwa skrajne punkty są najbardziej nierównoważone i skutkują negatywnymi konsekwencjami. Ignorancja jest skrajnie nieprzystosowawcza, natomiast arogancja tak bardzo ogniskuje się wokół interesu i znaczenia jednostki, że w procesie przystosowania środowiska do tego interesu pojawia się wiele negatywnych skutków dla całego tego układu. Stąd arogancja w dłuższej perspektywie jest równie nieprzystosowawcza jak ignorancja. GMO wpisuje się w tę arogancką tendencję i mamy nas obietnicą świata, w którym pociągamy za wszystkie sznurki, uzyskując dla siebie to, co chcemy.

Dwie środkowe pozycje mają charakter zrównoważony, a ich połączenie gwarantuje z jednej strony wystarczająco dobre radzenie sobie z codzienną egzystencją (kompetencja) jak i posiadanie głębokiego wglądu w naturę świata, który mówi nam o jego tajemnicy i naszej ograniczoności (mądrość). Kierowanie się kompetencją i mądrością skłania też do ograniczonego zaufania we własne siły, pozwala rozstać się z poczuciem narcystycznej mocy i z większym zaufaniem odnieść się do samego procesu życia.

Ta szlachetna droga środka, droga powściągliwości i zaufania do czegoś większego niż my sami, gwarantuje z jednej strony wystarczająco dobre życie, a z drugiej wysoką jakość naszego środowiska.

# Dlaczego ludzie polują?

---

Sprawa wydaje się dość prosta. Ludzie od zawsze polowali na zwierzęta, po to, by się najść, odziać, czy pozyskać kości do wyrobu różnych narzędzi. Polowanie było ważnym przedsięwzięciem grupowym, które pozwalało podtrzymywać więzi społeczne, ale też stanowiło jeden z najważniejszych czynników rozwoju człowieka jako gatunku. Podobno nic tak dobrze jak polowania nie sprzyjało rozwojowi poznawczemu człowieka i kształtowaniu się coraz bardziej wyrafinowanej inteligencji.

Ale jak wszystko w dawnych czasach tak i polowanie było czynnością sakralną, w której przejawiał się duchowy wymiar relacji człowieka ze światem. W tych dawnych czasach – jak wierzył człowiek – świat zasiedlony był przez różne duchowe istoty, z którymi człowiek się komunikował. Z tego też powodu polowanie nie było wyłącznie czynnością techniczną sprowadzaną do schwytania zwierzęcia i zabicia go, ale szczególnym rytuałem, w którym zmaganie się z dzikim zwierzęciem wpisywało się w odwieczny i święty porządek natury. W takim świecie zadawanie śmierci było aktem wyrażającym poczucie jedności ze wszystkim. To dlatego dawni myśliwi przepaszali ducha zwierzęcia za zadaną mu śmierć, a spożywanie mięsa było jednocześnie nabywaniem szczególnych cech przynależnych do upolowanej istoty. Tak oto, jakkolwiek ofiara ginęła, to stawała się ostatecznie częścią istoty ludzkiej i dzięki temu odwieczna harmonia była zachowywana.

Dzisiaj to wszystko wydaje się naiwną bajką. Nasz świat jest już innym światem, teraz wszystko niemalże potrafimy wyjaśnić na sposób naukowy, ale też dzięki temu to, co nas otacza oraz my sami przypominamy bardziej precyzyjnie działające maszyny niż istoty z przyrodzoną godnością i duchową głębią.

Dlatego współczesne łowiectwo jak w soczewce skupia najbardziej charakterystyczne cechy naszego stechniczowanego, nastawionego na konsumpcję świata. Dzisiaj z pierwotnych intencji łowcy nie pozostało już nic, bo mamy przecież pełne lodówki jedzenia czy uginające się od ciuchów półki sklepowe. Cóż, trzeba to powiedzieć wprost: Dzisiaj ludzie polują przede wszystkim dla własnej przyjemności. Ale jakże szczegól-

na jest to przyjemność, ponieważ związana jest z zadawaniem bólu i śmierci. Jest coś szczególnego i jednocześnie bardzo niepokojącego w tej motywacji, ponieważ żadna istota na tej planecie nie zabija dla samej radości zabijania. Gdy wnikiemy głęboko w tę motywację, to okaże się, że perspektywa bycia panem życia i śmierci wydaje się niezwykle pociągająca. To poczucie władzy nad inną istotą jest źródłem niezwyklej mocy, która może kompensować dojmujące poczucie zagubienia i nieadekwatności w świecie. Kontrolowanie życia innych istot daje nam to, czego tak bardzo nam brakuje: poczucie, że jesteśmy kimś ważnym, że mamy prawo tu być.

Ci, którzy parają się łowiectwem, oczywiście nie są zainteresowani, by dopuścić do swojej świadomości te głębokie motywy związane z chęcią zabijania. Zamiast tego przekonują siebie i innych, że współczesne łowiectwo jest potrzebną działalnością, w której chodzi o rozumne i racjonalne zarządzanie populacjami zwierząt, w tym o ich ochronę. To myślenie uwidacznia jednak typowe dla „pana i władcy” podejście, który musi kontrolować naturalne procesy przepelniony nieustannym lękiem, że jak sobie odpuści, to wszystko zginie. Dlatego największym wrogiem myśliwego jest inny drapieżnik, który swoją obecnością burzy ten porządek oparty na kontroli rzeczywistości. Na ołtarzu bezwzględnej kontroli przez wieki ginęły niezliczone wilki, orły, kruki, niedźwiedzie czy rysie. Ta eksterminacja nie tylko kładzie się cieniem na całym łowiectwie, ale też ciągle świadczy o prawdziwych intencjach myśliwych. Bo jeżeli prawdą jest, że w łowiectwie chodzi o ochronę przyrody i sprzyjanie równowadze ekosystemu, to dlaczego w środowisku myśliwych jest tak silny opór przed akceptacją prawnej ochrony wilka?

Wilk jako naturalny selekcjoner saren, jeleni i dzików, najlepiej potrafi utrzymywać populacje tych zwierząt na odpowiednim poziomie i w ten sposób dbać o zrównoważone odnawianie się lasu. Biorąc to pod uwagę, wszyscy powinniśmy się cieszyć, że w naszych lasach są wilki. I rzeczywiście wiele środowisk wyraża z tego powodu radość. Wśród nich nie znajdziemy jednak myśliwych, dla których wilk jest bodaj największym wrogiem.

Wilk jest wyrzutem sumienia dla myśliwego. Poluje wyłącznie na osobniki słabe, młode lub chore i w ten sposób dba o wysoką jakość gatunku. Jelenie i sarny naprawdę wiele zawdzięczają wilkom. Myśliwy postępuje zupełnie inaczej: nastawia się na trofeum, co oznacza chęć zabicia najbardziej dorodnego okazu zwierzęcia. W ten sposób przyczynia

się do degeneracji populacji, o którą ma dbać. Podobnie jest z dokarmianiem zwierzyny w czasie zimy. Gdyby myśliwi rzeczywiście byli zainteresowani równowagą ekosystemu, to pozwoliliby naturalnym czynnikom, takim jak surowa zima, eliminować osobniki słabe. Zamiast tego dokarmia się je po to ostatecznie, by zabić je własną ręką. Cóż za przewrotna jest to logika.

Tak czy owak, myśliwi dwoją się i troją, by ludzie myśleli o nich pozytywnie, stąd podbudowują swoje działania szlachetnymi deklaracjami i intencjami. No cóż, pryskają one jak bańka mydlana, gdy wejrzeć głębiej w rzeczywistą motywację tych ludzi. Nie mamy również złudzeń, gdy widzimy, z jakim zapałem myśliwi polują np. na kaczki czy gęsi, których zabijanie nijak nie pasuje do retoryki ochrony przyrody. Jak sam słyszałem, niektórzy w przepływie niewinnej szczerości wprost deklarują tutaj, że chodzi po prostu o to, by „się wystrzelać”.

Dawny myśliwy budzi mój szacunek. Ze swoim polowaniem wpisuje się w odwieczny porządek świata. Dzisiejszy myśliwy jest jakąś żalosną kopią tamtego. Podwożony nowoczesną terenówką pod tzw. urządzenie łowieckie bez żadnego niemalże wysiłku wybiera swoją ofiarę spośród zwierząt, które zwabiane odpadkami jedzenia zostały uwarunkowane i podchodzą ufne pod ambonę. W końcu pada strzał w tej nierównej grze. Żadnego szacunku wobec zwierzęcia, żadnej świętości, żadnych przeprosin czy żadnej głębi tutaj nie znajdziemy. Jest tylko i wyłącznie śmierć ze swoją dosłownością oraz radość z możliwości pochwalania się trofeum przed innymi, podobnymi sobie.

Mimo wszystko współcześni myśliwi próbują szukać świętości. Tak oto odnaleźli św. Huberta, którego wzięli sobie za patrona. Ciekawe, czy święty nie przewraca się w grobie, będąc świadkiem tego, jak wygląda współczesne łowiectwo. Przypomnijmy więc, że św. Hubert był zapalonym myśliwym, który ostatecznie nawrócił się, rozumiejąc, jak niepohamowaną pasją zabijania zamykał sobie drogę do Stwórcy. Porzucił łowiectwo i zwrócił się do Boga.

Dzisiaj dla uczczenia pamięci świętego organizuje się wielkie polowania, tak jakby prawda o jego nawróceniu i rezygnacji z myślistwa była jakąś nic nieznaczącą fanaberią. Aż dziwne, że myśliwi nie dopuszczają do siebie tej cokolwiek schizofrenicznej i groteskowej sytuacji. Ale czyż może to dziwić, skoro całe współczesne myślistwo podszyte jest

jakimiś trudnymi do ogarnięcia sprzecznościami i niekonsekwencjami.

*Święty Hubercie, daj myśliwskiej braci  
Mądrość i wrażliwość, którą Ty sam  
Otrzymałeś od ukazującego Ci się jelenia  
Spraw, by myśliwi poszli za Twoim przykładem  
By odłożyli broń i nie zadawali śmierci*



# Dlaczego ludzie boją się wilków?

---

Stosunek ludzi do wilków, czy ogólnie drapieżników, naznaczony był niemal od zawsze swoistą ambiwalencją. Z jednej strony podziwialiśmy te zwierzęta, a z drugiej budziły w nas one lęk. Podziw budziła siła, inteligencja, niezależność oraz swego rodzaju majestat. Ale te same przymiotniki ludzie chętnie przypisywali też sobie. Z tego właśnie powodu drapieżniki stały się pierwszymi istotami, z którymi człowiek zaczął rywalizować. Polem tej rywalizacji nie była tylko potencjalna ofiara łowcy, ale może przede wszystkim chęć panowania na określonym obszarze i przypisania sobie miana władcy.

Rywalizacja stwarza szczególną sytuację psychologiczną, ponieważ zwykle obie rywalizujące strony są do siebie podobne (aspirują do podobnych celów lub stosują podobne metody działania) i jednocześnie starają się od siebie odróżnić – nikt przecież nie chce być podobny do swojego wroga. Oczywiście ta psychologiczna gra, w przypadku, który omawiamy, dotyczy wyłącznie jednego elementu układu, czyli człowieka. Nie pośądzamy bowiem wilka i innych drapieżników o jakieś świadome wobec człowieka intencje oraz psychologiczne intrygi, którymi te Bogu ducha winne istoty miałyby uzasadniać swoje postępowanie. Zwierzęta w odróżnieniu od człowieka kierują się instynktem i ich zachowanie jest psychologicznie proste. W przypadku człowieka zawsze mamy do czynienia ze skomplikowaną materią umysłu, w którym kłębią się wyobrażenia, przekonania, nastawienia, lęki i inne zawiłości psychologiczne, które ostatecznie wpływają na nasze zachowanie.

Zatem wilki robią to, co robią, natomiast człowiek próbuje jakoś uporać się z tym problemem, odzwierciedlając go na swój sposób w umyśle. Wcześniej nakreślona sytuacja konfliktowa sprzyja dokonywaniu przez człowieka projekcji własnych nieakceptowanych cech na drapieżniki. Projekcja jest rodzajem mechanizmu obronnego, który ma nas uchronić przed naruszeniem dobrego mniemania o sobie. Jeżeli w tym dobrym mniemaniu o sobie znajdują się takie określenia jak cywilizowany, łagodny, dobroduszny, powściągliwy i miłośnierny, to wszystko, co nie jest z tym zgodne, musi zostać odrzucone. Problem

jednak polega na tym, że identyfikując się z pozytywnym wizerunkiem siebie, *stwarzamy* drugą stronę, która taka nie jest. Cień powstaje wyłącznie w miejscu, w którym pada światło. Zatem, przywiązując się tylko do wybranych (pozytywnych) aspektów siebie, musimy odrzucić tę część nas, która do tego schematu nie pasuje. Jako że świat zewnętrzny jest przepelniony bogactwem różnych istot mogących odzwierciedlać nasze wewnętrzne właściwości, zawsze możemy znaleźć coś, co jest dobrym polem projekcyjnym, czyli czymś, co pomieści w sobie nasze nieakceptowane cechy. Wilki (i inne drapieżniki) idealnie się do tego nadają. Ich naturalne i niewinne zachowania łowcze i konsumacyjne zostają zinterpretowane i zniekształcone w projekcyjnym polu naszych negatywnych cech. Dlatego właśnie wilki wydają się nam (choć nie są): krwiożercze, bezwzględne, okrutne i brutalne. Krótko mówiąc wilki są spostrzegane przez nas jako uosobienie wszystkiego, co złe.

Ale będąc precyzyjnym trzeba raczej powiedzieć, że wilki są uosobieniem wszystkiego co złe w nas. Wilki są naszym zwierciadłem – odbijają tylko obraz, który jest naszym wizerunkiem. Tak naprawdę, przyglądając się im i formułując jakieś przekonania na ich temat, widzimy samych siebie, w tej części, która jest dla nas nie do przyjęcia, którą próbujemy zwalczyć, odrzucić i pokonać.

Widać więc wyraźnie, że ta wojna z drapieżnikami, jaka toczy się od tysięcy lat, a w ostatnich kilkuset latach przybrała rozmiar eksterminacji całej populacji, jest w istocie wojną, jaką prowadzimy sami z sobą. To bowiem my zmagamy się z sobą, złapani w pułapkę kreowania siebie wyłącznie na jedną, cywilizowaną modłę. To ostatecznie my próbujemy wyrzucić z siebie tę część, która jest dzika, nieokiełznana i niepoddająca się kontroli. Ta wojna, którą prowadzimy sami z sobą, wewnątrz siebie, następnie zostaje przeniesiona na plan naszych relacji ze światem, w tym z drapieżnikami. W pewnym sensie łatwiej toczyć ten bój, jeżeli znajdziemy sobie wroga na zewnątrz, daje to bowiem złudzenie, że ostatecznie możemy go pokonać i rozwiązać nasz egzystencjalny problem. Tak czy owak, konsekwencje tego są tragiczne, bo nie ma oczywiście żadnej mowy o tym, że jak pokonamy drapieżniki, to nasz świat będzie lepszy. Nie będzie, bo przecież nie o drapieżniki tu chodzi, ale o nas samych.

To wewnętrzne napięcie, ta wojna, która się w nas toczy, jest też źródłem

permanentnego lęku. No cóż, tak to jest na froncie – w każdym momencie można obserwować, tym bardziej jak nosi się go cały czas w sobie, gdy się nim po prostu jest. W jaki sposób ten lęk się manifestuje? Widać go właściwie we wszystkim, co robimy, ale w pewnych obszarach jest szczególnie wyraźny. Tak, wilki i drapieżniki zajmują tu szczególne miejsce. Najzwyczajniej boimy się ich, choć w większości lęk ten jest irracjonalny. Dodajmy do tego jeszcze: ciemność, śmierć, maceczniki dzikiej przyrody. Generalnie to wszystko, co nie poddaje się naszej kontroli, budzi w nas lęk. Czai się on jednak wewnątrz nas, ubrany w coś, czego chcemy się w sobie pozbyć, choć jest to niemożliwe. Ta niechciana część nas czyha więc gdzieś w zakamarkach naszego „ja” i ciągle daje o sobie znać pod postacią różnych lęków.

Cała ta psychologiczna zawierucha, jak widać, odpowiedzialna jest za wojnę, którą wypowiedzieliśmy dzikiej przyrodzie, a po prawdzie nam samym. Najgorsze, co nas może spotkać, to sytuacja, gdy uznamy, że tę wojnę wygraliśmy. Będzie to bowiem oznaczać, że uwierzyliśmy w największe kłamstwo tego świata, że amputacja części siebie jest warunkiem dobrego życia. No tak, operacja się udała, tylko pacjent nie przeżył...

Dlatego trzeba nam jak najszybciej ogłosić w tym konflikcie zawieszenie broni, a najlepiej pokój. Można to zrobić na dwa sposoby. Po pierwsze zobaczyć wilki bez tych zniekształcających, projekcyjnych okularów. Przyjąć je i zaakceptować, jako ważną część dzikiego świata. Pozwolić im, jako też i innym drapieżnikom w pełni realizować własną naturę. Drugi sposób, to praca nad sobą. Ta praca, co ciekawe, polega dokładnie na tym samym, co pierwsze zadanie. Trzeba bowiem zobaczyć siebie w pełni, bez kawałkowania własnego „ja” na to co dobre, pożądane i złe lub niepożądane. Trzeba przyjąć siebie takim, jakim się jest, akceptując swoją dzikość i pozwalając własnej przyrodzonej naturze na pełną samorealizację.

Wilki mogą bardzo pomóc w tej pracy. Bo po prostu trzeba je odkryć w sobie i przyjąć, jako część własnej natury. Ta projekcja musi wrócić do swego źródła i zostać zintegrowana w całości. Bez wilków, bez drapieżników, bez dzikiej przyrody nie uda się to nam nigdy.

Kochaj wilka swego jak siebie samego i bądź sobie samemu wilkiem...

## Dlaczego rozjeżdżają...?

---

Spotkałem go zimą ubiegłego roku. Był postawnym mężczyzną, ale jednocześnie – jak się potem dowiedziałem – cierpiał na wadę serca, która sprawiała, że nie mógł się za bardzo forsować fizycznie. Miał za to dużo pieniędzy – handlował terenowymi samochodami. Z rozbijającą szczerością opowiedział mi, jak to lubi wsiąść na śnieżny skuter i wypuścić się w dzicz. Najlepiej po świeżo spadłym śniegu. Przy prędkości kilkudziesięciu km/h czuje jak płynie po puchu, rozbryzgując go na wszystkie strony. Pęd powietrza, kropelki roztopiającego się śniegu na twarzy, miękkie sunięcie naprzód – podobno wtedy czuje, że żyje. Cóż miałem na to powiedzieć? Milczałem.

Wielu mężczyzn, zbyt wielu mężczyzn w wolnym czasie dosiada swych mechanicznych rumaków, by w terenie pokazać swą prawdziwą moc. Samochody terenowe, quady, motory, skutery – jest w czym wybierać. Po drugiej stronie znajduje się często dzika przyroda z jej mieszkańcami, którzy płoszeni hałasem uykają przed pędzącymi wehikułami. Poza tym rozorana ściółka, zanieczyszczone koryta strumieni, no i turyści, którzy szukając spokoju i ciszy muszą uciekać spod pędzących kół i ryczących silników. Tylko gdzie pójść, skoro coraz trudniej o takie miejsca, w których nie spotkamy tych rozszalałych zdobywców dziczy.

Co kryje się za tym fenomenem?

Dlaczego oni to robią?

Najbardziej podstawowa obserwacja wskazuje, że w zdecydowanej większości ta przypadłość dotyczy mężczyzn. Co jest zatem takiego w męskim charakterze, że pcha do takich wyborów?

W tradycyjnym sensie tego słowa męskość oznacza przede wszystkim zdobywanie. Jeśli domeną kobiety jest krąg rodzinny, domostwo, to obszarem działania mężczyzny jest świat zewnętrzny. Tam następuje poznawanie, odkrywanie, polowanie, zdobywanie, pozyskiwanie. Wszystkie te działania traktowane są jako typowo męskie, co oczywiście nie oznacza, że kobiety nie mogły, czy nie mogą tego robić. Dzisiaj pewnie też niektóre

z niewiast dosiadają mechanicznych rumaków, ale uczciwość każe stwierdzić, że mężczyźni robią to znacznie częściej i z dużo większym zaangażowaniem.

Nasi mężczyźni przodkowie penetrowali zatem nowe tereny, z czasem udomowili też konie, które służyły im do szybkiego przemieszczania się i zdobywania kolejnych terenów. Dzisiaj już nie musimy tego wszystkiego robić, ale może gdzieś w zakamarkach duszy współczesnego mężczyzny ciągle tli się ten szczególny żar. Nie mniej jednak, jest pewna różnica między tym, co było kiedyś, a tym, co jest teraz.

Przede wszystkim nasz męski przodek, idąc na spotkanie świata, mógł wyrażać swoją męskość w naturalnych, codziennych aktywnościach, które najzwyczajniej podtrzymywały życie jego i całej społeczności. Dzisiaj rozjeżdżanie leśnych ścieżek nie służy adaptacji – służy za to jakiejś dziwacznej przyjemności, która zdaje się być psychologiczną zagadką. Czy mężczyźni robią to, by dać upust swemu męskiemu charakterowi? Wiele wskazuje na to, że nie!

Współcześni mężczyźni są doprawdy dziwnymi istotami. Mają być z jednej strony oparciem dla kobiety, mają zarabiać pieniądze, być twardzi i nie poddawać się w zmaganiach z materią życia. Z drugiej zaś strony mają być czuli, wrażliwi i miękczy – bo takie to teraz czasy, w których liczy się bardziej subtelna przenikliwość niż brutalna siła fizyczna. Sprostanie tym zmieniającym się ciągle i często sprzecznym oczekiwaniom jest nie lada wyzwaniem. Tym bardziej, że w przeciwieństwie do naszych przodków, dzisiejsi mężczyźni nie mają się jak nauczyć, co to oznacza prawdziwa męskość.

W tym kontekście kobiety mają znacznie łatwiej. Natura wyposażyła je w taką rolę, której specjalnie nie trzeba dookreślać. Nawet jeśli kobieta nie wie, kim jest, to zawsze może się odwołać do swej biologicznej funkcji, którą jest rodzenie dzieci. Pod tym względem mężczyzna jest prawdziwym dziwolągiem. Nie wiadomo zupełnie co taki powinien robić i jak żyć. Dlatego też we wszystkich niemal tradycyjnych kulturach obecnie i w przeszłości mężczyźni poddawani byli rytuałom przejścia z wieku dziecięcego (młodzieńczego) w wiek męski. Podczas tych rytuałów (zwykle bardzo bolesnych i trudnych) chłopak dowiadywał się od starszych mężczyzn, co to znaczy być prawdziwym mężczyzną.

Nowoczesne kultury z jakichś powodów zrezygnowały z tych rytuałów, stąd dzisiaj młodzi mężczyźni nie są pewni swego męskiego charakteru. Tym bardziej nie są pew-

ni siebie, ponieważ w procesie wychowania i edukacji spotykają się niemal wyłącznie z kobietami. Starsi mężczyźni (przede wszystkim ojcowie), od których mogliby się uczyć siebie są zwykle nieobecni – albo są w pracy albo w knajpie albo jeszcze bóg wie gdzie. A jak już są w domu, to często i tak są jakoś emocjonalnie nieobecni. Nasza kultura dramatycznie cierpi na brak bliskich kontaktów ojców z synami. Chłopcom pozostaje jedynie oglądanie filmów z Rambo lub innymi podejrzanymi typami, które tak czy owak prezentują jakąś karykaturalną formę męskości.

Te okoliczności mają bardzo poważne konsekwencje dla mężczyzny. Najważniejsze jest to, że nie wie on, kim tak naprawdę jest. Co to znaczy być mężczyzną? Jak zachowywać się w różnych sytuacjach? Jak spożytkować swój męski potencjał? Czym on w ogóle jest i do czego on służy? Te dylematy następnie przekładają się na różne zachowania, które mają kompensować wspomniane deficyty. Nie da się oszukać procesu dorastania do siebie. Jeśli czegoś zabrakło w przeszłości, to manifestuje się to w silnym głodzie i presji na dookreślenie siebie w swej płciowej roli. Kultura masowa złudnie podpowiada, co takiego można zrobić, by potwierdzić swoją męskość. Można uganiać się za spódniczkami, zaliczając kolejne nieświadome niewiasty i kreować się na seksualnego ogiera. Można wypuścić się w wir tzw. sportów ekstremalnych, gdzie, ocierając się niemalże o śmierć, próbować doświadczyć tego, kim się jest, udowadniając światu swoją wielkość. Można też zachłysnąć się nowoczesnymi technologiami, maszynami, pojazdami i urządzeniami, które dają złudne poczucie, że panuje się nad rzeczywistością. Wsiadając za kierownicę terenowego samochodu czy skutera śnieżnego i zdobywając kolejne dziewicze tereny, czy zmagając się z różnymi przeszkodami, mężczyzna ma nadzieję, że dowie się ważnych rzeczy o sobie. Przede wszystkim tego, że jest wystarczająco silny. Ale co to za siła? Wyciągarki, wysokoprężne silniki, napędy na cztery koła, przekładnie? Żadne z tych urządzeń nie mówią nic o istocie męskości. Tak naprawdę okłamują mężczyznę, dając mu złudne poczucie panowania nad światem. Ostatecznie żadna z tych maszyn nie służy życiu, nie pomaga radzić sobie z codziennością, nie daje głębokiego przekonania o tym, kim się jest. Zwodzi jedynie i mami, dając wyłącznie przyjemność, która jest jakąś żalosną namiastką poczucia, że jest się pełną osobą, świadomą swego męskiego potencjału. Ostatecznie przybiera to postać swoistego uzależnienia, gdzie zdobywanie dziczy ma potwierdzać

i dookreślać męski charakter, choć notorycznie, na dnie świadomości pojawia się rozczarowanie, że po raz kolejny ta próba się nie powiodła. Pozostaje zatem poczucie niedosytu, które pcha do kolejnego podboju i zmierzenia się z przeciwnościami przyrody. Ta gra z góry skazana jest na porażkę, ponieważ odkrycie mężczyzny w sobie może się odbyć wyłącznie w bliskiej i długotrwałej relacji ze starszym mężczyzną. Jeśli to nie nastąpiło w przeszłości, nic nie jest w stanie zrekompensować tego braku, a już na pewno nie zrekompensuje go maszyna i samotne, a nawet grupowe zmagania terenowe.

Zatem rozjeżdżanie naszych lasów jest jakimś dramatycznym wołaniem współczesnych mężczyzn o własną tożsamość, którą zgubili w cywilizacyjnym zamęciu. Wołaniem, które odbija się pustym echem w coraz mniej dzikich ostępach.

# Dlaczego miejscowi nie chcą chronić tego, co mają u siebie?

---

W teorii wygląda to bardzo pięknie. Człowiek jest jednością ze swym fizycznym otoczeniem. Najbliższe środowisko jest ważnym źródłem zaspokojenie najróżniejszych potrzeb: od tych materialnych związanych z wodą, pożywieniem, możliwością zarobkowania, do tych wyższych, związanych z kulturą, wartościami estetycznymi czy duchowością. Degradując swoje otoczenie, człowiek niechybnie skazuje się sam na unicestwienie.

Te mechanizmy są tak oczywiste, banalne i – można by powiedzieć – do bólu logiczne, że dziwny może wydawać się fakt, iż można myśleć inaczej. Dzisiaj, z wielu różnych powodów zerwaliśmy w naszej świadomości te proste powiązania. Jesteśmy obcy. Migrując i przemieszczając się, tracimy związek z miejscem i tak naprawdę nigdy nie jesteśmy u siebie. Każde miejsce wydaje się być równie dobre, ale z żadnym nie nawiązujemy głębszego związku. Dzieje się tak, ponieważ nasza mobilność podpowiada nam, że nie warto się przywiązywać do czegoś, co za chwilę będziemy musieli pozostawić. Brak głębokich związków z miejscem sprawia, że traktujemy je jak coś, co można bezwzględnie eksploatować, przy okazji niszcząc i degradując. Stąd pojawia się koncepcja ponownego zakorzenienia, jako antidotum na destrukcyjny charakter współczesnej cywilizacji. Ta bioregionalna idea zakłada, że jeśli człowiek ponownie odkryje swoje głębokie związki z miejscem, w jakim żyje, i poczuje się dumny z samego faktu zamieszkiwania w jakimś otoczeniu, to jego podejście do owego miejsca radykalnie się odmieni. Czyż ktoś chciałby niszczyć to, co kocha i z czego jest dumny? Czy ktoś chciałby odciąć się od życiodajnego źródła?

A jednak tak!

Ta piękna, szlachetna i logiczna koncepcja bioregionalna nie działa. W Polsce dwa najcenniejsze i może najpiękniejsze obszary przyrodnicze (i kulturowe) są nadmiernie eksploatowane i ostatecznie degradowane. Przez kogo? Przez miejscową ludność, której trudno wprost zarzucić wykorzenienie i brak związku z miejscem i tradycją. Chodzi o Tatry



i Puszcę Białowieską. Wielu (zbyt wielu) górali chętnie zamieniliby Tatry na dobrze prosperujący lunapark, gdzie nowoczesny turysta może wygodnie i bezwysiłkowo doświadczyć „piękna i majestatu gór”. Puszcę Białowieską miejscowa ludność traktuje jak zwykły las gospodarczy, który przede wszystkim ma dostarczać surowca drzewnego, czy leśnych produktów. Miejscowym trudno jest zobaczyć w tym lesie inne wartości niż te związane z jego funkcją produkcyjną.

Tatry i Puszcza Białowieska to dwa najbardziej wyraziste przykłady. Ale poza nimi jest całe mnóstwo innych przypadków. Generalnie widać to przy okazji wprowadzania programu NATURA 2000, który wywołuje niemal powszechny sprzeciw w lokalnych społecznościach i samorządach. Z jakiegoś powodu ludzie uwierzyli, że ochrona przyrody, że zachowanie przyrodniczego dziedzictwa jest przeciwko nim. No i mamy paradoks. Wielu z tych lokalnych samorządowców, czy zwykłych mieszkańców, to prawdziwi miłośnicy swojej ziemi. często z dziada pradziada zamieszkują swoją małą ojczyznę. A jednak, gdy przychodzi co do czego, skłonni są sprzedać swój skarb za przysłowiową garść srebrników.

Jak można to zrozumieć? Jak rozwikłać tę zagadkę?

Wiele wskazuje na to, że nasza troska i zaangażowanie zatrzymuje się na płocie naszej posesji. Patrzymy na świat przez pryzmat wąsko i krótkoterminowo pojętego dobrobytu. Dobre jest to, co pozwala się nam bogacić i poszerzać obszar naszego wpływu i kontroli. To, co daje się zamienić na pieniądze, jest dobre, to, czego się nie daje zamienić – jest bezwartościowe.

W tych zasadach kryje się jakieś uniwersalne ludzkie podejście do miejsca. Te zasady przybierają ostatecznie postać konkretnej kultury i tradycji związanej z obszarem przyrodniczym, ale prawdopodobnie większość z nich opierała się i opiera na bezwzględnej eksploatacji zasobów naturalnych. Kiedyś Tatrom najbardziej zagrażał nadmierny wypas bydła i owiec. Górale nie znali umiaru w prowadzonej przez siebie gospodarce. Podobnie w Puszczy Białowieskiej – gdyby nie królewskie ograniczenia, z puszcza stałoby się to, co z lasami wokół niej – zostałaby zamieniona na pola uprawne lub zwykły las gospodarczy. To, co można eksploatować, wykorzystuje się do końca, to, czego nie można wykorzystać – jest bez wartości. Jeśli więc formy ochrony przyrody pozostawiają jakieś miejsce

poza oddziaływaniem człowieka, to zamieniają je w coś bezużytecznego. I nie ma na to zgody.

Kultura i tradycja nasiąkają oczywiście elementami przyrodniczymi: obecne są w nich góry, lasy, rośliny i zwierzęta, ale ten „romantyzm” ostatecznie przegrywa z podejściem utylitarnym. Z rozrzewnieniem możemy mówić o pięknie ziemi, wieszać landszafty na ścianach, wzruszać się na widok sarenki, ale jak przychodzi co do czego – nie mamy wątpliwości.

Jest też w tym pewien zadziwiający mechanizm psychologiczny. Otóż zawsze wydaje się nam, że gdzie indziej jest lepiej. Nawet, jeśli mamy u siebie taką perłę jak Puszcza Białowieska, to wydaje się, że ludzie gdzie indziej żyją lepiej, ciekawiej i wygodniej. To przekonanie ciągle podsycane jest przez kulturę masową. W telewizji zawsze jest ciekawsze życie niż to w lesie za oknem. Nawet, jeśli w telewizji wyświetlany jest film o puszczy! Miejscowi ludzie są jakby ślepi na piękno i wartości wyższe miejsca, w którym przyszło im żyć. Może dlatego, że miejsce to jest spostrzegane prawie wyłącznie w kategoriach utylitarnych.

Jednym z podstawowych argumentów przeciwko ochronie miejscowej przyrody podnoszonym przez samorządowców jest to, że zatrzymany zostanie rozwój. Miejscowi ludzie oburzają się na to, że rzekomo chce się zamienić ich życie w skansen. To pokazuje, czego tak naprawdę pragniemy: chcemy życia jak w telewizji, chcemy luksusu i wygody. Im wyższe standardy związane z poziomem życia lansuje się w środkach masowego przekazu, tym gorzej spostrzega się własną sytuację. Telewizja zasiewa w nas poczucie nieszczęścia. Co ciekawe jednak, ci, którzy żyją w tym bajkowym świecie dobrobytu coraz częściej tęsknią za skansenem i prostotą w otoczeniu nieskażonym przez cywilizację. Zawsze chcemy czegoś, czego nie mamy; gdzie indziej zawsze jest lepiej.

Innymi słowy, nawet, jeśli jesteśmy mocno związani z lokalną kulturą i tradycją, nawet, jeśli mówimy, że kochamy te góry i ten las, to jednak wiele wskazuje na to, że nasz związek ze światem przyrody jest płytki i chętnie zamienimy go na telewizyjny miraż.

Podobny proces obserwujemy w naszym osobistym doświadczeniu. Najbliższym nam kawałkiem dzikiej przyrody jest nasze ciało. Zależy nam na dobrostanie naszego ciała, ale jednocześnie nie przeszkadza nam to palić papierosy, odżywiać się śmieciami,

mało odpoczywać, krótko spać i niewiele się ruszać. Degradujemy to, co jest nam najbliższe i od czego zależy.

Brakuje w tym logiki? No cóż, psychologowie już dawno zauważyli, że co jak co, ale istota ludzka logiką raczej nie grzeszy.

## O co chodzi w sporcie?

---

Zawody, mistrzostwa, turnieje, rozgrywki, olimpiady. Tłumy na stadionach i jeszcze większe tłumy przed telewizorami. Emocje, zakłady, ogromne pieniądze, które stoją za sportem i sportowcami. Co sprawia, że ludzie tak szaleją na punkcie sportu?

Zwolennik darwinizmu powie, że rywalizacja sportowa jest odbiciem naszych wrodzonych tendencji, które są uniwersalne dla całego życia. W końcu przecież w świecie przyrody gatunki ze sobą rywalizują i przeżywają tylko te najlepsze. Może coś w tym jest, ale po prawdzie naukowcy coraz częściej podkreślają, że w przyrodzie większą rolę odgrywa współpraca, a nie rywalizacja. Sprowadzanie istoty ewolucji do konkurencji jest na pewno sporym uproszczeniem. Ale założmy ryzykowną tezę, że gatunki rzeczywiście wyłącznie rywalizują. Czy robią to na sposób „sportowy”? Otóż z pewnością nie. Ta rywalizacja odbywa się jakby beznamiętnie, bez fajerwerków po stronie zwycięzcy i bez poczucia porażki ze strony przegranego. Nie ma też audytorium, które kibicowałoby którejsz ze stron. Tak naprawdę przegrana i wygrana nie ma znaczenia, bowiem liczy się wyłącznie nadrzędny interes całości, a tutaj zawsze mamy do czynienia z wygraną.

Krótko mówiąc, ludzki sport nie ma nic wspólnego z naturalnymi skłonnościami.

Zwolennik psychoanalizy powie, że dzięki rozgrywkom sportowym ludzie mogą rozładowywać agresywne impulsy. Rywalizacja bowiem rodzi agresję, a ta, wyzwolona, pozwala rozładować nagromadzoną wrogość i uczynić po zawodach ludzi bardziej społecznymi i łagodnymi. Ta hydrauliczna koncepcja agresji rzeczywiście brzmi przekonująco, ale co z tego, skoro zdecydowana większość wyników różnych badań przeczy tym założeniom. Mało tego, że kibicowanie jak i udział w zawodach sportowych nie zmniejszają agresji – dodatkowo ją wzmacniają. Agresja rodzi agresję i nakręca jej spiralę bardziej niż rozładowuje ją tak, jakby chciał tego dziadek Freud. Jeśli ta argumentacja jest mało przekonująca, to wystarczy przypomnieć sobie, co dzieje się wśród kibiców po meczach piłki nożnej...

Zwolennik koncepcji socjologicznych powie, że dzięki sportowi pojedynczy ludzie,

ale też i całe grupy, a nawet narody mogą poczuć dumę z własnych zawodników osiągniętych sukces. Ma to sprawiać, że ludzie integrują się między sobą, czują wspólnotę i skupiają się wokół narodowych haseł. No tak, trudno zaprzeczyć tym obserwacjom, ale gdy wnikiemy głębiej w to zjawisko, to zobaczymy, że ci, którzy najbardziej angażują się w kibicowanie i hołubienie sportowych idoli, mają też największe deficyty w zakresie poczucia własnej wartości. Inaczej mówiąc, sport jest rozrywką szczególnie dla tych, którzy mają poczucie życiowego nieudacznictwa i braku spełnienia.

Współczesny sport wydaje się być przede wszystkim grą naszego biednego, zagubionego „ja”, które za wszelką cenę stara się zdobyć przewagę, uzyskać prestiż kompensujący poczucie nieadekwatności. W tej bezwzględnej grze zawsze ktoś odpada z dojmującym poczuciem porażki i tym samym jeszcze większą skłonnością do odegrania się w przyszłości. Tych wszystkich ludzkich, a raczej egoistycznych (czy nawet neurotycznych) motywacji nie zobaczymy w świecie przyrody, w którym jakkolwiek ciągle mamy do czynienia z rywalizacją, to jednak bez tego piętna niespełnionego ego.

W tej bezwzględnej sportowej grze liczy się wyłącznie wynik i zwycięstwo. Tak oto współczesny sport idealnie wpisuje się i odzwierciedla najbardziej charakterystyczne cechy naszej cywilizacji. Parcie do przodu za wszelką cenę. Nieliczenie się z konsekwencjami w szerszej i dłuższej perspektywie. Stosowanie nieuczciwych praktyk. No i ogromne pieniądze, które stoją za tymi wszystkimi przedsięwzięciami. Sport jest dokładnie taki, jaki jest świat, w którym żyjemy. Dlatego nie powinny nas dziwić skandale dopingowe, afery korupcyjne i sprowadzanie piękna ciała ludzkiego oraz fizycznej aktywności do kategorii finansowych. Bo właśnie taki jest nasz świat.

Najbardziej może dramatycznym przykładem tego, jak sport może być nie zrównoważony, jest traktowanie ludzkiego ciała. Kiedyś (w czasach antycznych) ciało było uosobieniem piękna i wartości duchowych. Św. Paweł pisze o nim nawet, że jest „świętynią Ducha”. Dzisiaj we współczesnym sporcie ciało zdaje się być maszyną, którą można bezwzględnie eksploatować, którą trenuje się po to, by osiągać lepsze rezultaty, chociaż okupione jest to coraz bardziej tragicznymi w kontekście zdrowia skutkami. Sportowcy należą do grupy najgorzej dbających o zdrowie ludzi, ponieważ forsują swoje ciała ponad miarę, narażając je na poważne zdrowotne konsekwencje. Powiedzenie „sport to zdrowie” we

współczesnym świecie brzmi dość groteskowo. Dlatego też wielkie zawody sportowe są tak naprawdę świętem, podczas którego część ludzi w pogoni za sukcesem bezwzględnie torturuje swoje ciała ku uciechu i zadowoleniu licznie zgromadzonej widowni. Ci, którzy w tym procesie osiągają marne rezultaty (można by rzec: na szczęście dla ich biednych ciał), odrzucani są bezpardonowo przez głodną sukcesu gawieź.

Czy coś nam to przypomina? To absolutne nastawienie na cel i nieliczenie się z konsekwencjami jest główną wizytówką cywilizacyjnego walca, pod którym giną ci, którzy nie wpisują się w logikę tej gry. W tym całym egoistycznym rozgardiaszu nie tylko cierpią ciała sportowców, ale też i szerzej – przyroda. Może mniej widać to przy okazji letnich dyscyplin, ale za to organizacja zimowych zawodów, szczególnie olimpiad, pociąga za sobą ogromne koszty środowiskowe. Tak się składa, że zimowe dyscypliny najczęściej wiążą się ze środowiskiem górskim, które przekształca się tak, by mogły przyjąć rzesze kibiców i służyć do rozegrania określonych zawodów. Często już po olimpiadzie, w górskim krajobrazie straszą nieużywane konstrukcje torów bobslejowych czy skoczni narciarskich. Tak oto dla jednorazowego efektu bezpowrotnie niszczy się to, co piękne.

Wielkie imprezy letnie, choć z pozoru mniej ingerują w środowisko, wcale nie są dla niego obojętne. Wystarczy pomyśleć o kibicach, którzy tysiącami będą się przemieszczać z jednego krańca globu na drugi, nabijając kasę przewoźnikom, ale też i powiększając swój ślad ekologiczny.

A wszystko po to, by wypełnić dojmującą pustkę i choć przez chwilę poczuć, że życie nabiera sensu.

Czy to wszystko oznacza, że sport jest nie w porządku? Niezupełnie. Współczesny sport jest tak samo niezrównoważony, jak świat, w którym żyjemy. Oznacza to, że sam w sobie nie jest niczym złym. Zarówno aktywność fizyczna jak i rywalizacja w pewnych zdrowych granicach jest czymś dla nas korzystnym. Dobrze jest sobie pospacerować, pobiegać, popływać czy pojeździć na rowerze. Może nawet pościgać się z kimś, śmiejąc się na koniec, niezależnie od tego, czy wygraliśmy, czy nie. Amatorski, rekreacyjny sport zachował jeszcze te zdrowe pierwiastki, które odwołują się do pojęcia „kultura fizyczna”.

Niestety, coraz więcej z nas, objadając się chipsami, tyje w miękkich fotelach podczas oglądania sportowych zmagani innych ludzi, którzy nierzadko odgrywiają tylko jakąś

(biznesową) farsę. Taką oto mamy „kulturę fizyczną”.

Dlatego podczas nadchodzących mistrzostw i olimpiady chętnie wyłączę telewizor i pójdę pojeździć na rowerze w parku. Tam, oddychając czystym powietrzem, wsłuchując się w swoje ciało i śpiew ptaków, będę mógł powiedzieć sobie, że jestem człowiekiem sportu. Kimś, kto kultywuje prastarą i coraz bardziej zapomnianą sztukę cieszenia się życiem, rozwijania sprawności fizycznej i duchowej z wykorzystaniem skromnych środków, w której przejawia się nasz głęboki związek z całym światem.

## Dlaczego się z nas śmieją?

---

Pamiętam takie oto zdarzenie: jadę samochodem ruchliwą ulicą i nagle przede mną, na jezdni, widzę gniazdo z pisklakami (prawdopodobnie sroki). Hamuję, szybko wysiadam z samochodu i przenoszę gniazdo z pisklakami w pobliskie zarośla. W międzyczasie słyszę trąbienie zniecierpliwionych kierowców, którzy stoją za mną w wydłużającym się ogonku. Gdy wracam do samochodu, widzę ich twarze: niektórzy pukają się w czoło, inni z politowaniem śmieją się pod nosem.

Nie wiem, czy uratowałem te ptaki, prawdopodobnie nie. Ale nie mogłem zachować się inaczej. To był jakiś odruch serca, a nie przekalkulowana decyzja. Takie właśnie odruchy często są motywem działań ludzi chroniących przyrodę. Oczywiście przyrodę można też chronić z powodów czysto racjonalnych, niemniej jednak w ruchu ekologicznym odwoływanie się do uczuć odgrywa ważną rolę. Niestety u wielu osób budzi to śmiech. Czasami jest to ledwo widoczny ironiczny uśmiech, a czasami pełen szyderstwa grymas.

O co w tym chodzi? Dlaczego się z nas śmieją?

Śmiech jest z pewnością komunikatem, w którym śmiejący się wyraża swoją wyższość wobec obśmianego. Z takiej pozycji mogą patrzeć na dzieci dorośli, jednak towarzyszy temu jakaś ciepła akceptacja – w końcu dzieci są niedojrzałe. W przypadku dorosłych taka relacja zawsze ma charakter agresywny. Poprzez ten zgoła niewinny wyraz mimiczny, śmiejący się komunikuje: to, co robisz, jest głupie, albo jesteś za mały dla mnie, albo nic dla mnie nie znaczysz. W ten oto sposób obśmiany doświadcza szkody, bowiem traktowany jest protekcjonalnie, z góry, w związku z czym nie ma szans w sposób godny spotkać się jak równy z równym.

To poczucie wyższości ma też swoje źródło w przekonaniu, że kierowanie się emocjami, odruchem serca jest wyrazem słabości. Nasza cywilizacja jest do bólu racjonalna. Emocje traktujemy jak zbędny balast, jak zagrożenie dla naszego kontrolującego umysłu, jak uciążliwą sferę, przez którą pojawiają się tylko kłopoty. Uczymy się powściągać nasze



emocje, ukrywać je i wypierać, bo dopiero wtedy, gdy ich nie ma, możemy powiedzieć, że jesteśmy prawdziwie dojrzałi i cywilizowani. No i silni. Ci, którzy najdalej zaszli w sztuce trzymania na wodzy emocji, wydają się być niewzruszeni, twardzi i odporni na przeciwności losu. Ci zaś, którzy reagują wyłącznie emocjonalnie, sprawiają wrażenie słabych.

Z psychologicznego punktu widzenia i jedni i drudzy żyją w wewnętrznej nierównowadze. Ci pierwsi (pozornie) wygrali walkę ze sobą i ujarzmili swoje uczucia, zamieniając swoje serce w kamień. Ci drudzy natomiast chodzą ze swoim sercem, jak z otwartą raną, reagując w sposób nadwrażliwy na każde poruszenie delikatnej struny. Ta nadwrażliwość często wynika z niezgody na przeżywanie określonych emocji. Zatem i jedni, i drudzy jakoś borykają się ze swoimi emocjami, co zawsze przekłada się na kłopoty w relacjach ze światem i z ludźmi.

Dojrzałość emocjonalna polega na niewyrzekaniu się własnych emocji, podążaniu za nimi w sposób, który wolny jest od szamotania się, niezgody na to, co się przeżywa i od owładnięcia samymi emocjami. Z emocjami, tak jak z innymi sprawami, najlepsza jest droga środka.

Wydaje się, że ostatnio mamy jednak zdecydowany nadmiar tych z twardym sercem i to zarówno w przypadku kobiet jak i mężczyzn. To twarde serce może też dotyczyć szczególnych obszarów życia. I tak, ktoś może być bardzo czuły wobec swoich dzieci, ale mieć kamienne serce jeśli chodzi o to, co dzieje się z obcymi ludźmi lub przyrodą.

Prawdopodobnie to właśnie wobec przyrody nasze serca cechują się szczególną twardością. Gdybyśmy dopuścili do siebie wszystkie te uczucia i emocje, które pojawiają się w związku z naszymi działaniami w świecie, to prawdopodobnie wielu z nas nie byłoby w stanie unieść takiego ciężaru. Ilość cierpienia, która wiąże się z bezwzględny parciem cywilizacyjnym, jest tak ogromna, że musimy się jakoś obronić przed emocjonalnymi konsekwencjami tego faktu. Dlatego zamrażamy nasze serca i odcinamy się od uczuć, które w jakiś sposób wiążą nas z całym żywym światem. W ten sposób podtrzymujemy nasze dobre samopoczucie i możemy kroczyć dalej naprzód w tym cywilizacyjnym pochodzie z tępych i obojętnym wyrazem twarzy.

Ci z nas, którzy nie znieczulili się całkowicie i próbują ochronić to, co jeszcze pozostało, stanowią rodzaj wyrzutu sumienia i emocjonalnej prowokacji dla tych, którzy przeszli

całkowicie na drugą stronę.

Można to zaobserwować w reakcjach ludzi na tych, którzy w jakiś sposób próbują bronić przyrody. Mówi się o nich ironicznie, że występują w obronie żabek, ptaszków, drzewek czy kwiatuszków. To wszystko ma poniżyć, ośmieszać i boleśnie dotykać aktywistów ekologicznych. Biorąc jednak pod uwagę determinację tych aktywistów, którzy często w swoim działaniu kierują się uczuciami (nie rezygnując jednocześnie z racjonalnych pobudek), trudno orzekać, że są to ludzie słabi. Można nawet przypuszczać, że emocje dodają siły, sprawiają, że działanie jest pełne, jest zakorzenione w całościowym, głębokim doświadczeniu człowieka.

Ci zaś, którzy mają twarde serca, prawdopodobnie ciągle się boją. Twardość wymaga bowiem odcięcia się od emocjonalnej sfery, postawienia w jej miejsce racjonalnej straży, która ma dawać gwarancję, że to, co emocjonalne, nie wymknie się spod kontroli. Siła przepełniona takim lękiem jest słabością. Twardość jest często bardzo krucha i łatwo ją złamać.

Pojawiający się ironiczny śmiech jest śladem napięcia, jakie narasta w sercu tych osób w sytuacji konfrontacji. To napięcie jest jakąś zajątką zagrożenia, że oto mogą się pojawić te same emocje, które wyrażone są w działaniach aktywisty. Żal, rozpacz, smutek, lęk, złość, które to emocje są naturalną i prostą reakcją na bezsensowną śmierć, na cierpienie, na destrukcję i niszczenie tego, co piękne, mogą nagle zawładnąć osobą i być zarzewiem głębokiej zmiany. To wszystko jednak jest zbyt zagrażające, więc najczęściej rosnące napięcie zostaje zredukowane w reakcji śmiechu, uśmieszku, który z powrotem winduje osobę na bezpieczną dla niej pozycję, czyli tego, kto znajduje się wyżej i z tej perspektywy z politowaniem patrzy na tych, co na dole.

Jak reagować na taki śmiech? Jeśli macie dość odwagi, to można zakomunikować takiej osobie uczucia, które ta reakcja wzbudza. To może być np. takie zdanie: „Widzę, że zniszczenie, śmierć i cierpienie wywołuje u pana/pani śmiech; budzi to moją niechęć i przykrość”. Nie ma żadnej gwarancji, że wypowiedzenie takiej kwestii jakoś poskutkuje. Ale może nie o skutek tutaj idzie, a o wyrażenie w sposób prosty i uczciwy własnego zdania. To, co ta osoba z tym zrobi, nie zależy już od nas.

Tak czy owak można zapytać, czy jest jakaś rada na twardzieli? Moje doświadczenie

jest takie, że serca mięknią w szczególnych sytuacjach życiowych, kiedy obrony i zasieki, jakie postawiliśmy, sypią się pod naporem trudnej sytuacji. Kryzys wydaje się tutaj zbawienną okolicznością. Przyznanie się przed sobą, że sobie nie radzę, jest początkiem otwarcia się na rzeczywistość i szansą na zmianę.

Jeśli chodzi o kontekst przyrodniczy, to wiemy, że żyjemy w czasach kryzysu ekologicznego. Paradoksalnie to dobra wiadomość. Niestety jednak, mimo, że taka informacja ciągle krąży w naszym świecie i wielu ludzi wie o niej, to naprawdę niewielu z nas w sposób rzeczywisty doświadcza tego faktu. Jeszcze nie nadeszły takie czasy, w których mamy prawdziwą okazję, by doświadczyć tego, że sobie nie radzimy.

Na razie czasy są dobre dla twardzieli.

Ciekawe, jak długo jeszcze?

# Kim jest ekoterrorysta?

---

Terrorysta prawdopodobnie kojarzy się nam z kimś, kto z pobudek ideologicznych morduje, podkłada bomby, wysadza samoloty, porywa zakładników czy w inny jeszcze sposób czyha na czyjeś zdrowie i życie.

Ostatnio mianem terrorystów określa się też aktywistów ekologicznych, którzy bynajmniej nie mordują, nie podkładają bomb i nie biorą zakładników. Dzisiaj wystarczy założenie w sądzie sprawy, która utrudnia, bądź też uniemożliwia przeprowadzenie jakiejś inwestycji szkodzącej środowisku. Nawet sporządzenie naukowej inwentaryzacji przyrodniczej, która może zostać wykorzystana jako argument przeciw realizacji określonej inwestycji, prowadzi do przypisania terrorystycznej etykiety. W tym przypadku nazywa się to naukowym ekoterroryzmem (!).

Zatem wszystko wskazuje na to, że ekoterrorystą jest ten, którego określa się tym mianem. Nawet, jeśli są jakieś obiektywne kryteria pozwalające na użycie wobec kogoś takiego określenia, to ludzie nic sobie z nich nie robią. Każdy ma swoje subiektywne przekonania i swojego wykreowanego na ich podstawie ekoterrorystę. Ale jeżeli tak, to warto przyrzeć się tym przekonaniom oraz roli, jaką spełnia ekoterrorystyczna etykieta.

Otóż ekoterrorysta jest zbawiennym wynalazkiem. W świecie współzależności ciągle trzeba się z kimś dogadywać, coś uzgadniać, rozstrzygać w formie dialogu różnego rodzaju kwestie. Ten proces zwykle jest czasochłonny i kosztuje sporo energii. Pewnie większość z nas marzy, by na drodze realizacji własnych interesów nie stała żadna przeszkoda. Tak się jednak składa, że natura życia jest zupełnie odmienna – trzeba się liczyć z innymi oraz brać pod uwagę cudze interesy. Jeżeli więc określimy kogoś, kto stoi po drugiej stronie ekoterrorystą, to automatycznie wykluczamy go poza obszar dialogu. Z ekoterrorystą się nie rozmawia; ekoterrorystę się zwalcza lub ignoruje (jeśli to możliwe). Tak czy owak, to negatywne określenie pozwala szybko i łatwo, czyli bez dogadywania się, forsować założone wcześniej rozwiązanie.

Zbawienne jest również to, że przypisywanie komuś takiej etykiety pozwala na

rozdzielenie ocen: ekoterrorysta jest tym złym, a my jesteśmy ci dobrzy. Jedną z podstawowych potrzeb człowieka jest podtrzymywanie dobrego mniemania na swój temat. Dlatego przypisanie komuś negatywnego określenia jednocześnie pozwala samemu poczuć się lepiej ze sobą. Jeżeli on jest tym złym, a ja jestem po przeciwnej stronie, to tym bardziej jestem tym dobrym. Zabieg ten pozwala na utwierdzaniu się w powziętych planach czy decyzjach. Tylko dobrzy mają rację, ci źli błędzą – są w błędzie. Tak więc mówienie o kimś „ekoterrorysta” znaczy „to ja mam tutaj rację i każdy inny pogląd jest błędny”. Z tego też powodu ferowanie takich negatywnych ocen redukuje własne wątpliwości co do preferowanego rozwiązania.

Wszystko ma swoją drugą stronę i każdy z nas nosi w sobie wiele różnych ambiwalencji. Dlatego najlepszą z możliwych dróg jest prawdopodobnie droga środka, bo pozwala integrować przeciwstawne bieguny. Jeśli ktoś wybiera skrajne rozwiązanie, to musi jakoś spacyfikować tę część siebie, która stoi po drugiej stronie. Innymi słowy musi jakoś uciszyć swoje wątpliwości. I tutaj „ekoterrorysta” jest doskonałym wyjściem, ponieważ można na niego przerzucić wszystkie te własne znaki zapytania, rozterki i przeciwstawne poglądy. Gdy się już to zrobi, ma się (pozorne) poczucie wewnętrznej spójności i klarowności. Wróg jest na zewnątrz.

Ten psychologiczny mechanizm bardzo wyraźnie pokazuje, że ci, którzy rzucają w innych negatywnymi epitetami, mają sporo własnych wątpliwości co do preferowanego rozwiązania jakiejś sprawy i próbują tym samym przenieść konflikt, jaki się toczy wewnątrz nich samych, na zewnątrz.

Angażowanie się w walkę na zewnątrz przynosi jednak kolejne problemy natury etycznej. Jak postępować wobec wrogów? Co można, a czego nie można robić? I tutaj etykieta „ekoterrorysta” po raz kolejny przychodzi z pomocą. Deprecjonowanie osoby takim określeniem zwalnia z konieczności traktowania jej w sposób humanitarny. Ekoterrorysta jakby w mniejszym stopniu zasługuje na miano człowieka; jest jakimś wadliwym albo niepełnym modelem tegoż, co sprawia, że różnego rodzaju ludzkie standardy zostają w tym przypadku zawieszane. Krótko mówiąc, tam gdzie są poważne konflikty, np. wojny, tam też ludzie mają tendencję do dehumanizującego określania wroga, co ma rozgrzeszać i usprawiedliwiać ich wątpliwe etycznie działania.

Jak widać, „ekoterrorysta” w dużym stopniu jest nie tyle obiektywną rzeczywistością, co raczej optyką spostrzegającego. Można by więc powiedzieć: pokaż mi swego ekoterrorystę, a powiem ci, kim jesteś.

Nie zmienia to jednak faktu, że istnieją osoby, które są obrońcami przyrody i stawiają się w opozycji wobec głównego nurtu współczesnej cywilizacji. Często osoby te określają działania, jakich się podejmują, jako radykalne; to właśnie one są źródłem frustracji różnych osób, które chciałyby łatwo i prosto realizować swoje partykularne interesy. Co można powiedzieć o tych radykałach?

Pozwólcie, że przywołam tutaj metaforę. Wyobraźmy sobie palacza, który z powodu uporczywego kaszlu trafia do lekarza. Tam słyszy, że grozi mu poważna choroba. Lekarz mówi: „musi pan przestać palić”. Pacjent na to: „a nie może przepisać mi pan jakiejś tabletki?” „Nie – odpowiada lekarz – musi pan natychmiast rzucić palenie”. Pacjent: „palenie jest takie przyjemne, dzięki paleniu się uspokajam, mogę pogadać z kumplami w pracy na przerwie. Jak rzucę palenie, to oni przestaną ze mną rozmawiać”.

Trudno nie zauważyć, że lekarz w tej historii jest prawdziwym radykałem, mówi bowiem: albo zdrowie, albo przyjemność palenia. Z punktu widzenia pacjenta lekarz jest kimś zagrażającym jego wartościom i stylowi życia. Pacjent oczekuje od lekarza tabletek, a nie wtrącania się w prywatną sferę życia. Większość pacjentów oczekuje wyleczenia i jednocześnie zachowania własnego stylu życia w niezmienionej postaci. W tym sensie chorobę i zalecenia lekarskie traktujemy jako przeszkodę w prowadzeniu takiego życia, jak byśmy chcieli. Bardzo trudno nam dostrzec związek między tym, jak żyjemy, a chorobą, która w końcu nas dopada. Chcemy używać sobie do woli i być zdrowymi. A jeśli pojawiają się problemy, to chcemy tabletek, byleby nic nie zmieniać w swoim życiu. Mamy przekonanie, że to nie my trzymamy w rękach nasze zdrowie; zależy ono przede wszystkim od lekarza.

Prawda jest jednak taka, że tabletki nas nie uratują – uratuje nas jedynie zmiana naszego życia. To jest bardzo radykalne podejście, ale wydaje się, że inne być nie może. Radykalne – oznacza sięgające do korzeni, do przyczyn danego zjawiska, a nie skupiające się na powierzchownym niwelowaniu skutków czy objawów.

W czasach globalnego kryzysu ekologicznego przeciwstawianie się niszczeniu

przyrody, co pociąga za sobą niejednokrotnie ograniczanie własnych przyjemności, wygody i luksusu, jest działaniem prawdziwie radykalnym, bo ingerującym w styl życia ludzi. Większość z nas liczy jednak na technologię, która rozwiąże nasze obecne problemy bez naruszania stylu życia. Mamy np. nadal jeździć samochodami, tyle że takimi, które są ekologiczne. W kontekście naszej metafory te rozwiązania technologiczne są niczym innym jak rodzajem cudownej tabletki lub urządzenia podtrzymującego życie. Ich rolą jest zwolnienie nas z konieczności zmiany naszego stylu życia.

Poza tym prawdopodobnie większość z nas uważa, że nie ma żadnego problemu: „nie jestem uzależniony, tylko tak trochę przypalam”. Inni mówią „palenie jest takie przyjemne, nie będę zatruwał sobie umysłu jakimiś apokaliptycznymi wizjami – mnie to nie spotka”. Dodajmy jeszcze, że 30-40 lat temu wcale nie było tak oczywiste, że palenie grozi czymś poważnym. Przekonanie, że palenie jest źródłem problemów zdrowotnych, rodziło się długo i w bólach.

Czy coś wam to przypomina?

Założmy, że dla naszego palacza rzucenie palenia było zbyt radykalnym wyjściem. Po kolejnych kilku latach zgłosił się do lekarza, a ten oznajmił mu, że rak w jego płucach jest w bardzo zaawansowanym stadium i że zostało mu kilka miesięcy życia.

Wydaje się, że jeśli dzisiaj nie posłuchamy ekologów, tych radykałów, których intencją jest ratowanie przyrody i ludzkiej cywilizacji poprzez jej gruntowną przemianę, to pojawi się coś jeszcze bardziej radykalnego. Pojawi się prawdziwy terrorysta, z którym nie będzie można w żaden sposób negocjować.

**EKONOMIA, POLITYKA  
I WSPÓŁCZESNA KULTURA**



# Czy współczesna ekonomia sprzyja ludziom i przyrodzie?

---

Podobno niewidzialna ręka rynku poradzi sobie z każdym problemem. Słabi odpadną, mocni się wzmocnią i ostatecznie dla wszystkich albo dla zdecydowanej większości będzie lepiej niż było. Na takich, z grubsza, podstawach ufundowany jest nasz świat. Założenie jest bardzo proste. Wystarczy, jeżeli ludzie będą chcieli się bogacić. Jeżeli będą to robić nie naruszając praw i wolności innych ludzi, to w końcu czeka nas wspaniały świat.

Brzmi to dość zachęcająco, ale już Kopernik (który był też ekonomistą) zauważył, że zły pieniądz wypiera dobry pieniądz. Inaczej mówiąc, tam, gdzie ludzie kierują się wyłącznie motywem zysku, tam stopniowo oferowane dobra mają coraz gorszą jakość. Kiedyś opłacało się władcom stopniowo zmniejszać ilość szlachetnego kruszcu w bitych przez siebie monetach, a dzisiaj mamy coraz mniej mięsa w mięsie, soku w soku czy ogólnie zdrowego jedzenia w jedzeniu. Wyprodukowanie czegoś jak najtaniej prowadzi w końcu do obniżenia jakości produktu. Dla współczesnej ekonomii to dobrze, bo im żywot jakiejś rzeczy jest krótszy, tym silniejsza presja na kupno nowego. Producenci różnych dóbr zakładają, że najlepiej jak zepsują się one po dość krótkim czasie. Dzięki temu można dbać o nieustającą koniunkturę nakręcaną popytem. Odkąd zaczęły królować sklepy z wszystkim za 4 zł (i nie tylko), w przeszłość odeszły te czasy, kiedy różnego rodzaju przedmioty przechodziły z pokolenia na pokolenie i służyły przez wiele lat różnym ludziom. Żyjemy w czasach jednorazowej tandety, która niemal momentalnie zamienia się w śmieci, niszcząc przy okazji świat.

Obniżanie kosztów jest też zabójcze dla środowiska, ponieważ powoduje rabunkowe gospodarowanie zasobami i przekłada się na destrukcję świata naturalnego.

Podobnie sprawa ma się z żywnością modyfikowaną genetycznie. Za jej wprowadzeniem i wykorzystywaniem również stoi chęć zysku. Oto odwieczne marzenie człowieka: mieć dużo wszystkiego z minimalnym nakładem sił i środków. Ten sen ziszcza się za sprawą GMO, które rosną jak szalone, dając plony przewyższające tradycyjnie

uprawiane rośliny. Na pozór wszystko wydaje się oczywiste: któż nie chciałby jeszcze większych i jeszcze bardziej słodkich i soczystych jabłek albo większych ziaren pszenicy, które dodatkowo są jeszcze bardziej odporne na różnego rodzaju choroby. A jednak widzimy, że ten sen przeradza się w końcu w koszmar, w którym ilość zagrożeń związanych z organizmami modyfikowanymi genetycznie przypomina puszkę Pandory.

Gdyby zaufać chęci zysku i mechanizmom wolnego rynku, nasze lasy już dawno zostałyby dramatycznie przetrzebione i sprzedane „na pniu”. Las rośnie długo, za długo, by czekać, aż w końcu da zarobić. Zyski mogą być skonsumowane dopiero przez wnuki lub prawnuki, dlatego pokusa jest nieustająca: wyciąć to, co się da, zarobić i specjalnie nie przejmować się tym, co będzie w przyszłości. Większość lasów w Polsce jest w rękach państwa i jakkolwiek i tutaj popełniano i popełnia się wiele błędów w pogoni za zyskiem finansowym, to i tak Lasy Państwowe próbują powściągnąć (przynajmniej częściowo) swoje apetyty i prowadzić bardziej zrównoważoną gospodarkę.

Do czego prowadzi wolny rynek i chęć zysku, widać było przy okazji kryzysu, jaki dotknął rynki finansowe pod koniec pierwszej dekady XXI w.. Zarówno banki, jak i klienci, gnani wizją zgarnięcia wielkich pieniędzy, doprowadzili do totalnego załamania całego systemu.

Czy pogoń za tymi pieniędzmi wynikała z potrzeb życiowych ludzi? Zdecydowanie nie. Pieniądze pożyczali przecież bogaci Amerykanie od banków, które też do biednych nie należały. Podstawową przyczyną kryzysu jest więc pazerność i nienasycenie świadomych obywateli wolnego społeczeństwa dobrobytu.

Tam, gdzie rządzi chęć zysku za wszelką cenę i wizja rozwoju, który wyraża się w nieustającym progresie, tam też tworzy się toksyczny system, który staje się kolosem na glinianych nogach. Ten system jest z gruntu kłamliwy i niezyciowy, stąd też jego podatność na załamanie przy pierwszej nadarzającej się okazji. W przypadku wspomnianego kryzysu byliśmy świadkami, jak rządy dojrzałych i rozwiniętych demokracji, wcześniej klęczące na kolanach przed bożkiem wolnego rynku, decydowały się wydawać ogromne pieniądze, by reanimować tego umarlaka. Jeżeli więc kryzys jest zdrową reakcją systemu na kłamstwo, w jakim żyjemy, to pojawiające się plany ratunkowe są niczym innym tylko zachętą do pograżania się w tym kłamstwie nadal. Rządy zdają się w tym przypadku

mówić: nie przejmujcie się, nic wam nie grozi, używajcie sobie dalej, pogrążajcie się, a jak już będzie bardzo źle, to jak troskliwy rodzic wybawimy was z opresji. Nie zmieniamy nic, dalej grajmy w tę grę, cudowną grę z przyklejonymi uśmiechami, zabawiając się na śmierć. Na końcu zawsze jest happy end.

Przypomina to sytuację alkoholika, który w końcu budzi się w rynsztoku (zawalając pracę, relacje z najbliższymi, niszcząc swoje zdrowie), ale wtedy zawsze znajdzie się ktoś, kto wybawi go z opresji, usprawiedliwi wszystkie błędy i da się napić, by biedak nie musiał cierpieć. Tak oto zabiera się mu kolejną szansę na konfrontację z prawdą i wyjście z uzależnienia.

Kryzys ekonomiczny, który rozpoczął się pod koniec pierwszej dekady XXI w. w zgodnej opinii wielu ekonomistów nie był zwykłym kryzysem, podobnym do tych z przeszłości, ale strukturalnym załamaniem wskazującym na potrzebę głębokiego uzdrowienia naszego świata. W tym znaczeniu stanowił szansę dla ludzkości i dlatego wszystkie szlachetne plany ratunkowe były niczym innym, tylko próbą dalszego mydlenia nam oczu, że nic się nie stało i możemy dalej używać i pogrążać się w autodestrukcji.

Cały ten system nie tylko nie sprzyja w długiej perspektywie czasowej ludziom, degenerując ich tożsamość, rozwalając więzi społeczne, czy negatywnie oddziałując na zdrowie, ale też jest zabójczy dla przyrody. Tam, gdzie króluje chęć zysku, tam też rzeki zamieniają się w cuchnące ścieki, lasy pełne są śmieci, powietrze jest przeniknięte toksynami, a gatunki roślin i zwierząt znikają w zastraszającym tempie. Współczesny system ekonomiczny w ogóle albo prawie w ogóle nie interesuje się szerokim kontekstem ludzkich przedsięwzięć. Gdyby tak robił, musiałby niechybnie ograniczyć własne zapędy i równoważyć je interesem pozaludzkich form życia organicznego i nieorganicznego. To powściągnięcie własnych apetytów i ambicji jest jednak sztyletem wbijanym w samo serce myślenia wolnorynkowego, które tak bardzo nie lubi się ograniczać. Wszak wolność jest przecież brakiem ograniczeń.

Dzisiaj rządy wszystkich państw powtarzają jak mantrę, że naszym obowiązkiem jest maksymalizowanie za wszelką cenę PKB. Brzmi to rozsądnie i mało kto będzie negował tę tendencję. A jednak trzeba to powiedzieć z całą mocą: to pragnienie pcha nas na krawędź przepaści. To oczekiwanie jest skrajnie nieodpowiedzialne i niebezpieczne.

Czy dotyczy to tylko rządów państw? Oczywiście, że nie. To samo dzieje się w małej skali życia każdego nas. Wielu z nas (a może wszyscy) pragnie mieć więcej i więcej. Te pragnienia nie mają końca.

Naukowcy swego czasu przeprowadzili eksperyment, w którym podłączono szczurowi elektrodę do ośrodka w mózgu odpowiadającego za odczuwanie przyjemności. Szczur, naciskając dźwignię, mógł przesyłać niewielkie impulsy elektryczne, które były bardzo nagradzające. Okazało się jednak, że szczur tak długo naciskał dźwignię, że ostatecznie tracił zainteresowanie innymi formami aktywności i ginął z wyczerpania lub głodu.

Może jest tak, że wszystkie organizmy dostały w prezencie od natury ten mechanizm. My jednak na swoje nieszczęście potrafimy niwelować przeciwności losu i skutecznie maksymalizować swój dobrostan. Inne organizmy nie są tak skuteczne i stąd ich funkcjonowanie jest zrównoważone. To, co nam pozostaje, to świadomie wycofać się z tej skuteczności i nawet, jeśli możemy mieć więcej, poprzestać na mniej. To prawdziwie rewolucyjna idea i póki co nie widać, by zyskiwała ona większe zrozumienie i popularność w skali życia konkretnych ludzi, nie wspominając już decydentów.

A jednak wydaje się, że pojawiają się szaleńcy, którzy powtarzają, że mniej znaczy więcej, którzy ostrzegają nas przed niebezpieczeństwami naszego ewolucyjnego sukcesu.

To doprawdy wielka i heroiczna decyzja, wyciągnąć elektrody z własnego mózgowia. To doprawdy niezwykła odwaga, podjąć decyzję o wytrzeźwieniu i nie piciu więcej. To wielka rzecz: uświadomić sobie, że pragnienie jest źródłem cierpienia własnego i całego świata.

I warto to zrobić, nawet, jeżeli świat ma się jutro skończyć.

## Ile to kosztuje?

---

Mamy żyć ekologicznie. Najlepiej, jeśli będziemy spożywali produkty, które są mało przetworzone i zostały wyprodukowane w sposób organiczny, czyli bez udziału nawozów sztucznych, środków ochrony roślin, antybiotyków, czy innych jeszcze dodatków. Najlepiej, jeśli będziemy dodatkowo pewni, że to, co spożywamy, wyprodukowane zostało nie tylko z poszanowaniem środowiska, ale również z dbałością o ludzi, którzy uczestniczyli w całym procesie produkcji. Najlepiej też, jeśli będziemy używali różnych urządzeń, które oszczędzają energię, wodę, gaz, czy ropę. Pewnie wielu z nas marzy o samochodzie na wodę, energię słoneczną, czy inne jeszcze cudowne paliwo. Mamy poza tym nastawić się na ciepło z kolektorów słonecznych czy energię ze źródeł odnawialnych. Już dzisiaj niektórzy dystrybutorzy energii proponują pakiety z gwarancją, że część sprzedawanej energii pochodzi ze źródeł odnawialnych. Ech, gdybyśmy tak wszyscy przeszli na stronę światła – zielonego, ma się rozumieć.

Tylko ile to kosztuje? Ci, którzy spróbowali – wiedzą. Nie trzeba wcale nastawiać się na ekologiczne samochody, czy panele słoneczne, wystarczy, że pójdziemy do sklepu ze zdrową żywnością, by kupić ekologiczną marchewkę. Jest dwa, trzy, a czasami nawet cztery razy droższa niż ta zwyczajna. Ten mnożnik z grubsza oddaje proporcje cenowe przy porównaniu produktów ekologicznych i tych tradycyjnych. Krótko mówiąc, ekologia jest droga.

Większość z nas ma tego rodzaju wyobrażenie i prawdopodobnie nie jest ono dalekie od prawdy. Swoją drogą przyjmujemy ten stan rzeczy za oczywisty, choć, gdy się mu bliżej przyjrzeć, to pojawia się tutaj sporo paradoksów. Otóż przemysłowe rolnictwo, które dostarcza większość produktów na nasze stoły, jest wielokrotnie bardziej energochłonne niż rolnictwo tradycyjne. Mechanizacja i związana z nią infrastruktura, stosowanie nawozów sztucznych i środków ochrony roślin, to wszystko pochłania ogromne ilości energii. Wyprodukowanie zatem kilograma marchewki w sposób nowoczesny kosztuje sporo, ale ostatecznie nie przekłada się to na cenę produktu w sklepie. Tutaj ta marchewka jest

stosunkowo tania, jest dużo tańsza niż ta wyprodukowana metodami ekstensywnymi. Na logikę powinno być odwrotnie. Podobnie jest jeszcze w wielu innych przypadkach, np. biała, oczyszczona mąka jest bardziej technologicznie zaawansowana, związana z większymi nakładami energii, niż mąka razowa, a jednak ta druga jest droższa.

Te wszystkie przypadki pokazują zadziwiającą cechę dominującego systemu ekonomicznego. Otóż zdecydowanie promuje on poprzez dotacje, subwencje czy różnego rodzaju ulgi tego rodzaju działania, które charakteryzują się dużą skalą. System ekonomiczny paradoksalnie nie jest zainteresowany oszczędnościami i prostotą, bowiem karmi się przepływem kapitału, który generuje zyski kolejnych przedsiębiorców i ostatecznie podtrzymuje cały system przy życiu. Jeśli więc kupuję w sklepie ziarno, gotuję je w domu i przyrządzam z niego potrawę, to jest to z punktu widzenia ekonomicznego dużo mniej korzystne, niż gdybym poszedł do pizzerii i tam zamówił danie, wcześniej wyprodukowane w jakimś spożywczym kombinacie.

Kolejną przyczyną stojącą za paradoksem współczesnego systemu ekonomicznego jest nieuwzględnianie w kosztach produkcji tzw. kosztów zewnętrznych. Przemysłowe rolnictwo istnieje tylko dzięki rozbudowanej infrastrukturze cywilizacyjnej. Gdyby nie było ropy, nie byłoby taniej żywności. Gdyby nie było dróg, samochodów, statków, samolotów, nie byłoby też pomarańczy, bananów, czy soi na naszych stołach. Patrząc na talerz zupy dostatecznie głęboko, można zobaczyć te wszystkie powiązania. Widać tam dymiące kominy, wstęgi autostrad, pola naftowe, ale też ofiary wypadków drogowych, ludzi chorujących z powodu zatrutej wody, anomalie pogodowe, wymierające gatunki czy chore na cukrzycę dzieci. Spoglądając w ten sposób na swój talerz, widać ogromne koszty, jakie ponosimy, próbując radzić sobie z problemami, które sami spowodowaliśmy. Kto ponosi te koszty? Oczywiście my sami: leczymy, zapobiegamy, naprawiamy, odbudowujemy. Problem polega jednak na tym, że tych wszystkich kosztów nie znajdziemy w cenie produktu, który nabywamy w sklepie. Prawdopodobnie wszystkie ceny, z jakimi na co dzień się spotykamy, są cenami zaniżonymi, ponieważ nie biorą pod uwagę kosztów zewnętrznych.

Mamy więc taką oto sytuację: w sklepach jest mnóstwo tanich produktów, które kupujemy na swego rodzaju kredyt. Ich cena nie jest adekwatną ceną. Ta bowiem

związana jest z rozlicznymi i długoterminowymi konsekwencjami wyprodukowania danej rzeczy. Te koszty w sposób oczywisty będziemy musieli w końcu ponieść, ponieważ nie da się oszukać rzeczywistości. Wszystko wskazuje na to, że koszty będziemy ponosić my, nasze dzieci, wnuki i kolejne pokolenia. Nikt nie wie, jak daleko w przyszłość zapuściliśmy się z tym kredytem, ale z pewnością nie jest to prezent, z którego mogliby się cieszyć ci, którzy przyjdą po nas.

To zjawisko nie jest niczym zaskakującym, choć mówimy tutaj o tym, co na co dzień ukryte jest przed naszymi oczami. Nie jest niczym zaskakującym, ponieważ jedną z najbardziej charakterystycznych cech dominującego systemu jest jego oparcie na kredycie. Najbogatsze państwa są jednocześnie najbardziej zadłużone. Dług publiczny osiąga takie rozmiary, że nawet ekonomiści podkreślają, że nie wiadomo jak to się wszystko skończy, tzn. kto będzie w stanie spłacić te długi.

Wiele zatem wskazuje na to, że zbudowaliśmy świat, który przypomina domek z kart; świat, który mamy nas rozlicznymi pokusami, które ostatecznie są iluzją zafałszowującą obraz rzeczywistości.

Niezależnie więc od tego, jaką dostaniemy odpowiedź na pytanie „ile to kosztuje?” zawsze powinniśmy dodać „za mało”. W tym kontekście produkty ekologiczne, które są dużo droższe, sytuują się znacznie bliżej prawdy. Ta prawda polega na tym, że jeśli chcemy mieć bardziej zdrowe środowisko, jeśli chcemy sami być w lepszej kondycji, to powinniśmy być gotowi za to zapłacić. Już teraz. Nie zaciągać kredytu, którego rzekomo nie zaciągamy, tylko uczciwie godzić się na poniesienie kosztów już tu i teraz.

Ktoś może powiedzieć, że nie stać nas na takie fanaberie. Ciągłe słyszymy tego rodzaju deklaracje z ust zwykłych ludzi, którzy łapią się na to kredytowe oszustwo, ale też z ust szacownych polityków i decydentów, którzy za wszelką cenę chcą utrzymać to złudne status quo. Widać to bardzo wyraźnie przy okazji np. kolejnych szczytów klimatycznych. Dylemat brzmi w tym przypadku bardzo konkretnie: „spoglądamy prawdzie w oczy, czy oszukujemy siebie i innych dalej”. Oczywiście dalej wolimy się oszukiwać. Robią to nie tylko politycy, ale każdy z nas, choćby przy okazji codziennych zakupów.

Jeśli ktoś mówi, że nas na to nie stać, to... z całą pewnością ma rację! Tak, nie stać nas. Nie stać nas na takie rozpasane życie, które wiemy. Faktycznie nie stać nas na więk-

szość z tych rzeczy, które posiadamy. Trzeba to z całą jasnością powiedzieć, że weszliśmy w ich posiadanie drogą oszustwa. Kosztują one bowiem faktycznie dużo więcej, a my tak najzwyczajniej nie dysponujemy tego typu środkami.

Gdybyśmy więc potrafili w ten sposób spojrzeć prawdzie w oczy, gdybyśmy byli gotowi płacić znacznie więcej za to, co mamy, to prawdopodobnie musielibyśmy ograniczyć swoje apetyty, bo najzwyczajniej nie starczałoby nam na wszystko. Ta zbawienna sytuacja nie jest niczym nadzwyczajnym w naszej ludzkiej historii, ani nawet w kontekście całego życia na ziemi. Życie zawsze preferuje równowagę i środek, co w tym przypadku oznacza stan względnego niedoboru.

Na takich oto przesłankach powinniśmy budować system ekonomiczny. Istnieje bowiem tylko jedna ekonomia – ekonomia prawdy. Na dłuższą metę to ona zweryfikuje nasz świat. Niezależnie jednak od tego, kiedy to nastąpi, już dzisiaj każdy z nas ma wybór.

Ile to kosztuje? Za mało! Płacę więcej.



# Jak brzmi niewygodna prawda?

---

Przy okazji problemów z globalnym ociepleniem, które traktowane jest jako niewygodna prawda dla wielu decydentów, w gronie ekologów, ale też i co bardziej świątłych polityków, trwa dyskusja na temat tego, jak przeciwdziałać niekorzystnym skutkom zmian klimatu. W tej dyskusji zasadnicza kwestia dotyczy kosztów, jakie ponieść mają ludzie w zmaganiu się z tą gorącą kwestią. Al Gore, były wiceprezydent USA i obecnie główny propagator „niewygodnej prawdy”, oraz inni medialni ekolodzy (np. ci związani ze znaną organizacją WWF) zdają się zapewniać, że ludzkość jest w stanie poradzić sobie z globalnym ociepleniem i że wcale nie musimy rezygnować ze stylu życia, który tak lubimy. „Nie musisz rezygnować z samochodu” – mówi się nam, „możesz zamienić swój stary model na nowoczesne auto zasilane wodorem”. Tak oto wilk będzie syty i owca cała.

Słuchając tych przekazów, mam wrażenie, że ekolodzy, ale też i politycy, dwoją się i troją, by przekonać ludzi, że nikt nie zabierze im dotychczasowych wygód, przyzwyczajzeń, wartości i przyjemności. Poniekąd można zrozumieć taką strategię; ludzie nie chcą przecież słuchać kogoś, kto zamierza odbierać im przywileje i dotychczasowe przyzwyczajenia. Ludzie nade wszystko boją się zmian, które miałyby uszczuplić zakres ich wolności oraz zabrać im to, co tak bardzo lubią. Dlatego też politycy i część ekologów powtarza z uporem: nie musisz nic wielkiego zmieniać, nie musisz rezygnować z dotychczasowego życia, no może jedyne, czego od ciebie oczekujemy, to zmiana żarówek na energooszczędne albo segregowanie śmieci. I to właśnie ma być ta „niewygodna prawda”. W którym momencie jest ona niewygodna, doprawdy nie wiem.

Dla mnie niewygodna prawda brzmi zgoła odmiennie. Jeżeli mamy przetrwać na tej planecie, musimy w sposób całościowy zmienić swoje życie. Ta zmiana nie dotyczy jakiegóż innowacji technologicznej, czy zmiany jakiegoś nawyku, który ma rzekomo ocalić naszą cywilizację, ale dotyczy zasadniczego problemu naszej ludzkiej egzystencji. Według mnie problem ten można sformułować bardzo krótko: jesteśmy ciągle głodni i nienasyчени i zjadamy stopniowo ten świat oraz samych siebie. Ta prosta diagnoza ma też swoje

proste antidotum. Otóż to, co może odwrócić toczący się niekorzystny proces, to radykalny post. Naszym zadaniem jest ograniczyć, powściągnąć, zredukować i zatrzymać rozpasaną konsumpcję, która nakręca spiralę zniszczenia. I tyle, albo aż tyle. Ten postulat oczywiście wymaga od nas bardzo gruntownej przemiany we wszystkich obszarach życia i trzeba sobie to jasno powiedzieć, wymaga od nas poniesienia ogromnych kosztów. Krótko mówiąc, trzeba będzie zrezygnować z wielu udogodnień, wygodnych rozwiązań, przyjemności oraz beztroskiego używania sobie. Przyszła sytuacja i przyszły świat będą zupełnie inne od obecnego.

Czy się nam to podoba, czy nie, ten proces już się rozpoczął, chociaż ta niewygodna prawda z trudem przebija się do naszej świadomości. Jednym z przykładów są tzw. limity emisji CO<sub>2</sub> dla poszczególnych państw Unii Europejskiej. Jak wiemy, Polska pod koniec pierwszej dekady XXI w. dostała limit o ok. 25% niższy niż ten zakładany przez nasze władze. Od razu też podniósł się lament, że dostosowanie się do tych wymogów spowoduje zahamowanie wzrostu gospodarczego, podniesienie się poziomu bezrobocia oraz (uwaga!) wzrost rachunków za energię dla indywidualnych odbiorców nawet o kilkadziesiąt procent. Innymi słowy, każdy z nas ze swojej kieszeni będzie musiał zapłacić za przeciwdziałanie globalnemu ociepleniu. Zamiast wydać te pieniądze na lody, kupno nowej komórki czy wakacje w odległym miejscu, trzeba je będzie przelać na konto energetyki kombinującej, jak zmniejszyć emisję CO<sub>2</sub>.

Powyższy przykład jest w gruncie rzeczy niewinną zajawką tego, co nas czeka, ponieważ ustalane limity w emisji CO<sub>2</sub> są póki co kosmetyczną zmianą przeprowadzaną tak, żeby nie rozłożyć na łopatki całego systemu ekonomicznego współczesnego świata. Gdyby pójść na całość i np. zastosować się do obliczeń niemieckich ekonomistów o orientacji środowiskowej, którzy określili, ile powinniśmy płacić za litr benzyny (uwzględniając tzw. koszty zewnętrzne), to cała gospodarka światowa niechybnie załamałaby się w krótkim czasie. Bo wyobraźcie sobie, co by to było, gdyby benzyna kosztowała 12-15 zł za litr?

Tak właśnie brzmi jeden z aspektów niewygodnej prawdy, pokazujący dobitnie, w jak nie zrównoważonym świecie żyjemy. Dlatego też powtarzanie nam, że możemy się wozić samochodami na wodór, latać energooszczędnymi samolotami na wakacje na drugi

koniec globu i ładować w hipermarkecie pełen koszyk „ekologicznych” produktów ze świadomością, że dzięki temu świat będzie lepszy, jest zwykłym mydleniem oczu i namawianiem nas do coraz to większego pogrążania się w konsumpcyjnym obłądzeniu. To tak, jakby proponować alkoholikowi, by upijał się szlachetnymi trunkami, a nie denaturatem – albo proponowanie palaczowi, by zamienił papierosy bez filtra na te z filtrem. Jeżeli ktoś chce rzeczywiście żyć zdrowo i zadbać o siebie (choć nie tylko o siebie), musi przestać pić i palić, jeśli jest osobą uzależnioną (a tacy właśnie jesteśmy, żyjąc w tym świecie). I trzeba sobie też od razu to powiedzieć, że proces rozstawania się z nałogiem i dokonywania zasadniczej zmiany we własnym życiu nigdy nie jest łatwy i przyjemny, a nawet bywa okupiony wielkim cierpieniem i ciężką pracą.

Tak też rysuje się nasza ekologiczna przyszłość, jeśli mamy przetrwać. Ale nie usłyszymy tego z ekranów telewizorów, ani z ust polityków. Nikt nie będzie przecież ryzykował odrzucenia przez ludzi tego, czego oni nie chcą widzieć i słyszeć. Dlatego póki co zawrotną karierę będą robiły różne „niewygodne prawdy”, które tak dobrze się ogląda i słucha.

Aż w końcu, któregoś dnia, upomni się o nas Ziemia i trzeba będzie spojrzeć prawdzie w oczy.

## O co chodzi w rozrywce?

---

Na festiwalu rockowym w Roskilde w 2000 roku podczas koncertu Pearl Jam rozegrała się tragedia: osiem osób zginęło przygniecionych do barierek i stratowanych, kolejnych kilkadziesiąt zostało rannych. Organizator przedsięwzięcia podjął decyzję o kontynuowaniu festiwalu, mimo iż kilka gwiazd odwołało koncerty. W wywiadzie powiedział, że mimo tragedii życie toczy się dalej, a ofiary nawet nie miały widocznych obrażeń – zostały po prostu uduszone. Czy to zdarzenie ma jakiś związek z naszym stosunkiem do przyrody? Co współczesna rozrywka mówi nam nas samych? O co chodzi w tym wszystkim?

Z pewnością wielu z nas ceni poczucie humoru, niezobowiązujące sytuacje, kiedy razem z innymi możemy radośnie celebrować jakieś wydarzenia. Lubimy tańczyć, śpiewać czy też patrzeć i słuchać, jak robią to inni. Jako ludzie podobno odróżniamy się od zwierząt tym, że potrafimy się śmiać i uśmiechać, choć również zwierzęta mają w zwyczaju oddawać się zabawie i harcom. Tak czy owak, współczesna kultura postawiła rozrywkę na szczególnym miejscu.

Wydaje się, że nigdy dotąd w historii ludzie nie bawili się tak dobrze i tak bardzo tego nie pragnęli. Rozrywka wdzierza się też w takie obszary, które do tej pory były oazą powagi. Wystarczy przypomnieć sobie, jakiego charakteru nabrały serwisy informacyjne. Stały się one prawdziwym przedstawieniem, które ma odprężyć i rozerwać ludzi. Nie byłoby w tym może nic zdrożnego, gdyby nie to, że przekazywane informacje dotyczą często spraw tragicznych i poważnych. Te przeplatane są różnego rodzaju mniej lub bardziej zabawnymi perełkami, mającymi uatrakcyjnić przekaz. Rozrywka wdarła się też do polityki, zastępując rzeczowy dyskurs siłowaniem się adwersarzy, ku uciesze zgromadzonej widowni. Nie chodzi w tym przypadku o to, co ktoś chce przekazać, ale o to, kto komu dołożył i kto wygrał pojedynek.

Pozycja, jaką uzyskała telewizja we współczesnej kulturze, oraz charakter przekazu telewizyjnego, świadczą najlepiej o tym, jak ogromną potrzebą stało się zabawianie.

Same imprezy rozrywkowe rozrosły się również do ogromnych rozmiarów. Dzisiaj duży festiwal muzyczny obejmuje nie jedną scenę, ale cztery i więcej, jak to jest w przypadku Open'era. Zgromadzona publiczność często krąży między tymi scenami, znudzona jednym koncertem i poszukująca kolejnych mocniejszych wrażeń. Tak oto na tego rodzaju imprezach króluje powierzchowne doświadczenie, no chyba, że ktoś przyjeżdża, by usłyszeć konkretnego wykonawcę i jest w stanie wytrwać na jego występie do końca, niezależnie od tego, jak bardzo udane jest to show.

Poszukiwanie nowych, mocniejszych wrażeń i coraz lepszej zabawy stało się prawdziwym znakiem naszych czasów.

Ta szalona konsumpcja jest tylko przejawem znacznie szerszego zjawiska, które polega na pochłanianiu ogromnych ilości wszystkiego: od surowców, jedzenia, poprzez samochody, a skończywszy na informacjach, dziełach sztuki czy wrażeniach.

Jeśli chodzi o rozrywkę, ma ona z pewnością oderwać nas od tego, co przyziemne, nudne, banalne czy trudne. Tak rodzi się podział na czas pracy i szarą codzienność oraz na atrakcyjny czas wolny, w którym dzieją się rzeczy radosne, wesołe i lekkie. Ta dychotomia dramatycznie pogłębia rozdźwięk między zwykłym życiem a rozrywką, o czym świadczą wspomniane tendencje do zabawiania się za wszelką cenę i bez umiaru wtedy, gdy udaje się nam wyrwać z kierunku codzienności. Zwyczajne życie przy tych fajerwerkach staje się tym bardziej szare, co dodatkowo wzmacnia poczucie pustki i niespełnienia – i nakręca następną odsłonę tego dramatycznego spektaklu.

Kolejne błędne koło dotyczy pogłębiającego się podziału na utalentowanego, aktywnego artystę i niewiele znaczącego, biernego odbiorcę. Kreowanie idoli oraz ich idealizowanie obnaża silne poczucie niskiej wartości u odbiorcy. Idol uosabia wszelkie pożądane cechy, stąd jego ogromny wpływ na rzesze konsumentów rozrywki w niemal wszystkich sferach życia, od sposobu ubierania się, aż po poglądy na różne kwestie. Utożsamianie się z idolem jest jednym ze sposobów nadawania własnemu życiu sensu i znaczenia, szczególnie wtedy, gdy trudno jest to zrobić w oparciu o świadomość własnych zasobów.

Pogrążanie się w bierności i apatii jest szczególnie mocno widoczne w przypadku korzystania z przekazu telewizyjnego. Łatwość korzystania z tego medium i jego dostępność uczyniły z nas bezmyślnych konsumentów ogromnej ilości wrażeń, informa-

cji, obrazów i treści. Symbolem tego jest beznamiętne przerzucanie setek programów w nadziei, że w końcu coś nas zainteresuje. A tu nic, tylko nuda – same powtórki, jak mawiają ludzie. Po raz kolejny widać, jak dostatek i przesyt są źródłami nudy i głębokiego niespełnienia.

Telewizja nie tylko czyni z nas biernych odbiorców, ale też psuje nasze gusta i tworzy iluzoryczny obraz rzeczywistości. Widać to na każdym kroku, ale jest szczególnie przykre, gdy dotyczy rzeczywistości przyrodniczej. Filmy o przyrodzie są tak skonstruowane, że pokazują zwykle dynamiczne, dramatyczne i szczególne zdarzenia. Dlatego idąc w końcu do lasu w tak zwanym realu, możemy być cokolwiek zdziwieni, bo w takim rzeczywistym lesie nic spektakularnego się nie dzieje. Przeważnie trzeba w nim spędzić wiele dni w ciszy i spokoju, by stopniowo odkrywał się przed nami subtelny świat dzikiego życia. Oczywiście bywa on też dramatyczny, jednak rzadko dzieje się to już tu i teraz, na naszych oczach, właśnie wtedy, gdy my chcemy być jego świadkami. Dlatego coraz częściej wolimy podziwiać przyrodę przed telewizorem, gdzie wszystko podane jest jak na tacy, a my nie musimy się wcale wysilać. Narazić się na zimno, przemoczenie, ukąszenia kleszczy i komarów. No i cierpliwie czekać. Kto chciałby się tak męczyć dzisiaj?

Nasz niepohamowany pociąg do rozrywki ma w końcu i taką przyczynę, że próbujemy za wszelką cenę zagłuszyć nasz wewnętrzny głos rozpaczny. Jesteśmy istotami śmiertelnymi, skazanymi na to, by w różnych momentach życia doświadczać cierpienia. Im bardziej nie zgadzamy się na to, tym silniej pragniemy tego, co znajduje się po drugiej stronie kontinuum. Zatem rozrywka ma być panaceum na egzystencjalne bolączki. Jeśli ilość tego lekarstwa, które sobie aplikujemy, ma świadczyć o zaawansowaniu choroby, to doprawdy jest się czego bać. Bo okazuje się, że za wszelką cenę nie chcemy dopuścić do siebie tego, że może być smutno, boleśnie czy nawet zwyczajnie. To wszystko są stany, od których chcemy jak najdalej uciec, rzucając się w wir zabawy i innych rozrywkowych fajerwerków.

We współczesnym świecie ten mechanizm dodatkowo zasilany jest drzemącym w nas poczuciem winy i żalu w związku z tym, co robimy przyrodzie. Ilość cierpienia, które wyrządzamy innym istotom, jest tak ogromna, że prawdopodobnie budzi nasze przeżalenie tudzież inne silne emocje. Ilość zagrożeń dla nas samych, które sprokurowaliśmy,

rozwijając niezrównoważoną cywilizację, jest tak duża, że codziennie musimy starać się, by ta trudna świadomość do nas nie dotarła. Najlepszym sposobem, by tego wszystkiego nie doświadczać i trzymać na wodzy trudne emocje, jest zatracenie się w rozrywce. Nie myśleć, nie pamiętać, nie wiedzieć i nie czuć tego, co trudne – oto podstawowa funkcja rozrywki we współczesnym świecie.

Czy jednak dotyczy to wszystkiego, co lekkie, łatwe i przyjemne? Czy można sobie wyobrazić taki rodzaj rozrywki, który nie jest uwikłany w rozliczne błędne koła nakręcające spiralę toksycznych zjawisk współczesnego świata?

Wydaje się, że zdrowa rozrywka oparta jest przede wszystkim na zrównoważonej intencji. Tą intencją nie jest próba odcięcia się od jakiegoś aspektu rzeczywistości, ale spontaniczne danie wyrazu własnemu potencjałowi w określonej formie w kontakcie z tym, co jest. Innymi słowy, jest to różnica między *od* a *do* rzeczywistości oraz różnica między *przymusem* a *swobodą* i *przepływem*.

Źródłem zdrowej rozrywki jest każdy z nas, z własnymi talentami i zasobami. Nie ma osoby, która byłaby tego pozbawiona, a jeśli tak jest, to oznacza, że daliśmy sobie to wmówić, porównując się z niebotycznym ideałem wykreowanym przez kulturę masową. Zdrowa rozrywka wypływa z niewymuszonego bycia, z pełnego zakorzenienia w chwili teraźniejszej. Będąc w kontakcie z rzeczywistością, z innymi ludźmi i samym sobą, można doświadczyć radości istnienia i podzielić się nią z innymi. Zdrowa rozrywka zbliża ludzi do siebie, czyni ich aktywnymi oraz twórczymi uczestnikami zdarzenia.

Nasi dalecy przodkowie od zarania dziejów praktykowali takie formy rozrywki. Snu-li opowieści w kręgu, które były też swoistą lekcją tego, jak można odczytywać świat i wchodzić z nim w relacje. W kręgu tańczyli i śpiewali. Co ciekawe, intencją nie tyle było „zapomnienie się” w zabawie, by odsunąć od siebie troski, ale podtrzymanie swoich związków wewnątrz grupy oraz związków z całym widzialnym i niewidzialnym światem. Nawet wykorzystywanie w tego rodzaju praktykach substancji zmieniających świadomość nie służy temu, by mieć tzw. fun, ale aby połączyć się duchowo z rzeczywistością nadprzyrodzoną. Interesujące, że w zamierzchłych czasach to, co nazywamy rozrywką, ściśle przeplatało się z aspektami duchowymi oraz z pracą. To wszystko stanowiło jedną całość, w której uczestnicząc, człowiek miał szansę stać się pełną osobą. Dzisiaj

natomiast pokawałkowaliśmy to, co kiedyś stanowiło jedność. Oddzieliśmy pracę od rozrywki, duchowość od codziennego życia, rytuał od zabawy.

Samą rozrywkę wypreparowaliśmy jako lekarstwo na nasze bolączki, pogłębiając tym samym chorobę, którą chcieliśmy wyleczyć.

I ciągle poszukujemy jeszcze doskonalszego sposobu, by się zabawić. Zabawić się w końcu na śmierć.

Powracając do kręgu i integrując z powrotem wszystkie poodcinane kawałki rzeczywistości na zewnątrz i wewnątrz nas, możemy odkryć, co to znaczy zdrowa rozrywka. Przewrotnie można powiedzieć, że doświadczenie prawdziwej radości czeka nas, gdy pozwolimy sobie usłyszeć w sobie głos płaczącej Ziemi. Gdy w pełni otworzymy się na rzeczywistość taką, jaka ona jest.



# Kto jest Dobrodziejem przyrody?

---

No tak, mamy kilku takich, co to przyrodzie dobrze robią. Chylimy czoła przed tymi, którzy zdołali ochronić jakiś skrawek dzikiej przyrody lub w inny sposób przyczynili się do poprawy sytuacji ekologicznej. Przyznajemy im nagrody, kierujemy wobec nich słowa szacunku, podziwiamy. Po drugiej stronie są ci, których możemy określić mianem Barbarzyńców. Barbarzyńca, to ktoś, kto niszczy, degraduje, kto przyczynia się do bezpowrotnej utraty cennych przyrodniczo miejsc. Tutaj również mamy swoich kandydatów, swoich „dyżurnych ulubieńców”.

Zwróćmy uwagę, że w tym sposobie myślenia o Dobroczyńcy lub Barbarzyńcy, różnych ludzi możemy przyporządkować do jednej bądź drugiej kategorii. Innymi słowy, ludzie są jacyś w stosunku do przyrody: jedni bardziej dobroczynni, inni bardziej barbarzyńscy, a w końcu są też i tacy, którzy zajmują skrajne pozycje w tej dychotomii. Uważamy, że wynika to z jakichś wewnętrznych dyspozycji, które decydują o tym, jak się ci ludzie zachowują. Nagradzając lub karząc takich ludzi, kierujemy się wprost do tej ich wewnętrznej rzeczywistości, sądząc, że to właśnie ona odpowiedzialna jest za to, co zrobili. Ten sposób myślenia wydaje się być oczywisty, naturalny i odzwierciedlający prawdę o człowieku. Każdy człowiek jest jakiś!

I tutaj pojawia się problem. Otóż współczesna psychologia coraz wyraźniej pokazuje, że ten sposób myślenia o człowieku jest w dużym stopniu nieadekwatny. Próbując pozbyć się tej nieadekwatności, na pytanie: dlaczego ktoś zachował się tak czy inaczej, **nie** odpowiemy „bo on taki już jest”, ale „bo sytuacja go do tego skłoniła”. Okazuje się bowiem, że nasze zachowanie w dużym stopniu zależy od tego, w jakich warunkach się znajdujemy. Niezależnie od tego, jacy jesteśmy, w podobnych sytuacjach reagujemy w zbliżony sposób. Oczywiście, nawet jeśli sytuacja jest podobna, to zachowanie różnych ludzi może być nieco odmienne, co wskazuje także na wpływ ich wewnętrznych dyspozycji. Jednak najczęściej ten wewnętrzny wpływ przeceniamy, a tego zewnętrznego nie doceniamy. Poza tym zapominamy o tym, że jako ludzie zmieniamy się z czasem, nawet

jeżeli mamy jakieś swoje dyspozycje, to nie są one tak stałe i niezienne, jak moglibyśmy tego oczekiwać. Nasza psychika jest raczej podobna do płynącej rzeki niż do nieruchomego zdjęcia krajobrazu, który z czasem zmienia się jedynie tak, że żółknie. Określenia – Dobrodziej lub Barbarzyńca – są właśnie takimi zdjęciami, które nie mają wiele wspólnego z prawdziwym, czyli zmiennym, dynamicznym i nietrwałym procesem życia.

Gdy wiele lat temu rozmawiałem z Adamem Wajrakiem o blokadzie ekologów na Górze św. Anny, ten znany proekologiczny dziennikarz wyrażał się o owym zdarzeniu i biorących w nim udział osobach dość niepocholebnie. Po kilku latach, gdy zagrożona była dolina Rospudy, ten sam Wajrak skłonny był zrobić to samo, co wcześniej krytykowany przez niego ekolodzy na Górze św. Anny. Czy można to skomentować w ten sposób, że wcześniej Wajrak w swoich ocenach był bardziej Barbarzyńcą, a później – bardziej Dobrodziejem? Te określenia są jakąś daremną próbą zatrzymania i zamrożenia płynącej rzeki i mogą być zwyczajnie niesprawiedliwe wobec konkretnej osoby. Jeśli kogoś już zamykamy w takich ciasnych ramach etykiet to tak, jakbyśmy nie dawali mu prawa do zmiany. Poza tym taka stygmatyzacja może sprawić, że ktoś rzeczywiście zacznie zachowywać się zgodnie z przypisaną mu etykietą. O ile przy Dobrodzieju, to nawet dobrze, o tyle wymachiwanie Barbarzyńcą na lewo i prawo może mieć zatrważające skutki.

Od dłuższego już czasu psychologowie próbują przekonywać ludzi, że dobrą strategią w relacjach z innymi jest oddzielanie osoby od jej zachowania. Dobrą praktyką jest unikanie oceniania osoby, za to zwracanie uwagi na to, jak się zachowała. Nie mówimy więc, że ktoś jest Barbarzyńcą, a raczej, że **zachował się** ze szkodą dla przyrody. Podobnie dzieje się przy okazji różnych pozytywnych działań dla przyrody. To nie tyle człowiek jest Dobroczyńcą, ile **zrobił** coś dobrego dla przyrody. Zrobił to w tym konkretnym czasie i konkretnej sytuacji. Oczywiście chwala mu za to, ale akcent powinien wyraźnie dotyczyć tego działania, a w mniejszym stopniu jego autora.

Wychodząc z tych przesłanek, trzeba też wyraźnie powiedzieć, że każdy z nas robi dla przyrody to, co może najlepszego, biorąc pod uwagę wszystkie uwarunkowania: wiedzę, doświadczenie, umiejętności, zależności międzyludzkie oraz wiele konkurencyjnych motywów i sytuacyjnych czynników. Jeśli czyjeś działania są więc katastrofalne dla przyrody, to trzeba je zobaczyć w szerokiej perspektywie jako efekt gry wielu różnych

czynników i uwarunkowań, które zmaterializowały się w tym konkretnym czasie, u tej osoby właśnie i w ten określony sposób. Trzeba od razu dodać, że inaczej być nie mogło, bo gdyby mogło, to by zaistniało. To prawdziwie ekologiczne (systemowe) spojrzenie, w którym widzi się różnych ludzi w układzie różnych przenikających się wzajemnie zależności. Przyglądając się wnikliwie innym ludziom, widzimy historię ich życia, przeplatające się losy setek tysięcy innych osób, a końcu nawet samych siebie. Sprowadzanie tego wszystkiego do prostych określeń, że ktoś **jest** Dobry lub Zły stanowi jakiś żenujący i często krzywdzący redukcjonizm.

Kto jest Dobrodziejem, kto jest Barbarzyńcą? Nikt!

Dobrze jest natomiast pochylić się z szacunkiem lub dezaprobatą nad konkretnymi działaniami, które służą bądź nie przyrodzie.

# Co może minister?

---

Zwykle myślimy o ludziach piastujących urzędy państwowe, że są to jacyś „oni”. Nie należą do zwykłych śmiertelników, gdzieś tam na szczytach władzy załatwiają różne interesy, o których wiemy raczej niewiele. Stąd zawsze rodzą się podejrzenia, że ludzie ci dbają głównie o swój własny interes i jak przychodzi co do czego, to uciekają się do różnych nieczystych i nieuczciwych zagrań. Chyba dlatego raczej nikt specjalnie nie lubi polityków. Bo mają władzę, o której my możemy tylko śnić i wbrew deklarowanym intencjom bardziej zabiegają o swoje niż wspólne dobro, co też może jest i naszym ukrytym lub niezrealizowanym marzeniem.

Tak czy owak, polityków na wysokich stanowiskach widzimy niemalże jak ludzi wszechwładnych. Recenzując ich poczynania często myślimy sobie, co też my zrobilibyśmy, będąc na ich miejscu. Puśćmy więc przez chwilę wodze fantazji. Gdybym tak był ministrem środowiska... ech, utworzyłbym nowe parki narodowe i powiększył istniejące, wzmocniłbym sieć NATURA 2000, zakazał polowań, upraw GMO, budowy infrastruktury w miejscach cennych przyrodniczo. Zrobiłbym też jeszcze wiele innych rzeczy, o których wolę jednak tutaj nie pisać. I co? Prawdopodobnie już nazajutrz nie byłbym ministrem środowiska. Wyleciałbym z pracy z wielkim hukiem, ponieważ to, co uważam za właściwe prośrodowiskowe działanie, nie pasuje do głównego nurtu polityki realizowanej przez ludzi trzymających władzę. Ale nie tylko o nich tu idzie. Nawet gdyby mój przełożony – premier – podzielał moje zamierzenia, to prawdopodobnie obaj zostalibyśmy wywiezieni na taczkach przez pospolite ruszenie przerażonych współobywateli.

Nasz demokratyczny świat zakłada, że politycy i ludzie władzy są wyrazicielami pragnień, aspiracji, wizji świata, wartości i oczekiwań dominujących w społeczeństwie. Nawet w krajach totalitarnych czy niedemokratycznych ludzie w jakimś stopniu zgadzają się na to, by obowiązujący system trwał. Dopóki to, co robi władza, mieści się w granicach społecznej akceptacji, dopóty system trwa, nawet jeśli władza nie ma pełnej społecznej legitymacji. Tam zaś, gdzie władza przekracza subtelny granicę społecznej akceptacji

własnych działań, rozpoczynają się rewolucje. Człowiek mający władzę jest więc zawsze bardziej lub mniej „społecznym delegatem”, jest „głosem ludu”.

A czego ten lud chce? No cóż, w większości nasze pragnienia mają charakter hedonistyczny. Chcemy żyć lekko, łatwo i przyjemnie. Ma nam być dobrze. I od tego jest władza, by nam to dać. To bardzo interesujący mechanizm, ponieważ nasze potrzeby są coraz bardziej nienaturalne. Inaczej mówiąc, nawet jeśli żyje się nam już dobrze (a tak jest w państwach dobrobytu – w tym w Polsce), to chcemy, żeby było nam jeszcze lepiej. I nawet jeżeli wzrost materialnego bogactwa nie przekłada się na wzrost dobrostanu i poczucia szczęścia, to ciągle naiwnie wierzymy, że tak się stanie i dlatego wciąż chcemy więcej i więcej. Zawsze też znajdują się ludzie (kierowani podobnym pragnieniem), którzy dla własnego zysku będą chcieli nam to dać. Tak oto nakręcamy spiralę potrzeb i zachcianek, która nigdy nie ma końca. Cały rozwój cywilizacyjny, cały tak zwany postęp jest niczym innym, jak usilnym nakręcaniem tej spirali. W tym znaczeniu staliśmy się niewolnikami postępu za wszelką cenę, niewolnikami, którzy w zamian za złotą klatkę rezygnują ze swych najgłębszych i najbardziej prawdziwych potrzeb. Ci niewolnicy następnie w akcie wolnego wyboru przysposabiają innych niewolników do roli zarządców złotej klatki.

Jako niewolnicy kochamy nasz stan niewoli i z tych względów wybieramy kogoś, kto gwarantuje, że *status quo* zostanie utrzymane.

Co zatem może minister? Może tylko to, co zgadza się z duchem czasu, w jakim przyszło mu sprawować swój urząd, co zgadza się ze społecznymi wyobrażeniami i oczekiwaniami. Minister środowiska w tym względzie jest w szczególnie trudnej roli, bo w gruncie rzeczy jest to jedyny resort, który z pozoru występuje przeciwko ludziom. Czasy bowiem są takie (i takie jest myślenie ludzi), że ochrona przyrody jest przeciwko człowiekowi. Tam, gdzie próbuje się docenić wartości przyrodnicze, gdzie próbuje się działać na rzecz środowiska naturalnego, od razu podnoszą się głosy, że dzieje się to ze szkodą dla ludzi. Każdy minister środowiska jest więc między młotem a kowadłem i musi dokonywać niewyobrażalnych szpagatów, by pogodzić to, czego godzić tak naprawdę nie potrzeba. Ci, którzy w tym pozornym konflikcie stawali po stronie ludzi, narażali się na krytykę organizacji ekologicznych, ci zaś – nieliczni, którzy próbowali przynajmniej

w jakiejś części chronić przyrodę – narażali się na powszechną krytykę z różnych stron. Pole manewru jest bardzo ograniczone podobnie jak wspólny obszar, w którym mogą spotkać się nasze zachcianki z interesem przyrody. Prawdziwi ideowcy, którzy widzą, że nasza cywilizacja uległa niebezpiecznemu złudzeniu, nawet gdyby mieli władzę, niewiele mogliby zrobić.

Czekanie aż minister, premier, prezydent czy jakakolwiek inna władza zacznie dbać o interes przyrody, a przy okazji o nasz własny, jest w dużym stopniu daremne, ponieważ większość z nas tego nie chce. Z drugiej strony ciągłe oczekiwania, że władza w końcu coś zrobi jest jednym z najbardziej powszechnych usprawiedliwień własnej bezczynności. Ludzie w większości oczekują, że „oni” podejmą jedyne słuszne decyzje i w końcu rozwiążą wszystkie nasze problemy. Ci „oni”, mając związane ręce rozlicznymi uwarunkowaniami i całym kontekstem cywilizacyjnym, tak naprawdę niewiele mogą. Tak oto zwykli ludzie mają ogromną władzę, choć jednocześnie wydaje im się, że nic od nich nie zależy, a ludzie na wysokich stanowiskach mogą myśleć, że mają ogromną władzę, choć po prawdzie ich wpływ na rzeczywistość jest ograniczony. Oczywiście coś jednak od ministra środowiska zależy, w końcu byli tam ludzie, którzy dla przyrody zrobili parę dobrych rzeczy, jednak los naszej planety w mniejszym stopniu zależy od tego, czy da się ochronić kolejny izolowany obszar przyrodniczo cenny, a bardziej od tego, czy my – zwykli ludzie – zmienimy nasze codzienne decyzje. To właśnie w naszych umysłach ważą się losy świata. Gabinety ministrów, polityków i władców są oczywiście miejscami, gdzie zapadają ważne decyzje, ale ich wpływ na to, co nas otacza jest mocno ograniczony. Najlepsze bowiem rozwiązania i przepisy pozostają na papierze, jeśli nie ma dla nich społecznej akceptacji. Tak jest m.in. z konstytucyjnym zapisem o zrównoważonym rozwoju, którego założenia Polska ma wprowadzać w życie, a który wciąż pozostaje martwy jak ekologiczny duch społeczeństwa.

Nie ma więc co czekać na lepszego ministra (choć w jakimś stopniu takiego właśnie życzylibyśmy sobie), nie ma też większego sensu – moim zdaniem – czynnie lub biernie angażować się w życie polityczne, które zawsze jest związane ze wspieraniem głównego nurtu. Uczestniczenie w tej grze z intencją, by rozwiązać problemy ekologiczne naszego świata z góry skazane jest na niepowodzenie, o czym świadczą kolejne fiaska szczytów

klimatycznych. Zamiast więc marzyć o władzy, dużo lepiej jest wnikliwie przyjrzeć się sobie oraz swojemu życiu, a następnie zacząć na każdym kroku praktykować uważność i dbać o całość na najbardziej podstawowym poziomie. A jeśli już zaczniemy to robić, to w naturalny sposób pojawią się inni, którzy wkroczyli na podobną ścieżkę. Łącząc się w grupy pomnażamy swoją siłę i łatwiej radzimy sobie z trudnościami, dając sobie nawzajem wsparcie. W tej małej skali rodzi się prawdziwie spontaniczny i autentyczny ruch, który daje nadzieję na przyszłość. Tego rodzaju zaangażowanie jest w stanie zmienić życie konkretnego człowieka w takim zakresie, o jakim żaden minister nie może nawet marzyć.

# Czy podejście ekologiczne jest lewactwem?

---

Na dobry początek proponuję zagadkę. Kto to powiedział: „Ziemia pokryta jest bliźniami po ranach, które zadali jej ludzie. Nasza niezaspokojona konsumpcja doprowadziła do masowej wycinki lasów, splądrowania zasobów, zanieczyszczenia powietrza i oceanów”. No cóż, brzmi to jak żywcem wyjęte z ust jakiegoś nawiedzonego ekologa czy lewackiego aktywisty, uderzającego w samo serce kapitalistycznego porządku współczesnego świata. A jednak, zdanie to wypowiedział zagorzały konserwatysta, którego trudno zaklasyfikować do grupy ekologów oszołomów. Autorem tych słów jest Benedykt XVI, a wypowiedział je podczas swojej pielgrzymki do Australii w 2009 roku.

Jakoś przywykliśmy do tego, że ruch ekologiczny kojarzony jest z lewą stroną sceny politycznej i to w dodatku z jej skrajnym lub radykalnym skrzydłem. Partie zielonych w krajach europejskich ciążą ku lewicy, wchodzą z nią w koalicje lub zwyczajnie z niej się wywodzą. I poniekąd można zrozumieć te związki, wszak umiłowanie wolności, bogacenie się jednostek i wolny rynek to podstawowy kanon kapitalistycznej ideologii wpisujący się wprost w tendencje do bezwzględnej eksploatacji naszej planety i w konsekwencji do prowokowania kryzysu ekologicznego. Takie czynniki, jak własność prywatna i wolna gra rynkowa realizowana w obszarze ograniczonych zasobów planety, prowadzą do ekologicznej katastrofy. Zobrazowali tę zależność psychologowie w oparciu o zjawisko tzw. tragedii wspólnej łąki. Załóżmy, że grupa hodowców owiec wykorzystuje wspólne pastwisko. Wiadomo, że każdy z nich pragnie maksymalizować swoje zyski i zwiększać liczebność własnego stada. Jednak jeśli zrobiłby tak każdy, zwierzęta wkrótce zjadłyby całą trawę i ostatecznie dla wszystkich skończyłoby się to katastrofą. Tak czy owak, żadnemu z hodowców nie opłaca się ograniczać własnych zapędów, ponieważ nie ma gwarancji, że inni postąpią tak samo. Jeśli więc ja nie będę zwiększał liczebności swojego stada w trosce o przetrwanie wspólnej łąki, a inni w tym czasie, nie przejmując się, powiększą swoje, to ostatecznie moja troska i samoograniczenie się na niewiele się zdadzą. Skoro tak, to po co się przejmować? Trzeba brać wszystko co się da i liczyć na



to, że jakoś to będzie. Badania i życie pokazują, że takie warunki sprzyjają zachowaniom egoistycznym, które nie biorą pod uwagę wspólnego dobra i w ten sposób niechybnie prowadzą do katastrofy. Jedyne więc co może ją powstrzymać, to ingerencja jakiejś nadrzędnej instytucji wprowadzającej limity, czyli ograniczającej wolność. Z tej perspektywy wydaje się, że wolny rynek jest niebezpieczny dla Ziemi i należy go ograniczyć ingerencją państwa. Tak oto dochodzimy do wniosku, że ochrona przyrody znajduje się po drugiej stronie założeń leżących u podstaw kapitalistycznego porządku.

Jakkolwiek jest w tym sporo prawdy, to musimy też pamiętać, że totalitarne, lewicowe reżimy zarówno współcześnie, jak i w przeszłości niezbyt chętnie stosowały się do zasad zrównoważonego rozwoju. Często nawet jeszcze bardziej eksploatowały środowisko, próbując doścignąć w jakimś szaleńczym pędzie gnającą na oślep gospodarkę wolnorynkową. Widać więc, że zarówno ci z lewej, jak i ci z prawej Ziemią specjalnie się nie przejmowali, i nie przejmują. Stąd kojarzenie ruchu na rzecz ochrony środowiska z jednym tylko skrzydłem politycznym wydaje się sporym nadużyciem. Do tego dochodzą jeszcze inne kwestie, dodatkowo wprowadzające zamęt, z którymi często nie radzą sobie sami ekolodzy utożsamiający się z lewicowym światopoglądem. Tak na przykład zabiegają o prawa zwierząt (wszak czujące, żywe istoty mają prawo do życia) i jednocześnie odbierają to prawo nienarodzonym dzieciom, optując za liberalizacją prawa aborcyjnego (jak czynią to ich lewicowi koledzy).

Krótko mówiąc, odwoływanie się do określonej ideologii czy wiązanie się z konkretną opcją polityczną, jest dla ruchu ekologicznego bardzo niebezpieczne. Po co mamy dawać się wciągać w jakieś niekończące się utarczki, które rozcieńczają nasze zaangażowanie w sprawy dla nas najistotniejsze, czyli kwestie ochrony środowiska?

I tutaj właśnie głos papieża jawi się jak zimny kubeł dla tych, którzy chcą politycznie zawłaszczyć troskę o Ziemię. Bo nagle okazuje się, że bardzo konserwatywny Benedykt XVI wypowiada się jak lewak. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że ekologiczny głos nie jest podszyty jakąś ideologią, ale jest po prostu głosem zdrowego rozsądku. Jest głosem, który wyzwolił się z ciasnego politycznego gorsetu i nazywa rzeczy po imieniu bez obciążeń związanych z konkretną ideologią. Bo tak naprawdę, czy chęć oddychania czystym powietrzem, życia w zdrowym środowisku i potrzeba pozostawienia go takim przyszłym

pokoleniom jest sprawą ideologii? To tak jakby powiedzieć, że codzienne mycie zębów jest sprawą ideologii.

Zdrowy rozsądek nie potrzebuje ideologicznych uzasadnień. Właściwe życie jest prostym, niewymuszonym i niewykoncypowanym byciem. To naturalne bycie nie wypływa z jakichś wyrafinowanych myślowych analiz, ale z szerokiej świadomości, która obejmuje człowieka wraz z jego środowiskowym kontekstem i pozwala mu doświadczyć jedności wszystkiego, co jest. I nie jest to żadna ideologia, tylko fakt tak oczywisty jak wdech i wydech. Wiele wskazuje, że taka świadomość jest naturalnym stanem naszego umysłu, jest tym, co zagłuszamy na co dzień na wiele różnych sposobów, nie pozwalając sobie na proste bycie.

Tak oto widać wyraźnie, że obok sterty śmieci w lasach, na wysypiskach, na ekranach telewizorów i komputerów, jednym z najbardziej zaśmieconych miejsc jest nasza głowa. Najpoważniejsze i najbardziej niebezpieczne zanieczyszczenia na tej planecie dotyczą naszej głowy, która jest pełna jakiejś koszmarnej myślowej sieczki wylewającej się następnie na zewnątrz i zatruwającej rzeki, powietrze, glebę i wtórnie nas samych.

Trzeba nam więc zutilizować te ideologiczne śmieci w naszej głowie i przejrzeć na oczy tak, jakbyśmy obudzili się z jakiegoś koszmarnego snu. Nie znam lepszego sposobu tej utylizacji jak praktykowanie „NIE WIEM”. Ten antyideologiczny wymiatacz sprawia, że nareszcie można odetchnąć pełną piersią i zacząć robić dokładnie to, co należy. A co należy? No właśnie, nie wiem! W takim stanie rzeczy dzieją się same tak, jak powinny. Proste? Tylko z pozoru. Ileż trzeba się natrudzić, napracować, by uwolnić głowę od toksycznego jazgotu. Ileż trzeba mieć w sobie zgody na ten jazgot, by nie walczyć z nim i zobaczyć, że z czasem sam się rozpuszcza, i że tak naprawdę nigdy nie był potrzebny, a nawet nigdy nie istniał. Zdrowy rozsądek, intuicja, wgląd, proste bycie, to jest właśnie to, co pozostaje na samym dnie drogocennej szkatuły po uprzątnięciu i wywaleniu tych wszystkich błyskotek oraz pozornych skarbów, jakie w niej zgromadziliśmy.

Tak czy owak, ten świat nie sprzyja takiej pracy. Wszędzie wokół nas są ideologie i jeśli chcemy coś w tym świecie zrobić, bo tak mówi nam nasze zdroworozsądkowe serce, to może trzeba zacząć krakać tak, jak inne wrony. Może nie da się inaczej, ale jeśli tak, to warto wybrać taką ideologię, która jak najbardziej bezpośrednio odwołuje się do

pierwotnych intuicji, która z pozycji „nie wiem” czyni swój fundament i zaprasza innych do takiego eksperymentu. Niech naszą ideologią będzie głos serca i zdrowy rozsądek, który pojawia się samoistnie wtedy, gdy robimy porządek w naszych głowach, wyrzucając z nich ideologiczne śmieci.

Miejmy nadzieję, że zrzucając kolejne zasłony iluzji, coraz więcej z nas będzie mówiło głosem nie lewicy ani prawicy, ale głosem serca, głosem zdrowego rozsądku, który prosto i dobitnie nazywa rzeczy po imieniu, budząc jednocześnie innych z letargu.

I niech tak będzie!

# Czy kobiety są bardziej proekologiczne?

---

Pierwszy wyraźny sygnał dotyczący związku roli płciowej ze stosunkiem do środowiska naturalnego pojawił się na gruncie ekofeminizmu w 1974 roku. Françoise d'Eubonne sformułowała założenie, w myśl którego między dyskryminacją kobiet a nieprzestrzeganiem praw natury istnieje bezpośredni związek. Związek ten wskazuje na destrukcyjną rolę mężczyzn i patriarchalnej struktury społecznej. Innymi słowy, problemem współczesnego świata jest nie tyle antropocentryzm, odpowiedzialny za dominację ludzkości nad naturą i prowadzący do jej zniszczenia, ile androcentryzm, który dąży do podporządkowania sobie zarówno przyrody, jak i kobiet męskiej sile. W ten oto sposób kobiety nie tylko zostały zwolnione z odpowiedzialności za udział w niszczeniu środowiska naturalnego, ale też razem z tym środowiskiem stały się ofiarą męskiej dominacji.

Ekofeminizm oprócz tego, że rozpoznaje podwójny charakter dominacji nad kobietami i resztą natury, przekonuje też, że aby dobrze zrozumieć istotę tej dominacji należy zwrócić baczną uwagę na męski charakter oraz patriarchalną kulturę. Otóż „naukowa i zmaskulinizowana kultura” uczyniła z przyrody „innego”, coś, co jest zupełnie różne od męskiego przedstawiciela *homo sapiens*, co daje mu jednocześnie nieograniczone prawo do eksploataowania środowiska. Ta absolutna władza nad rzeczywistością, oparta na naukowym i technologicznym rozwoju, jest też wzorcem, który ujawnia się w dominacji mężczyzny nad kobietą.

Ekofeministki uważają, że mężczyźni w sposób przesadny przywiązują się do funkcji intelektualnych, ponieważ nie są zdolni do rodzenia dzieci. Kobieta w sposób naturalny staje się nieśmiertelna poprzez to, że daje życie dziecku, natomiast mężczyzna szuka nieśmiertelności w transcendentnej sferze bytu, która jest usytuowana ponad matrycą narodziny – śmierć. Jednak z tej perspektywy mężczyzna widzi kobietę jako tę, która związana jest ze sferą skończoności. Tym bardziej sam próbuje się od niej odciąć, skupiając się na tym, co dalekie od natury, skończoności i tego, co organiczne. W ten sposób afirmuje funkcje związane z rozumem, ponieważ są one podstawowym narzędziem

dokonywania transcendencji. Ostatecznie ta właśnie sfera zostaje utożsamiona z człowieczeństwem, co *de facto* oznacza utożsamienie człowieczeństwa z męskim charakterem. Zarówno kobieta, jak i przyroda w tej perspektywie są postawione poza tym, co ludzkie, właściwe i doskonałe.

Wniosek, jaki nasuwa się z tej analizy, jest oczywisty.

Męczyzna dystansuje się od natury, traktuje ją jako zagrożenie dla własnej pozycji, musi więc ciągle ją kontrolować i ujarzmiać. Jednocześnie, uzasadniając to działanie przekonuje się, że natura jest czymś gorszym od niego, czymś, co musi zostać podporządkowane i zmienione, aby mogło spełnić męskie oczekiwania. Kobieta natomiast nie zerwała związków z naturą. Świadomość własnego ciała, świadomość związków z naturalnymi mechanizmami życia (rodzenie dzieci, miesiączka i jej związek z cyklem księżycowym) jest zbyt silny, aby chcieć dominować nad tym, co naturalne. Zatem kobiecość w swym podstawowym (biologicznym) wymiarze jest bardzo blisko Ziemi, natury. Jest niehierarchiczna, nierywalizacyjna, pozbawiona przemocy, współodczuwająca i oparta na współzależności.

Analiza ekofeministyczna koncentruje się z jednej strony na tym, co stanowi esencję męskości i kobiecości, a z drugiej na wartościach, dominującym paradygmacie czy podstawowych założeniach, które leżą u podstaw tworzonych przez człowieka kultury. Poszczególne kobiety lub mężczyźni mogą nie pasować do opisanego wcześniej schematu, jednak największe znaczenie ma to, że współczesna kultura przesiąknięta jest patriarchalnym i adrocentrycznym charakterem, co ostatecznie decyduje o kształcie instytucji społecznych, środków masowego przekazu, nacisku na rozwój ekonomiczny i technologiczny za wszelką cenę, a także lansowanych stylów życia. To właśnie w tych elementach przejawia się agresywny, rywalizacyjny, dominujący oraz nieekologiczny charakter naszych działań, niezależnie od tego czy jesteśmy kobietami, czy mężczyznami. Bo jakkolwiek ekofeministki wyraźnie sugerują, że tylko kobiety mogą uratować świat, to również kobiety same często ulegają maskulinizacji i wypierają się własnej natury. Czy w związku z tym uprawnione jest twierdzenie, że kobiety są bardziej proekologiczne?

Nowsze badania psychologów rzucają bardziej jednoznaczne światło na zależności między płcią a stosunkiem do przyrody. Lynnette C. Zelezny razem ze współpracow-

nikami w 2000 roku dokonała metaanalizy kilkudziesięciu badań przeprowadzonych w dekadzie lat dziewięćdziesiątych XX wieku. I tak, w czterech na sześciu badaniach stwierdzono u kobiet istotnie wyższy wskaźnik pozytywnej postawy wobec środowiska naturalnego niż u mężczyzn. W dwóch przypadkach wyższymi wskaźnikami prośrodowiskowymi charakteryzowali się mężczyźni. **Zatem, jakkolwiek kobiety wykazywały bardziej pozytywne postawy, to jednak efekt ten był raczej mały.** Jeśli chodzi o wpływ płci na zachowania prośrodowiskowe, to w dziewięciu badaniach kobiety osiągały wyniki wyższe niż mężczyźni, w trzech kolejnych nie zanotowano różnic między płciami, a w jednym mężczyźni manifestowali więcej prośrodowiskowych zachowań.

Interesujące są wyniki badań sprawdzające wpływ płci na postawy i zachowania prośrodowiskowe u dzieci ze szkół podstawowych i gimnazjalnych. Rok po roku (1994 i 1995 r.) **dziewczynki manifestowały bardziej pozytywne postawy wobec środowiska oraz charakteryzowały się – większą niż chłopcy – osobistą odpowiedzialnością za poprawę stanu środowiska.** Dotyczyło to głównie zaniepokojenia związanego z problemem śmieci oraz większą gotowością do stosowania recyklingu zarówno w domu, jak i w szkole. Dziewczynki poza tym zwracały większą uwagę na wymieranie gatunków.

Wyniki uzyskane w tym badaniu wskazują, że wpływ płci na zaangażowanie w problematykę środowiskową pojawia się stosunkowo wcześnie, co przeczy niektórym sugestiom, jakoby przewaga kobiet nad mężczyznami w tym względzie pojawiała się dopiero w momencie, gdy kobieta doświadcza macierzyństwa i, opiekując się swoim potomstwem, zwraca większą uwagę na zagrożenia ekologiczne.

Kolejne badania prowadzone w 14 krajach potwierdzają wcześniejsze wyniki. **W zdecydowanej większości z nich kobiety osiągały wyższe wyniki zarówno w obszarze postaw, jak i zachowań prośrodowiskowych.**

Dlaczego kobiety są bardziej proekologiczne? Okazuje się, że kobiety są bardziej uspołecznione, co wyraża się w braniu w większym stopniu perspektywy innego człowieka oraz charakteryzują się wyższym poziomem odpowiedzialności społecznej. **Kobiety manifestują większą troską o środowisko oraz charakteryzują się znacząco wyższym poziomem altruizmu niż mężczyźni.** Wyjaśnienie tego faktu wydaje się

dość proste. Otóż kobiety są znacznie bardziej zaangażowane w podtrzymywanie życia, opiekę nad potomstwem oraz angażują się w relacje sąsiedzkie i działają na rzecz społeczności. Mężczyźni natomiast uczą się w toku socjalizacji, zaangażowania w sprawy biznesowo-rynkowe oraz uczestniczą częściej w grach sportowych. Wszystko to sprawia, że współpracują głównie w obszarze wąskiej, własnej grupy i jednocześnie rywalizują z wszystkimi innymi. Skutkiem tego są inne wzorce socjalizacji i oczekiwania, co do tego, jak powinni zachowywać się mężczyźni i kobiety. Innymi słowy, mężczyźni uczą się raczej dbać o własny interes, podczas gdy kobiety nastawione są na to, by zwracać uwagę na innych i zachowywać się bardziej altruistycznie. Poza tym kobiety częściej manifestują zachowania prośrodowiskowe w domu. Łatwiej jest to robić w takim miejscu niż w świecie zewnętrznym, który jest domeną mężczyzn.

Przytoczone przeze mnie doniesienia z badań wskazują jednak na pewien paradoks. Otóż warunkiem przewagi kobiet nad mężczyznami w zakresie dbałości o środowisko jest podążanie przez kobiety za swoją naturą, która ma uwarunkowania biologiczne. We współczesnym świecie kobiety jednak coraz bardziej próbują negować te uwarunkowania, wskazując na to, że „płeć nie ma znaczenia”, dążąc do wyrównania własnej pozycji z mężczyznami. Feminizm – który pozwolił kobietom na emancypację – jednocześnie sprawił, że zaczęły one rywalizować z mężczyznami w różnych obszarach. Niestety, by rywalizować z mężczyznami, trzeba stać się jak oni – wykrzesać z siebie agresję, dążyć do zdobycia przewagi, skupić się na własnych interesach i wyjść w świat, zostawiając rodzinę i dom. Takie właśnie stały się – lub próbują się stać – współczesne kobiety. Osiągając sukces na tym polu, okupują go najczęściej wyparciem się tradycyjnie pojmowanej kobiecości – tej, która pozwala bardziej troszczyć się o Ziemię. Tak oto mamy wokół siebie nie tylko mężczyzn, ale też coraz więcej kobiet, które przejawiają męskie cechy. W moim przekonaniu to prawdziwy dramat i porażka feministycznej krucjaty. Co to oznacza dla przyrody? Jeszcze większą presję ze strony coraz bardziej zmaskulinizowanej kultury.

A rozwiązanie wydaje się dość proste.

Nie chodzi nam przecież o to, by mężczyźni zastąpiły męskie kobiety. Nie chodzi również o to, by wyrugować mężczyzn z ich udziału w życiu społecznym lub skłaniać ich do tego, by byli mniej męskimi. Chodzi natomiast o to, by zrównoważyć to, co męskie

tym, co kobiece. Aby tak się stało, trzeba dowartościować kobiecość i związane z tym cechy, takie jak: wspólnotowość, emocjonalność, troska, odpowiedzialność, gotowość do współpracy i niesienia pomocy.

To zadanie, przed którym stoją wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety.



# Czy rozwój zrównoważony jest właściwą drogą?

---

Słyszymy to zewsząd: zrównoważony rozwój jest lekiem na obecny kryzys ekologiczny. Zrównoważony rozwój jest odmieniany przez wszystkie przypadki w artykułach prasowych, w dokumentach, analizach, prognozach; jest na ustach polityków, działaczy społecznych, naukowców oraz zwykłych ludzi. Jest wpisany do konstytucji naszego kraju jako kierunek, w którym mamy podążać. Czy ktoś może mieć jakieś wątpliwości? Czy ktoś podniesie rękę na tę świętość?

Wprawdzie zrównoważony rozwój jawi się jako właściwy model relacji człowiek – środowisko naturalne, to idea ta budzi sporo kontrowersji.

Podstawowe założenie leżące u podstaw idei zrównoważonego rozwoju mówi, że zaspokojenie potrzeb ludzkości musi dostrzegać ograniczoność zasobów środowiska oraz brać pod uwagę interes przyszłych pokoleń. Faktycznie jednak równowaga definiowana jest tutaj w oparciu o trzy zasadnicze elementy: środowiskowy (ekologiczny), ekonomiczny (gospodarczy) i społeczny.

Czy coś jest nie tak w szlachetnej, jak się zdaje, idei zrównoważonego rozwoju?

Otóż pierwszy zarzut dotyczy utopijności i jednocześnie wewnętrznej sprzeczności, jaka istnieje między aspektem środowiskowym i ekonomicznym zrównoważonego rozwoju. Współczesny system ekonomiczny zakłada, że podstawowym motywem działalności człowieka jest zysk finansowy traktowany jako względnie izolowana i autonomiczna wartość. Inaczej mówiąc, dobry przedsiębiorca będzie zawsze dbał o maksymalizację zysku swojego przedsięwzięcia, a dobrze rozwijające się państwo będzie starało się za wszelką cenę maksymalizować PKB. Wszystko wskazuje na to, że takie priorytety współczesnego wolnego rynku stoją w sprzeczności z interesem przyrody. To dlatego, mimo iż hasło zrównoważonego rozwoju jest dzisiaj na ustach niemal wszystkich, nigdzie nie zaobserwujemy w większej skali, by zasady równowagi były realizowane w praktyce. Póki co widać wyraźnie, że tam, gdzie jest większe PKB, tam też koszty środowiskowe są większe. I odwrotnie: nasza planeta oddycha z ulgą, gdy zdarzają się okresy

recesji. Dodatkowym potwierdzeniem tych prawidłowości są dane dotyczące tzw. śladu ekologicznego. Otóż najbogatsze i najbardziej rozwinięte kraje świata wpływają najbardziej negatywnie na środowisko.

Inaczej mówiąc, nie można mieć jednocześnie systemu ekonomicznego, którego podstawową zasadą jest zysk materialny i zdrowego środowiska. Te dwie wartości są sprzeczne ze sobą i z tego powodu obserwujemy w dzisiejszym świecie dalszą i nieustanną pogoń za materialnym dobrobytem z równoczesnym pogarszaniem się stanu środowiska. Gdyby rzeczywiście zrównoważony rozwój miał funkcjonować w praktyce, to w pierw należałoby gruntownie zrewidować podstawowe zasady ekonomii wolnego rynku. Ekonomia zrównoważonego rozwoju byłaby z pewnością zupełnie inną ekonomią niż ta, która obecnie dominuje. Prawdopodobnie ta zmiana byłaby prawdziwą rewolucją, której skutki społeczne są trudne do ogarnięcia.

Drugi zarzut dotyczy samej istoty koncepcji zrównoważonego rozwoju, która zakłada określoną relację między komponentem środowiskowym, ekonomicznym i społecznym. Otóż najkrócej rzecz ujmując, w idei zrównoważonego rozwoju nie ma równowagi. Te trzy elementy zakładane są jako punkt wyjścia, co prowadzi do przewagi aspektów ludzkich nad przyrodniczymi. Mamy tutaj bowiem do czynienia z jednym aspektem przyrodniczym i dwoma ludzkimi (ekonomia i społeczeństwo). W ten oto sposób, w subtelnej grze między trzema elementami, my ludzie zapewniamy sobie dominację nad przyrodą, arbitralnie rozpisując swoje interesy w kategoriach ekonomicznych i społecznych.

Jeśli już zakładamy, że interesuje nas relacja człowiek-środowisko, to uczciwie byłoby rozwijać koncepcję, w której oba te elementy mają okazję prawdziwie się równoważyć. My zaś, niejako pomnożyliśmy swoje interesy i zapewniliśmy sobie w ten sposób przewagę.

Wydaje się oczywiste, że ekonomia to nie jest system, który spadł nam z nieba albo coś, co wyewoluowało w oderwaniu od kontekstu ludzkiego czy przyrodniczego. Ekonomia, gospodarka, wolny rynek, czy jakiegokolwiek inne jeszcze rozwiązania cywilizacyjne są częścią ludzkiej kultury, są naszym ludzkim dziedzictwem i traktowanie ich w koncepcji zrównoważonego rozwoju na równi z aspektem przyrodniczym i społecznym jest prawdziwą uzurpacją. Tak czy owak, próba ta pokazuje, jak dominującą rolę zajmuje

ekonomia w dzisiejszym świecie, i jak stara się dyktować nam wszystkim warunki.

Sprawa wydaje się być dość prosta: po jednej stronie mamy przyrodę, a po drugiej człowieka z całym jego inwentarzem (w tym ekonomicznym). Jeśli zatem chcemy cokolwiek równoważyć, to musimy brać pod uwagę wyłącznie te dwa aspekty.

Czy jednak przyroda i człowiek są sobie przeciwstawni? Tego właśnie dotyczy trzeci zarzut. Otóż założyliśmy, że te dwa elementy są sobie równe i posiadają odmienne interesy. Czy rzeczywiście człowiek jest równy przyrodzie? Tutaj po raz kolejny przejawia się nasza uzurpacja. Stajemy do rywalizacji jak równy z równym, choć przecież jesteśmy tylko jednym z wielu elementów biosfery. Z ekologicznego punktu widzenia człowiek jest częścią przyrody, jest jednym z gatunków zasiedlających planetę. Nie ma żadnych podstaw, by uważać, że nasze miejsce tutaj jest w jakiś sposób uprzywilejowane. Czy człowiek może istnieć bez przyrody? A czy przyroda bez człowieka? Odpowiedź na te pytania w odpowiedni sposób ustawia relację między tymi pozornie równoważnymi elementami. Z tej konstatacji wypływa kolejny ważny wniosek. Mianowicie uwierzyliśmy, że nasze prawdziwe interesy stoją w sprzeczności z interesem przyrody. Chcemy czegoś i okazuje się, że świat naturalny stoi na przeszkodzie naszym zamierzeniom. Chcemy poprowadzić drogę i nie możemy, bo naruszamy wartości przyrodnicze jakiegoś miejsca. Chcemy produkować więcej energii, ale okazuje się, że niszczymy w ten sposób atmosferę i psujemy klimat. Chcemy produkować jakieś dobra i okazuje się, że w ten sposób zatruwamy glebę, wodę, atmosferę oraz wytwarzamy ogromne ilości odpadów. Może się złudnie wydawać, że przyroda ciągle nam jakoś przeszkadza w realizacji naszych planów.

Te wszystkie sytuacje pokazują jasno szaleństwo naszego myślenia, które przeciwstawia nas i przyrodę. Wygląda to tak, jakby prawa ręka nagle zaczęła sobie rościć szczególne prawa i negocjowała z resztą organizmu warunki kompromisu, który miałby równoważyć interes ręki i reszty ciała. Absurdalność tej sytuacji pokazuje wyraźnie ślepy zaufek, w który zabrnęliśmy. Idea zrównoważonego rozwoju niestety podtrzymuje przekonanie, że przyroda jest systemem przeciwnym nam, że jesteśmy od niej oddzieleni, oraz że jesteśmy szczególnie ważni.

Prawda jest zupełnie odmienna: zależy od przyrody, jesteśmy jej częścią na równi z pozostałymi uczestnikami cudu życia. Interesy przyrody nie są przeciwstawne interesom

człowieka. W istocie potrzeby człowieka są potrzebami planety, a potrzeby planety są potrzebami człowieka. Ta głęboka prawda ukazuje absurdalność idei zrównoważonego rozwoju i jednocześnie kieruje nas ku rzeczywistym priorytetom. Nasza relacja z przyrodą nie jest grą, w której równoważą się sprzeczne interesy. Jest zaś zbawienną zależnością, w której mamy okazję odkrywać, co jest dla nas rzeczywiście dobre i właściwe. To zawsze będzie relacja asymetryczna, w której to, co mniejsze i zawierające się w większym, rozpoznaje swoje miejsce i podąża za swoją prawdziwą naturą wpisującą się harmonijnie w większy porządek.

Niestety idea zrównoważonego rozwoju podtrzymuje iluzję, że jest inaczej. Dlatego dzisiaj potrzebujemy takiej koncepcji, która otworzy nam oczy zdzierając jednocześnie okowy iluzji. Potrzebujemy w końcu złożyć broń, odetchnąć z ulgą i ponownie poczuć się jak u siebie w domu. Tak po prostu.

# Jaki sposób życia jest najlepszy dla przyrody?

---

Wyobraźmy sobie, że mamy czarodziejską różdżkę, za dotknięciem której ludzie zaczynają postępować na co dzień w taki sposób, jaki jest najlepszy dla przyrody. Wiele projektów edukacyjnych oraz rozwiązań prawnych próbuje być taką różdżką. Ale podstawowa kwestia dotyczy tego, czego byśmy chcieli.

Czyż nie tego, żeby ludzie stosowali recykling, oszczędzali energię, nie używali foliówek, a podczas zakupów kierowali się przede wszystkim tym, jak dany produkt wpływa na środowisko? Chcielibyśmy też, żeby ludzie aktywnie działali w organizacjach nastawionych na ochronę środowiska. No i najlepiej, jeśli te wszystkie działania wynikałyby z ich świadomości ekologicznej, która każe wyżej wartościować interes przyrody niż np. wzrost gospodarczy.

Czy gdyby to wszystko udało się osiągnąć, coś jeszcze spędzałoby nam sen z powiek? Ech, gdyby tak udało się mieć taką różdżkę...

Po prawdzie jednak nie musimy jej mieć.

Takie społeczeństwo bowiem rzeczywiście istnieje. Gdzie jest ten ekologiczny raj? To Stany Zjednoczone.

Od kilkadziesiąt lat Instytut Gallupa prowadzi badania, w których przepytuje Amerykanów m.in. na okoliczność ich relacji ze środowiskiem naturalnym. Na wiosnę 2010 roku ukazał się kolejny taki raport. Wynika z niego, że 90% Amerykanów stosuje recykling, 85% redukuje zużycie energii w swoich domach, 81% wymieniło tradycyjne żarówki na świetlówki, 76% podczas zakupów kieruje się względami środowiskowymi, a 70% nie używa foliówek.

Mało?

No to dodajmy do tego, że prawie co piąty Amerykanin aktywnie działa w jakiejś organizacji ekologicznej, a następne 41% sympatyzuje z takimi organizacjami. Tylko 10% społeczeństwa lokuje się po drugiej stronie barykady. Wyniki ostatniego badania wskazują, iż 53% osób uważa, że środowisko jest ważniejsze niż wzrost gospodarczy,

a 43% twierdzi odwrotnie. Ten ostatni wynik może nie jest imponujący, ale gdy analizuje się dane z okresu ostatnich 20 lat, to wyraźnie widać, że przeciętnie trzy czwarte Amerykanów stawiało wyżej przyrodę niż wzrost gospodarczy, a tylko jedna czwarta odwrotnie.

My, Polacy, wypadamy naprawdę blado przy Amerykanach. Raport Instytutu na rzecz Ekorozwoju z 2009 roku pokazuje, że 48% z nas stosuje recykling, 58% stara się ograniczyć zużycie energii, a zaledwie 5,5% podczas zakupów bierze pod uwagę aspekty środowiskowe. Tylko z foliówkami jest lepiej – 60% deklaruje, że ich nie używa.

Czy to znaczy, że gdyby wszyscy postępowali tak, jak Amerykanie, mielibyśmy to, czego naprawdę chcemy? Wyobraźmy to sobie: dostatnie i wygodne życie oraz świadomość ekologiczna, która przekłada się na prośrodowiskowe zachowania.

A jednak, koncepcja śladu ekologicznego oraz jego pomiar wskazują, że gdybyśmy wszyscy chcieli żyć tak, jak Amerykanie, to potrzebowalibyśmy pięciu takich planet jak Ziemia. Społeczeństwo amerykańskie znajduje się niemal na samym szczycie tych, które w największym stopniu wykorzystują zasoby planety, niszcząc ją przy tym znacząco.

Badania Instytutu Gallupa już od kilkadziesiąt lat pokazują, że Amerykanie są prawdziwymi liderami w obszarze rozbudzania świadomości ekologicznej. Pamiętamy, że to w tym kraju narodził się nowoczesny ruch ochroniarski, powstały pierwsze w świecie parki narodowe i takie inicjatywy, jak np. Dzień Ziemi. Ale jednocześnie od 1961 r. ślad ekologiczny w przeliczeniu na mieszkańca zwiększył się o 78%, co w porównaniu z innymi krajami jest wynikiem stosunkowo wysokim (choć nie najwyższym).

Jak można wyjaśnić te sprzeczności i co mówią one o naszych priorytetach? Co w końcu jest dobre dla Ziemi?

Najłatwiej można byłoby założyć, że Amerykanie po prostu kłamią w odpowiedzi na pytania sondażu. Ta hipoteza może być częściowo prawdziwa, ponieważ respondenci często odpowiadają zgodnie z oczekiwaniami społecznymi, a te coraz częściej każą nam przedstawiać się jako osoby ekologiczne. Tego rodzaju zakłócenia dotyczą szczególnie badań postaw, które jak się okazuje w niewielkim stopniu wpływają na nasze rzeczywiste zachowania. Innymi słowy, często co innego mówimy, a co innego robimy. W badaniach Gallupa jednak badane były nie postawy, lecz przede wszystkim konkretne

zachowania. One w mniejszym stopniu poddają się manipulacjom dokonywanym przez osoby badane. Krótko mówiąc, raczej powinniśmy wierzyć Amerykanom, że robią te wszystkie rzeczy.

A jeśli tak, to okazuje się, że zachowania prośrodowiskowe, wymienione w badaniu, w niewielkim stopniu przekładają się na oczekiwane rezultaty związane z rzeczywistym obciążeniem ekosystemu. Amerykanie w większości kochają Matkę Ziemię, zachowują się w odpowiedni sposób wobec niej i jednocześnie najbardziej ze wszystkich niszczą to, co kochają.

W Europie podobny paradoks dotyczy Duńczyków. Dania jest małym krajem, ale ze-wsząd jest chwalona za swego wielkiego ekologicznego ducha. Otóż 20% energii Duń-czycy pozyskują ze źródeł odnawialnych, w tym z ogromnych farm wiatraków usta-wionych na płytkich wodach przybrzeżnych. Powszechne są małe elektrownie zasilane biogazem oraz ogromne spalarnie, które oczywiście w sposób czysty utylizują śmieci, dając jednocześnie względnie taną energię.

Jednak na tym nowoczesnym, ekologicznym obrazie kraju znajduje się coraz więcej rys. Duńczycy produkują najwięcej śmieci – 800 kg w przeliczeniu na mieszkańca. Pro-dukują ich nawet więcej niż znajdujący się również w czołówce śmiejących Amerykanie. Śmieci te w większości są spalane dając złudne poczucie, że nie ma problemu. Tak wyglą-da nowoczesna gospodarka odpadami.

Ekologiczni Duńczycy charakteryzują się też jednym z największych na świecie wskaźników spożycia mięsa na osobę. Zjadają 145 kg, podczas gdy Polacy ok. 80 kg, a Amerykanie 124 kg. Dzisiaj wiemy, że między spożyciem mięsa, a problemami środo-wiskowymi, głównie klimatycznymi zachodzi ścisły związek, bowiem hodowla zwierząt odpowiedzialna jest za 18% emisji gazów cieplarnianych (to więcej niż produkuje np. transport).

No i w końcu Duńczycy mają jeden z najwyższych wskaźników w świecie śladu eko-logicznego. Według najnowszych danych prześcigają nawet Amerykanów. Gdybyśmy wszyscy chcieli żyć tak, jak ekologicznie i technologicznie rozwinięci Duńczycy, to po-trzebowałibyśmy pięciu takich planet jak Ziemia. Tego rodzaju nowoczesna „ekologia” jest prawdziwie zabójcza dla ziemskiego ekosystemu.

Po drugiej stronie medalu znajdują się społeczeństwa zadowolone gospodarczo i cywilizacyjnie. Członkowie tych społeczeństw nie mają prawie żadnej świadomości ekologicznej, troska o przyrodę jako osobisty wybór w ogóle nie istnieje, a konieczność przeżycia każe bezwzględnie eksploatować środowisko. Jednocześnie społeczeństwa te charakteryzują się niskim śladem ekologicznym, co oznacza, że stopień negatywnego wpływu na otoczenie jest stosunkowo niewielki. Oczywiście tym, co ogranicza ślad, jest w tym przypadku bieda. Ci ludzie najwyczejniej nie są w stanie wywierać równie destrukcyjnego wpływu na środowisko – jak ten obserwowany w krajach bogatych – ponieważ nie mają ku temu odpowiednich narzędzi i środków. Nie oznacza to rzecz jasna, że członkowie takich społeczeństw nie niszczą środowiska. Oczywiście, że to robią, często bezwzględnie i bezrefleksyjnie. Jednak robią to w znacząco mniejszym stopniu niż obywatele bogatych państw, którzy paradoksalnie mają wokół siebie coraz czystsze rzeki, zadbane ogródki i posprzątane obejścia.

To wszystko bardzo wyraźnie pokazuje nam z jednej strony, co stanowi główny czynnik odpowiedzialny za degradację środowiska, a z drugiej, co powinniśmy zrobić (a czego nie), by naprawić tę sytuację.

Otóż wydaje się, że niezależnie od naszych indywidualnych zachowań i stopnia świadomości ekologicznej, jeśli jesteśmy obywatelami bogatego świata, to mniej lub bardziej (z naciskiem na bardziej) podcinamy korzenie, od których jesteśmy zależni. Możemy bardzo się starać żyć ekologicznie, ale stopień uwikłania w system, którego jesteśmy częścią, praktycznie nie daje nam żadnych szans. Ten system coraz wyraźniej krzyczy, że fajnie jest żyć coraz wygodniej i przyjemniej z jednoczesnym dbaniem o środowisko. Tak oto ten okręt tonie, a my mamy przyjemną świadomość, że kochamy Matkę Ziemię i zrobiliśmy przecież dla niej wszystko, co było w naszej mocy.

A rozwiązanie wydaje się być banalnie proste. Jedyne, co może nas uratować, to powszechna bieda. Nie żadne wyrafinowane technologie, samochody na wodór czy wymyślne żarówki. Nie segregowanie śmieci, które przypomina przenoszenie mebli w tym samym pokoju. Jak widać, to wszystko nie działa. A działa to, czego nikt nie chce. Bieda jest naturalnym ograniczeniem naszych zachcianek. A to one pchają nas w objęcia katastrofy.



Dzisiejsze bogate społeczeństwa przekonują same siebie, że można sobie folgować w taki sposób, aby było to do przyjęcia dla środowiska. Ale „po owocach ich poznacie”, a te niedwuznacznie pokazują, że pogrążamy siebie i środowisko, w którym żyjemy.

Dlaczego jednak bieda wydaje się być taka straszna?

Czy może nie być taka straszna?

# Czy bieda może być dobra dla człowieka i przyrody?

---

Wiele wskazuje na to, że bogactwo nie służy przyrodzie. Widzimy to analizując ślad ekologiczny poszczególnych państw. Generalnie tam, gdzie jest bieda, ludzie w relatywnie mniejszym stopniu obciążają środowisko. Niemniej jednak w raporcie „Living Planet” z 2010 roku znajduje się analiza dotycząca utraty biologicznej różnorodności w poszczególnych obszarach naszego globu, z której wynika, że najbardziej zagrożone są tereny zamieszkiwane przez biedną ludność krajów trzeciego świata. W ciągu ostatnich 40 lat od 50 do 60% zmniejszyła się bioróżnorodność na tych terenach. Jednocześnie bogata północ (czy ogólnie obszary w strefie klimatu umiarkowanego) może pochwalić się nawet rosnącymi wskaźnikami bioróżnorodności. Ten wzrost osiągnął 29%. Jak więc wytłumaczyć tę sprzeczność? Jak to w końcu jest z bogactwem i biedą w kontekście przyrody?

Otóż przywołane doniesienia tylko z pozoru są dla nas – bogatych – optymistyczne. Po pierwsze, bogata północ obejmuje tereny, które w swej istocie cechują się mniejszą bioróżnorodnością niż obszary położone w gorącym i wilgotnym klimacie. Stąd tam, gdzie jest więcej gatunków, tam też więcej z nich narażonych jest na wyginięcie. Po drugie, rozwój cywilizacyjny spowodował już wcześniej wymarcie wielu gatunków w bogatych krajach, co oznacza, że może teraz odbijamy się od dna i stopniowo odbudowujemy to, co wcześniej utraciliśmy, jak np. w przypadku bobra. Po trzecie w końcu, dramatyczny spadek bioróżnorodności w biednych krajach spowodowany jest przede wszystkim przez globalną ekonomię, która traktuje trzeci świat jako surowcowe zaplecze bogatych krajów północy. Rabunkowa gospodarka, która jest zabójcza dla przyrody związana jest w mniejszym stopniu z apetytami na dobrobyt miejscowych ludzi, za to ma wiele wspólnego z konsumpcyjnym szaleństwem, które ogarnęło bogate społeczeństwa. Najlepiej widać to na przykładzie biopaliw czy hodowli bydła. To z powodu naszego nienasyce-  
nia wycina się kolejne skrawki lasów deszczowych, by zrobić miejsce na uprawy roślin

oleistych bądź też na zakładanie ogromnych pastwisk. Niewielu z nas ma świadomość, że kupując zbędne a nawet szkodliwe dla naszego zdrowia słodycze zawierające w swoim składzie olej palmowy przyczyniamy się do wycinania puszczy na Borneo, gdzie w jej miejsce zakładane są plantacje palmy oleistej. Globalna ekonomia nie zna granic, co oznacza, że za dramatycznymi wskaźnikami utraty bioróżnorodności w krajach biednych stoimy my – bogaci.

Skoro bieda wydaje się być lepsza dla przyrody niż bogactwo, dlaczego nikt nie chce być biedny? Czy bieda wyklucza zadowolenie z własnego życia? I czy stając się bogatymi zwiększamy swoje szanse na dobre i szczęśliwe życie?

Te pytania są kluczowe, jeśli chodzi o naszą przyszłość. Widzimy bowiem, że cały rozwój cywilizacyjny oparty jest na założeniu, że bogactwo przyczynia się do większej szczęśliwości. Nawet jeśli dla przyrody nie jest to korzystne, to wierzymy, że dla człowieka jak najbardziej jest. Czy rzeczywiście?

Badania psychologiczne rzeczywiście wskazują na to, że wraz ze zwiększaniem się dochodów rośnie poczucie szczęścia i zadowolenie z życia. Dlatego bogate społeczeństwa są generalnie bardziej szczęśliwe niż te najuboższe. Ale, co ważne, wpływ materialnego dostatku na poczucie szczęścia zachodzi wyłącznie wtedy, gdy człowiek nie ma zaspokojonych podstawowych potrzeb. Innymi słowy, jeśli mamy co jeść, w co się ubrać i gdzie mieszkać, to bogacąc się dalej nie stajemy się bardziej szczęśliwi. Wśród 49 najbogatszych Amerykanów aż 16 czuje się mniej szczęśliwymi od swego przeciętnego rodaka (stukrotnie uboższego), pozostali są zaś tylko nieznacznie bardziej szczęśliwi niż średnia dla populacji. Naukowcy szacują, że dla trwałego wzrostu poczucia szczęścia obywateli o 10% dochód musiałby wzrosnąć niemal 118 razy (!) w krajach najuboższych i aż o 4 tys. razy (!!!) w krajach najbogatszych, co zabrałoby w tym ostatnim przypadku kilka tysięcy lat, zakładając stały i wysoki wzrost gospodarczy.

Należałoby się teraz zapytać, gdzie dokładnie jest ten próg, powyżej którego nasze zabieganie o materialny dobrobyt nie przekłada się na bardziej szczęśliwe życie. Otóż naukowcy oszacowali go na sumę mieszczącą się w przedziale 400 – 1000 dolarów miesięcznie na osobę. Te dane dotyczą Stanów Zjednoczonych, więc trudno je generalizować, niemniej jednak dają pewne wyobrażenie na temat tego, ile tak naprawdę

potrzebujemy. Co ciekawe, przywołana suma (w swej dolnej granicy) jest w Stanach Zjednoczonych blisko tej, która traktowana jest jako próg ubóstwa.

O czym to wszystko świadczy?

Prawdopodobnie wszyscy chcemy żyć dostatnio i szczęśliwie. Dynamika poczucia szczęścia wskazuje, że aby być zadowolonym z życia, musimy mieć zaspokojone podstawowe potrzeby. Jeśli się to zdarzy nasze szczęście osiąga maksymalną wartość i nie przyrasta już, nawet, jeśli bogacimy się dalej. W związku z tym nasze parcie na rozwój cywilizacyjny i jeszcze większe luksusy jest grą niewartą zachodu.

Tego rodzaju stwierdzenia nie są żadną czczą spekulacją. Można żyć naprawdę dobrze bez opływania w luksusy i bez dramatycznego obciążania ziemskiego ekosystemu. Obrazuje to Indeks Szczęśliwej Planety (*Happy Planet Index*), który zawiera w sobie oczekiwaną długość życia, poczucie szczęścia i ślad ekologiczny. Dzięki niemu możemy uszeregować poszczególne państwa w rankingu, który pokazuje środowiskowe koszty dobrego życia (długiego i szczęśliwego). Otóż w czołówce znajdują się kraje stosunkowo biedne jak Kostaryka i Dominikana. Mają one o połowę mniejszy PKB na głowę (po uwzględnieniu parytetu nabywczego) niż Polska. Nasz kraj zajmuje 77 pozycję na tej liście, a USA aż 114. Jeden z najbogatszych krajów na świecie, jeśli chodzi o PKB na głowę – Luksemburg – zajmuje 122 pozycję. Koniec listy okupują najuboższe kraje afrykańskie. Zatem, żeby być szczęśliwym, długo żyć, dbając jednocześnie o środowisko nie trzeba być specjalnie bogatym. A nawet trzeba być raczej biednym, choć nie biednym w stopniu skrajnym.

Krótko mówiąc, nie będziemy szczęśliwsi mając jeszcze lepszy telefon, samochód, czy piękniejszy dom, choć niezmiennie w tę iluzję wierzymy i dosłownie zarzynamy naszą planetę w imię tych absurdalnych oczekiwań.

Dlaczego tak się dzieje, dlaczego ciągle nam mało? Jedną z możliwych odpowiedzi wskazuje na porównania społeczne jako czynnik warunkujący nasze szczęście. Wyobraź sobie, że szef obdarowuje cię premią w wysokości 1000 zł. Czy czujesz zadowolenie? Pewnie każdy z nas byłby uradowany takim zastrzykiem gotówki. A teraz wyobraź sobie, że dowiadujesz się, że wszyscy pozostali pracownicy również dostali premię, tylko w wysokości 3000 zł. Czy dalej czujesz zadowolenie? Czy jest ono takie samo jak za

pierwszym razem?

Ten mechanizm ma bardzo poważne konsekwencje dla naszego życia i dla całego świata. Globalizacja bowiem sprawia, że nieustannie dowiadujemy się, że są inni, którzy mają się lepiej, czyli po prostu mają czegoś więcej. Nawet jeżeli nasze szczęście miało oparcie w zaspokojeniu podstawowych potrzeb, to patrząc na innych mających się lepiej, zaczynamy czuć własne ubóstwo. Biedę można mierzyć obiektywnie odnosząc ją do tego, co musimy mieć, ale bieda jest też subiektywnym poczuciem, które jest niezależne od aktualnego poziomu posiadania. Tak oto nawet w społeczeństwach obiektywnie bogatych jest cała masa osób, które ciągle są niezadowolone z własnego życia, bo nie mają jeszcze tego, co mają sąsiedzi. To dlatego wszyscy pędzimy do przodu na złamanie karku, przekonując siebie i innych, że nie pozostaje nam nic innego jak rozwijać się, posiadając ciągle więcej i więcej. W tym całym zamieszaniu kluczową rolę odgrywa też reklama, której podstawowy przekaz brzmi: „Bądź niezadowolony z tego, co masz – chciej więcej”.

Jak to działa na tych naprawdę biednych? Telewizja, która obecnie dociera niemal wszędzie ze swym cukierkowym przekazem luksusowego życia w krajach bogatych, zasiewa ziarno frustracji i sprawia, że bieda staje się tym bardziej dotkliwa.

Obecnie w świecie sporo mówi się o walce z ubóstwem. Z pewnością jest w tym zakresie wiele do zrobienia, skoro ciągle ludzie umierają z głodu czy nie mają dostępu do czystej wody. Ziemia jest miejscem, gdzie tego typu potrzeby powinny i mogą być zaspokojone przez wszystkich ludzi. Nasza planeta jest w stanie wykarmić i dać schronienie prawdopodobnie dla znacznie większej niż obecnie populacji ludzkiej. Nasza planeta jednak nie udźwignie ciężaru naszych zachcianek i życia ponad stan. Mechanizmy psychologiczne dotyczące poczucia szczęścia wskazują, że większość z nas w krajach bogatych ma już wszystko, co potrzebne, by wieść wystarczająco dobre i szczęśliwe życie. Jeśli zaś nasze subiektywne doświadczenie jest inne, to oznacza, że daliśmy się wciągnąć w niebezpieczną grę, która nakręca spiralę oczekiwań i prowadzi ostatecznie do osobistej i globalnej katastrofy. Bo jeżeli wszyscy mieliby żyć tak jak my, to nasza biedna planeta tego nie wytrzyma.

Dlatego najwyższy czas nie tylko walczyć z prawdziwym ubóstwem, ale również

z naszym rozpasaniem, które staje się wtórnym ubóstwem. Biedny bowiem jest zarówno ten, który ma bardzo mało, jak i ten, który ma wiele, choć ciągle myśli, że jeszcze zbyt mało. Prawdziwe bogactwo zaś polega na umiejętności cieszenia się tym, co się ma. Wiele wskazuje na to, że osiągając próg obiektywnego ubóstwa (owe 400 – 1000 dolarów miesięcznie na osobę) gwarantujemy sobie warunki, w których nasze poczucie szczęścia może osiągnąć maksymalne wartości. Ten poziom życia jest dobry zarówno dla nas, jak i dla przyrody.

Brzmi to jak herezja? No cóż, ciągle chyba wolimy mieć rację niż wystarczająco dobre życie i zdrowe środowisko.



**PUNKT ZWROTNY**



# Jak chronić przyrodę?

---

To, wydawałoby się niewinne pytanie, zawiera w sobie kilka ukrytych założeń, które wiele mówią o otaczającym nas świecie i o nas samych. Spróbujmy więc wyciągnąć je na światło dzienne i wnikliwie się im przyjrzeć, by uniknąć wpadania w pułapki, które najczęściej sami na siebie zastawiamy.

Po pierwsze zatem, jeśli przyroda ma być chroniona, to niechybnie świadczy to o tym, że jest zagrożona. Takie stwierdzenie jest oczywiście prawdziwe. Ale wyłącznie z pewnego wąskiego punktu widzenia. Mamy przecież aż nadto doniesień naukowych i twardych dowodów wskazujących, że np. gatunki wymierają szybciej niż wynika to z naturalnego procesu albo, że zagrożone unicestwieniem są konkretne miejsca, które postrzegamy jako cenne przyrodniczo.

Z drugiej jednak strony, jeśli spojrzymy na przyrodę w jej całości i niepodzielności, to możemy być raczej spokojni. Wiele wskazuje na to, że życia na Ziemi nie da się unicestwić, a przynajmniej my ludzie nie jesteśmy tego w stanie zrobić. Możemy tylko znacząco wpłynąć na jego charakter i przejawy, a to z pewnością robimy. Oznacza to więc, że chcemy chronić jakiś konkretny obraz przyrody, jakiś stan, który uznajemy za właściwy lub pożądany. To zaś oznacza, że to my ludzie, w oparciu o swoje koncepcje, przesłanki i założenia decydujemy co przyrodą jest, a co nią nie jest. Leśnicy i część naukowców argumentuje przykładowo, że brak ingerencji w naturalny proces w Puszczy Białowieskiej, tak jak się to dzieje w rezerwacie ścisłym, doprowadzi do degradacji lasu, który zarośnie topolą czy grabem.

Taką zmianę część osób traktuje jako niepożądaną, trzymając się kurczowo określonej wizji, w której las ma być dokładnie taki, jak sobie to wymyśliły.

Mało tego, w tym podejściu ujawnia się ogromna arogancja człowieka, któremu wydaje się, że wie, co jest dla przyrody dobre. To tak, jakby powiedzieć, że przyroda może się pomylić, a my jesteśmy od tego, by ją poprawiać. Co ciekawe, przyroda myli się zarówno tam, gdzie człowiek przestał ingerować (rezerwat ścisły), jak i tam, gdzie

ingeruje ciągle (las gospodarczy). Szczególnie w tym drugim przypadku przybiera to postać błędnego koła, w którym kolejna ingerencja w naturalny proces uzasadniana jest poprzednią. Mówi się na przykład, że przyroda tak została już przez człowieka zmieniona, że teraz sobie sama nie poradzi. To dlatego w lasach trzeba sadzić, wycinać, nawozić, walczyć ze szkodnikami czy pielęgnować drzewostan. Zastanówmy się jednak, co by się stało, gdyby tego nie robić? Czy w takim pozostawionym sobie lesie byłoby mniej przyrody? Ile w końcu jest przyrody w przyrodzie?

Te wszystkie pytania obnażają bezlitośnie nasze zapatrzenie w siebie, nasz egocentryzm i narcystyczną uzurpację. Bo trzeba to powiedzieć wyraźnie: jeśli rzeczywiście chcemy chronić przyrodę, to musimy odsunąć na bok własne interesy. I nie chodzi tu tylko o interesy ekonomiczne, ale również te związane z przekonaniami na temat tego, jak przyroda powinna wyglądać. Lgniemy to takich przekonań poznawczo i emocjonalnie, a następnie bronimy ich jak twierdzy nie pozwalając na to, by rzeczywistość była taką, jaka jest.

Podstawową przyczyną tego lgnięcia, uzurpacji czy przymusu działań jest oczywiście lęk, że sprawy pójdą nie tak, jakbyśmy chcieli. Tyle, że w tym przypadku przypomina to obawę o to, że woda będzie mniej mokra, niż powinna.

Po drugie, zakładamy, że przyroda jest zbiorem oddzielnych elementów. Ochrona zawsze nastawiona jest na pewien układ, czy element, który traktujemy w sposób priorytetowy. Ta filozofia stanowi podstawę ochrony gatunkowej, która jest następnie jednym z fundamentalnych podejść do ochrony przyrody w ogóle. Mamy czerwone księgi zwierząt i roślin, które zagrożone są wyginięciem. Ten zbiór gatunków jest naszym oczkiem w głowie, bo nie chcielibyśmy z niego nic utracić. Ujawnia się tutaj uniwersalny mechanizm psychologiczny, który każe nam szczególnie cenić to, co jest rzadkie. Dlatego też przyrody nie spostrzegamy w sposób płaski. Wyraźnie różnicujemy jej elementy składowe i przypisujemy większą wartość tym gatunkom, które są nieliczne; gatunki pospolite zaś wydają się mniej wartościowe. Mamy niewątpliwie sukcesy w tym podejściu – udało nam się cudem niemalże uratować niektóre gatunki od zagłady. Tak było np. z żubrem. Zauważmy jednak, że najczęściej są to gatunki „spektakularne” – duże ssaki, ptaki, owady czy rośliny. Prawdopodobnie jest wiele gatunków, które mniej się

wyróżniają, są mniejsze lub gorzej opisane, i o których nigdy nie dowiemy się, że je straciliśmy. Krótko mówiąc, ochrona gatunkowa jest rodzajem kulturowego fetyszu, który z całości przyrody wykrawa małe fragmenty i na nich się koncentruje. Istotne jednak jest to, że tak pojmowana ochrona gatunkowa jest w dużym stopniu nieskuteczna, o czym przekonujemy się, zwracając uwagę na pęczniejące dramatycznie objętości czerwonych ksiąg. Dlaczego tak się dzieje?

Podstawowe prawo natury mówi o tym, że osobnik czy gatunek stanowi jedność ze swym środowiskiem. Niektórzy uważają nawet, że nie ma czegoś takiego jak oddzielny element przyrody w postaci osobnika czy gatunku. To, z czym mamy do czynienia, to sieć zależności, w którą wplecione są poszczególne „zgrubienia” tej sieci, czyli zwierzęta, rośliny, grzyby, bakterie. Ochrona gatunkowa zaprzecza takiemu obrazowi przyrody wyizolowując poszczególne elementy z kontekstu. Prawdopodobnie to jest główna przyczyna porażki takiego podejścia do ochrony przyrody.

Jeżeli chcemy ochronić jakiś gatunek, to musimy bronić wszystkiego, co stanowi środowisko tego gatunku, czyli inne gatunki oraz cały skomplikowany układ tzw. elementów nieożywionych, które zawierają w sobie profile glebowe, ciekły wodne, nasłonecznienie, wiatry i tysiące innych jeszcze elementów oraz ich wzajemne powiązania. Zatem, jeśli chcemy skutecznie ocalić, np. pięknego motyla zagrożonego wyginięciem – niepylaka apollo, to musielibyśmy najpierw poznać jego niezliczone powiązania, od których jest zależny, a następnie ingerując w te poszczególne elementy sprawić, że motyl poczuje się w końcu dobrze i przetrwa w swoim środowisku. Problem jednak polega na tym, że prawdopodobnie nikt nie jest w stanie w pełni rozpoznać złożonej sieci powiązań, które ostatecznie stworzyły „zgrubienie” w formie niepylaka apollo. Nikt nie jest w stanie tego zrobić, bo ta sieć ostatecznie oplata cały świat i zawiera w sobie wszystkie elementy tworzące środowisko życia na ziemi. Oczywiście niektóre fragmenty tej sieci są bliższe naszemu motylowi niż inne, ale nie oznacza to, że te dalsze możemy pominąć lub je zignorować. Dynamika sieci bowiem jest taka, że to, co jest dalekie ostatecznie pośrednio wpływa na wszystkie elementy układu.

Co więc zrobić z tym motylem?

Jak go chronić?

W tym momencie docieramy do trzeciego założenia, które kryje się w podejściu ochroniarskim. Otóż w ochronie przyrody niebezpiecznie dokonuje się podziału na niszczoną przyrodę i niszczącego człowieka. Jesteśmy nastawieni na pomaganie przyrodzie, podczas gdy wiele wskazuje na to, że natychmiastowej pomocy potrzebujemy my sami. Choć jest nas coraz więcej na świecie, jesteśmy gatunkiem, który znajduje się na progu załamania. Stajemy się coraz słabsi i wrażliwsi. Zatruwamy się przetworzonym chemicznie jedzeniem i pić, żyjemy w niezdrowych miastach, pracujemy ponad miarę i utraciliśmy kontakt z tym, co naturalne – z porami roku, przyrodniczymi cyklami, czy naturalnymi lasami. Do czego mamy się odwołać, do jakiego autorytetu zwrócić, który wskazałby nam drogę wyjścia z pułapki, którą sami na siebie zastawiliśmy. Nieustannie bowiem obracamy się wokół własnych wytworów i konsekwencji naszych działań, które prowokują kolejne. Ciągłe tylko „my”, „my”, „my” albo „ja”, „ja”, „ja”.

Niektórzy poszukują tego autorytetu u Boga. Są też tacy, którzy kierują się w stronę dziej przyrody. Co ciekawe, te dwie drogi mają wspólny mianownik. W religii i duchowości ważne jest przekonanie, że jest coś większego od nas, czemu mamy się podporządkować. To dlatego niemal we wszystkich religiach wyznawcy deklarują „niech będzie wola Twoja, a nie moja”. Jeśli zaś chcemy zwrócić się do przyrody jako nauczyciela, to musimy powiedzieć to samo. W przeciwnym razie, po raz kolejny spotkamy się z własną uzurpacją, czyli nadętym „ja”, które z powodu irracjonalnego lęku musi kontrolować rzeczywistość i pociągać za wszystkie sznurki.

Poddawanie się przyrodzie, a właściwie naturalnemu procesowi, jest nie tylko najbardziej dojrzałym i zaawansowanym sposobem ochrony środowiska, gdzie nie różnicujemy na gatunki ważniejsze i mniej ważne, pożyteczne i szkodliwe, ale też daniem sobie samemu szansy na budowanie większego zaufania do siebie i do świata. Nic tak dobrze nie leczy z lęku, jak odważna i bezkompromisowa konfrontacja z tym, czego się boimy oraz stopniowe odkrywanie tego, że tak naprawdę lęk był iluzją. W tym procesie nieuchronnie trzeba też dopuścić do siebie ból i cierpienie, bo przecież nie zawsze wszystko dzieje się zgodnie z naszymi wyobrażeniami. Ale stopniowe „puszczanie” tych wyobrażeń ostatecznie pozwala uporać się z trudnym doświadczeniem i osiągnąć głębszy spokój.

W taki oto sposób chroniąc siebie dbamy o to, co nas otacza. Zarówno my, jak

i przyroda jesteśmy podobni do wody, która nie może być ani mniej, ani bardziej mokra.  
Jedynie, co nam pozostaje, to ze spokojnym umysłem pozwolić, by tak właśnie było.

I tyle!

# Co sprawia, że ludzie pomagają przyrodzie?

---

Najłatwiej odpowiedzieć na to pytanie odwołując się do koncepcji genu dzikości. Jak to z genami bywa, jedni go mają, inni nie, więc ci pierwsi niezależnie od wszystkiego będą przyrody bronić, ci drudzy natomiast, jakkolwiek byśmy się starali ich przekonać, pozostaną obojętni i niezaangażowani. Jest pewna pokusa, by tak właśnie dzielić ludzi. Wtedy rzeczywistość jest czytelna, jasna i przewidywalna. Wiadomo, kto jest naszym sojusznikiem, kto wrogiem oraz co powinniśmy robić i z kim. Poza tym posiadacze genu dzikości mogą poczuć szczególną wyższość wobec tych, którzy go nie posiadają. Jak to miło popatrzeć na kogoś z politowaniem mając świadomość, że jest się tym wybranym. Niestety prostota tego schematu jest bodaj jedyną jego zaletą. Oprócz tego myślenie to ma same wady. Bo jak każde myślenie zero-jedynkowe jest niebezpiecznie upraszczające.

No cóż, moim zdaniem nieprawdą jest, jakoby istnieli tylko ekolodzy i antyekolodzy (w dodatku genetycznie obciążeni pewnym brakiem), tak jak nie istnieją wyłącznie kolory biały i czarny. Dbać o przyrodę można na tysiące sposobów. Każdy z nas coś z tego zestawu wybiera, każdy z nas ma też coś na sumieniu – nie robi jeszcze czegoś, co mógłby. W dodatku nasze zachowania zmieniają się w czasie: można zostać aktywistą ekologicznym, gdy ma się już włosy przyprószone siwizną, lub też można rozstać się z ruchem po wielu latach działań na rzecz przyrody. No i gdzie tu ten gen?

Myślenie w kategoriach genu w sposób naiwny zaprzecza temu, że w ciągu życia czegoś się jednak uczymy, przyswajamy sobie nowe umiejętności, zachowania, czy postawy. Współczesna psychologia, jakkolwiek nie neguje wpływu genów na zachowanie, to jednak podkreśla ważną rolę czynników kulturowych, społecznych, a w końcu indywidualnej historii życia człowieka, jego osobistych doświadczeń i przeżyć. Psychologia mówi, że człowiek jest taki, jakie jest jego doświadczenie. Geny oczywiście mają znaczenie, ale nie pierwszorzędne.

Moja własna historia jest najlepszym tego przykładem. W wieku dwudziestu kilku lat byłem wciąż totalnym ignorantem przyrodniczym. Nie odróżniałem nawet świerka

od sosny – wszystko to były dla mnie choinki. I nagle na mojej drodze pojawili się ludzie, którzy otworzyli mi oczy na dziki świat. Wziąłem udział w warsztatach „Zgromadzenie wszystkich istot”. To doświadczenie było dla mnie przełomem w myśleniu o świecie i sobie samym. Następnie sam zacząłem prowadzić podobne zajęcia.

No tak, można by powiedzieć, że uaktywnił się mój gen dzikości, wprawdzie późno, ale jednak. Będę mimo wszystko upierał się, że nie chodzi tutaj o gen. Dwa, trzy lata przed moją przemianą, byłem na jakimś wykładzie raczkującej wtedy Pracowni na rzecz Wszystkich Istot – jednej z czołowych organizacji ekologicznych w Polsce. I co? I nic! Pewnie dla tamtych aktywistów byłem stracony, ponieważ nie rozpoznano we mnie genu dzikości. Wszak nie zarezonowałem odpowiednio. A ja teraz widzę to tak, że dojrzewałem, że każde takie spotkanie było ważne, że otwierało ono kolejne drzwi, nawet jeżeli był to bardzo subtelny, niezauważalny proces. Bez tych wczesnych doświadczeń, pewnie bym nie odkrył w końcu tego, co okazało się być dla mnie ważne.

Ale to nie koniec, bo kto wie, czy nie najistotniejszym tutaj elementem było to, że zacząłem w prowadzonych przeze mnie zajęciach mówić o tym, czego sam doświadczyłem. W psychologii to zjawisko jest bardzo dobrze opisane. Odnosi się ono do zmiany postawy w oparciu o zmianę własnego zachowania. Najprościej mówiąc, jeśli *chcesz* się do czegoś przekonać, zacznij do tego przekonywać innych. Tak też było ze mną. Może gdybym miał inną pracę, gdybym sam nie prowadził edukacji, moje osobiste odkrycie zgubiłoby się gdzieś po drodze. A tak podtrzymuję je już tyle lat...

Jak widać z genem ma to niewiele wspólnego. Gdyby o gen chodziło, mógłbym spać spokojnie do końca życia wiedząc, że nie zejdzę z tej ścieżki. Ale przecież tak nie jest. Ciągle ją pielęgnuję i podtrzymuję. Jest zresztą wiele takich czynników, które w określonym momencie życia mogą skłonić jakąś osobę do zaangażowania po stronie przyrody. Mogą to być dziecięce doświadczenia wychowywania się w jakimś szczególnym, cennym i pięknym przyrodniczo miejscu, w bliskim kontakcie ze zwierzętami i roślinami. Ale też doświadczenie życia miejskiego z jego trującą atmosferą może być takim czynnikiem. Z pewnością ważną rolę odgrywają tutaj rodzice i osoby znaczące. Ich miłość do przyrody oraz wrażliwość są tym, co może procentować w przyszłości u dziecka. W końcu mówimy: „niedaleko pada jabłko od jabłoni”. Kolejna kwestia to grupa, do jakiej należymy.

Co jest w niej ważne, jakie wartości i normy są w niej respektowane? Do tego dochodzą jeszcze role społeczne przez nas pełnione, „leczenie własnych kompleksów” w walce o słuszną sprawę, młodzieńczy bunt przeciwko rodzicom, zaangażowanie religijne, skłonność do ulegania masowym wzorcom, poczucie własnej wartości i koherencji, inne motywy i postawy, które są konkurencyjne wobec tych związanych z przyrodą, i tak dalej. Taką listę można by rozwijać. Mówiąc krótko, powodów, dla których ludzie angażują się lub nie w działalność na rzecz przyrody jest całe mnóstwo. Część z nich ma charakter dyspozycji wewnętrznych (jak choćby wrażliwość na kontakt z naturą), część zaś związana jest z czynnikami sytuacyjnymi, zewnętrznymi (jak np. pełnione role społeczne czy wpływ grupy). Sprowadzanie ich wszystkich, całego tego złożonego procesu do genu dzikości, jest nieporozumieniem. Ale mimo wszystko w samym genie dzikości jest coś prawdziwego. Coś prawdziwie podstawowego. Otóż dzikość jest naturą wszechświata. Wszystkie istoty (zarówno jeśli chodzi o materię ożywioną, jak i nieożywioną) zamieszkujące ten wszechświat są w swej naturze dzikie, czy tego chcą, czy nie, czy są tego świadome czy nie. W tym sensie każdy z nas posiada gen dzikości, bo przecież inaczej być nie może. Nie ma nikogo, kto byłby go pozbawiony. Nie oznacza to jednak, że wszyscy, którzy go mają, w tym samym stopniu są tego świadomi. Niektórzy z nas bardzo bronią się przed tym, by zobaczyć siebie w całej pełni, by odkryć swą prawdziwą naturę. Podobnie jak jest wiele niezbędnych warunków, w których nasza wewnętrzna natura może się w pełni rozwinąć, jest też sporo powodów, dla których to się nie dzieje. Prawdopodobnie dzikość w nas potrzebuje wielu takich sprzyjających warunków, by się ujawnić. Potrzebuje odpowiedniego „ja”, grup społecznych, instytucji, całego zaplecza kulturowego. No i tego, co jest podstawą tych wszystkich elementów, czyli dzikiej przyrody.

Piszę to wszystko po to, byśmy nie tracili ochoty na to, by dzielić się z innymi ludźmi swoim „świadcstwem”. To jest prawdziwa edukacja ekologiczna: dzielenie się sobą, tym, co najistotniejsze. I jednocześnie łagodne traktowanie tych, co nie chcą do nas dołączyć. Oni też mają swój gen dzikości. Ale idą własnym tempem...



## Czy ochrona środowiska jest problemem etycznym?

---

Biorąc po uwagę odkrycia socjobiologii, wiele wskazuje na to, że w toku ewolucji w umyśle człowieka ukształtowały się mechanizmy psychologiczne, które odpowiadają za zachowania moralne i etycznie poprawne, a nawet pożądane. Moralność jest „wynalazkiem” ewolucji! Wprawdzie kierowanie się wskazaniem moralnymi ograniczało spontaniczne i impulsywne reakcje człowieka, ale jednak zapewniało mu podstawowe poczucie bezpieczeństwa i sprzyjało lepszej adaptacji oraz tym samym sukcesowi ewolucyjnemu. Napiętnowanie zabijania, kradzieży czy seksualnego rozpasania stało się nie tylko podwaliną ludzkiej kultury, ale również zwiększyło prawdopodobieństwo przekazania swoich genów kolejnemu pokoleniu w taki sposób, który gwarantował najbardziej ekonomiczny i skuteczny sukces reprodukcyjny.

W najbardziej powszechnym wariacie etyki przedmiotem wartościowania moralnego w sposób oczywisty jest wyłącznie człowiek i jego własność. Świat pozaludzki nie ma żadnej wartości, chyba że tę wartość nada mu człowiek. Tego rodzaju podejście bardzo wyraźnie rozgranicza sferę ludzką od pozaludzkiej, oddziela kulturę od natury pozostawiając tę drugą poza wymiarem etycznym. To dlatego mogliśmy do tej pory zabijać, wykorzystywać, zmieniać, rabować czy niszczyć to, co należało do świata pozaludzkiego. Oczywiście i tutaj istniały pewne prawne ograniczenia, jednak w wymiarze ogólnym nasz stosunek do przyrody był poza moralnym wartościowaniem.

Te „dobre” czasy się jednak kończą albo już skończyły. Zwierzęta zgodnie z prawem przestały być „rzeczami”, z którymi można robić wszystko, a przyroda jest na różne sposoby chroniona, czyli posiada określoną wartość. Ta rodząca się etyka środowiskowa może być oparta o dwie przesłanki. Pierwsza odwołuje się do antropocentryzmu: jeśli człowiek jest najważniejszy, to przyroda powinna być chroniona, ponieważ bez niej cywilizacja nie przetrwa. Druga przesłanka odwołuje się do biocentryzmu: niezależnie

od ludzkiego interesu, przyroda i jej poszczególne elementy są wartością samą w sobie.

Może się wydawać, że wariant biocentryczny idzie dalej niż antropocentryczny. Jednak przy założeniu, że człowiek jest częścią przyrody i nie można oddzielić świata ludzkiego od naturalnego oraz interesu człowieka od interesu przyrody, te dwa warianty etyki spotykają się w jednym miejscu. Tym miejscem jest założenie, że każde nasze działanie ma wymiar etyczny, niezależnie od tego czy przedmiotem naszego działania jest człowiek, czy inna istota, a nawet nieożywiony element przyrody. Jeśli wszystko jest ze wszystkim powiązane i wzajemnie się przenika, to troszcząc się o cokolwiek, troszczymy się o całość. Tak oto znaleźliśmy się w świecie wypełnionym wartościami, w którym co krok możemy ocenić własne oraz cudze zachowania wobec przyrody w kategoriach dobra i zła.

Tutaj jednak rodzą się kolejne problemy. Otóż jako ludzie dążymy do tego, by dobrze wypadać we własnych oczach i w oczach innych. Chcemy być postrzegani jako osoby zachowujące się moralnie, unikające niewłaściwych zachowań. Jednak w kontekście naszych działań wobec środowiska ilość „grzechów”, jakie mamy na sumieniu jest zatrważająca. W moim przekonaniu dobrym miernikiem skali tych grzechów jest ślad ekologiczny, który można potraktować jako stopień destrukcji środowiska przez człowieka. Oczywiście każdy organizm żyjąc na swój sposób dokonuje jakiejś destrukcji, ale prawdziwa destrukcja rozpoczyna się dopiero wtedy, gdy przekroczony zostaje limit zasobów. Wiemy, że obecnie jako ludzkość wykorzystujemy średnio 150% ziemskich zasobów, w Polsce ponad 200%, w Danii – 500%. Krótko mówiąc postępujemy nieetycznie żyjąc w taki sposób, w jaki żyjemy, szczególnie w bogatych krajach.

Dzisiaj potrafimy też uszczegółwić kategorię śladu ekologicznego. Pojawił się w związku z tym „ślad wodny” czy „ślad węglowy”, które wskazują na wybrany aspekt naszego funkcjonowania w świecie i mogą odnosić się do konkretnych nieetycznych zachowań.

To, że szczególnie w krajach bogatych, nikt z nas nie ma czystego sumienia, tworzy psychologicznie przedziwną sytuację. Jak wiemy, wszyscy chcemy czuć się dobrze i pozytywnie o sobie myśleć. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę naszą relację z przyrodą, to poczucie winy, które rodzi się w oparciu o świadomość własnych nieetycznych zachowań

jest porażające. Jak sobie z tym radzimy? Mamy na szczęście (albo niestety) wiele sposobów, by zredukować pojawiający się dysonans i utrzymać dobre mniemanie o sobie.

Podstawowym mechanizmem jest wyparcie. Najzwyczajniej nie przyjmujemy do wiadomości tego, że jest źle i możemy robić coś nie tak. „Efekt cieplarniany jest fikcją”, „Wymieranie gatunków jest wymysłem naukowców”, „Środowisko jest w dobrej kondycji”, „Człowiek nie jest w stanie negatywnie wpływać na środowisko” – to przykłady takich stwierdzeń, z którymi spotykamy się na każdym kroku. Wszystkie one służą zanegowaniu istnienia problemu, niedopuszczeniu go do siebie.

Innym mechanizmem jest deprecjonowanie wartości przyrodniczych. Mówienie o „żabkach, ptaszkach czy kwiatuśkach” w kontekście ochrony przyrody ma obniżyć wartość tych obiektów i jednocześnie zredukować poczucie winy, w sytuacji gdy są one niszczone. Deprecjonowanie wartości przyrodniczych może też wiązać się z tym, że stawia się je poza obszar wartościowania moralnego. Zakłada się tutaj, że jedynie ludzie są wartościowi pod względem moralnym, co automatycznie stawia świat przyrody poza wymiarem etycznym. Jest to szczególna forma wyparcia związana z zaprzeczaniem temu, że nasze zachowania wobec środowiska mają charakter etyczny. Widać to np. w kontekście diety – niejedzenie mięsa dla jednych jest wyborem etycznym, a dla tych, którzy jedzą mięso jest wyłącznie kwestią upodobania. Gusta mogą być różne i nic nam do tego, gdy jednak pojawia się wymiar etyczny, następuje wartościowanie, a to już grozi nadszarpięciem dobrego mniemanie o sobie. Stosowanie mechanizmu zaprzeczania w sposób radykalny rozgrzesza nas u samych podstaw.

Kolejnym mechanizmem jest projekcja. Polega ona na przypisywaniu innym złych intencji i usprawiedliwianiu własnych nieetycznych zachowań. Prawdopodobnie większość z nas ma silne przekonanie, że postępuje właściwie wobec przyrody – winni zawsze są inni ludzie. Im bardziej obwinia się innych, tym silniej odczuwa się własny pozytywny obraz. Szczególnym rodzajem projekcyjnego mechanizmu jest atakowanie tych, którzy w naszym przekonaniu nas atakują. Otóż, jeśli ktoś uświadamia nam nasze nieetyczne postępowanie, to najprościej jest odbić tę piłeczkę i wytknąć tej osobie jej grzechy. Z taką sytuacją często spotykają się aktywiści ekologiczni, którzy atakowani są za to, że używają samochodów, komputerów czy telefonów. Inni zdają się mówić: „jeśli chcecie nas po-

uczyc, to sami najpierw zrezygnujcie z tego wszystkiego". To podważanie wiarygodności aktywistów ma oczywiście w zamierzeniu podtrzymać dobre mniemanie na swój temat, a z drugiej strony wskazać na utopijność i nieważność wartości ekologicznych. Z trzeciej strony dodatkowo stawia warunek: zachowam się etycznie tylko wtedy, jeśli wpierw zrobią to inni. Czyli nigdy.

Mechanizm projekcji często idzie w parze z przywoływaniem własnych zasług na innych polach. Jeśli ktoś uświadamia nam nasze nieetyczne zachowanie, zawsze możemy odpowiedzieć, że przecież tyle już robimy tu i ówdzie. Jeśli segregujemy śmieci, to już wystarczająco się poświęcamy dla Ziemi i nie musimy robić nic innego. Jeśli nie jemy mięsa, to już tak bardzo dbamy o środowisko, że poza tym możemy rozbijać się samochodami czy spędzać wakacje na drugim krańcu świata.

Kolejnym mechanizmem jest racjonalizacja, czyli zdroworozsądkowe wytłumaczenie własnego postępowania. Może ona przybierać różne formy, jedną z najbardziej popularnych w kontekście środowiskowym jest „unikanie skrajności”. W tym przypadku wmawiamy sobie i innym, że nasze zachowanie jest właściwe, bo nie jest skrajne. Skrajne byłoby wrócenie na drzewa lub do jaskiń, skrajne byłoby też wycięcie wszystkich drzew, czy zabetonowanie wszystkiego. Unikamy skrajności, więc robimy to, co robimy – z czystym sumieniem.

Jak więc widać mamy do dyspozycji cały arsenał sposobów unikania przykrej świadomości, że możemy być nie w porządku. My zawsze jesteśmy w porządku, zawsze mamy rację, zawsze zachowujemy się racjonalnie i w sposób wyważony. Tak bardzo lubimy się czuć dobrze ze sobą. Nie zmienia to jednak faktu, że nasze działania w świecie są naganne moralnie, ponieważ powodują konkretne negatywne skutki. Owe skutki pojawiają się niezależnie od tego, czy o tym wiemy czy nie, czy o tym myślimy w taki czy inny sposób.

Możemy oczywiście rozważyć, na ile osoba jest odpowiedzialna za owe skutki w przypadku, gdy nie ma wiedzy na ten temat. W związku z mechanizmami obronnymi zawsze możemy powiedzieć, że jakaś osoba nie wie, bo nie dopuszcza do siebie tej świadomości. Jeśli jednak przeżywa dysonans, broni się, to znaczy, że wie, choć próbuje uniknąć tej świadomości oraz zwolnić się z odpowiedzialności. Prawdopodobnie większość z nas wie wystarczająco dużo, by zmienić swoje postępowanie. Jeśli tego nie

robimy, to ewidentnie takie działanie możemy uznać za moralnie naganne.

„Dobre czasy” się skończyły. Bezkarność i nieświadoma niewinność stają się niebezpiecznym anachronizmem. Żyjemy bowiem w świecie, w którym wszystko co robimy posiada wymiar etyczny, również wobec środowiska. I tak, jak to było od samego początku z moralnymi wskazaniem, etyka środowiskowa ma nam pomóc przetrwać i uporać się z problemami, które sami sprowadziliśmy. Etyka środowiskowa jest wynalazkiem ewolucji, który służy lepszej adaptacji gatunku ludzkiego do środowiska. Jeśli nie spojrzymy w taki etyczny sposób na świat i na siebie, prawdopodobnie czeka nas katastrofa. Jeśli tak się stanie, będzie to prawdziwa porażka naszego „ludzkiego ducha” i naszej wyrafinowanej, opartej o moralność kultury.

# Co wynika z tego, że ochrona środowiska jest problemem etycznym?

---

Człowiek jest istotą, która nadaje znaczenie, wartość i sens otaczającej rzeczywistości. Jeśli nadchodzą czasy, w których świat naturalny posiada wartość, a nasze działania wobec niego można oceniać w kategoriach moralnych, to rodzi to rozliczne problemy w relacjach międzyludzkich.

Otóż moralność jest szczególnym narzędziem wywierania wpływu na innych. W oparciu o zasady moralne możemy wartościować czyny nasze oraz innych. Oczywiście przypisanie oceny negatywnej wiąże się z przykrym doświadczeniem dla osoby ocenianej, zaś ocena pozytywna wywołuje przyjemne doznania. Poprzez negatywne ocenianie zachowań wzbudzamy więc napięcie w drugiej osobie i tym samym nakłaniamy ją do zmiany postępowania. Osoba, która daje tego typu informację zwrotną jednocześnie ustawia w sposób szczególny charakter relacji z tym drugim. Relacja ta staje się asymetryczna: jedna z osób lokuje się wyżej, druga – automatycznie niżej. Doświadczana przykreść i przyjemność w takiej sytuacji niesie z sobą poważne konsekwencje.

O konsekwencjach dla osoby ocenionej negatywnie pisałem już wcześniej. Wiąże się one z dysonansem poznawczym oraz próbami jego zredukowania, głównie poprzez różnego rodzaju mechanizmy obronne mające utrzymać dobre mniemanie na własny temat.

Osoba formułująca negatywne oceny i stawiająca się tym samym „wyżej” w relacji ma okazję przeżyć szczególną mieszankę pozytywnych uczuć. Są tam obecne zadowolenie z siebie, poczucie słuszności, przewagi nad innym oraz władzy wynikającej z możliwości ferowania ocen. Moralna adekwatność w kontraście z czyjąś nieadekwatnością osiąga tym większą wartość i daje tym mocniejsze emocjonalne profity. W sensie psychologicznym, to prawdziwie łakomy kąsek pozwalający szybko i stosunkowo małym kosztem wzbudzić lub podtrzymać dobre mniemanie na swój własny temat. Dlatego z tego sposobu mogą korzystać częściej te osoby, które z różnych powodów mają kłopot

z pozytywnym wizerunkiem samego siebie. Wykorzystują one aspekt etyczny związany z możliwością oceniania innych do reperowania niskiej samooceny.

Leczenie własnych kompleksów stanowi jedno z największych zagrożeń różnego rodzaju działań zawierających aspekt etyczny, w tym działań na rzecz środowiska naturalnego. Ruch ochroniarski może przyciągać i przyciąga wiele osób, które z powodów psychologicznych chętnie odwołują się do pokusy arbitralnego oceniania innych w kategoriach moralnych. Prawdopodobnie nikt z nas nie jest zupełnie wolny od tego niebezpieczeństwa i trzeba szczególnej uważności, by rozpoznać w sobie tę tendencję.

Dlaczego jest ona taka niebezpieczna? Ponieważ oparta jest na toksycznej motywacji, z którą rzeczowe argumenty środowiskowe mają niewiele wspólnego. Ten rodzaj psychologicznej motywacji odpowiada za skłonność do formułowania skrajnych ocen, za tendencję do całościowego deprecjonowania osoby poddanej ocenie, a w końcu za wykorzystywanie takich środków wpływania na innych, które mogą być etycznie wątpliwe. Ci bowiem, którzy są piętnowani, stają się jednocześnie mniej godni takiego traktowania, którego standardy sami naruszają wobec innych. Najczęściej prowokuje to różnego rodzaju agresywne zachowania.

W jaki sposób uchronić się tych niebezpieczeństw? Czy to, że wikłamy się w nasze psychologiczne pułapki ma zwalniać tych, którzy zachowują się nieetycznie z konfrontacji z własną niewłaściwą postawą? W jaki sposób mamy mówić innym, że postępują źle?

Najłatwiej byłoby zrezygnować z dawania etycznych informacji zwrotnych innym i mieć święty spokój. Prawdopodobnie większość z nas tak właśnie robi. Tym bardziej, że funkcjonujemy w świecie, w której normą jest „niewtrącanie się”. Ta norma wiąże się z postępującą indywidualizacją życia społecznego i z rozpadem tradycyjnych więzi społecznych. Każdy żyje sobie po swojemu i nic nam do tego. Niestety tego rodzaju podejście niesie z sobą wiele niebezpieczeństw nie tylko w odniesieniu do spraw przyrody, ale również tych ludzkich. Niereagowanie przez sąsiadów na sygnały związane z przemocą domową prawdopodobnie przyczyniło się i dalej przyczynia do rosnącej liczby ofiar.

Mamy prawo mówić innym, że zachowują się niewłaściwie. Tylko jak?

Najważniejszą chyba wskazówką jest ta, która mówi, by oddzielać ludzi od ich postępowania. To zachowanie jest naganne, a nie osoba jako taka. Po pierwsze dlatego, że

zachowanie jest tym aspektem na który mamy wpływ, możemy je modyfikować, natomiast osoba – jest, jaka jest. Po drugie, osoby zawsze podejmują decyzje w oparciu o swoją wiedzę, doświadczenia, dyspozycje wewnętrzne czy inne jeszcze mechanizmy psychologiczne. W tym znaczeniu konkretna osoba nie może robić nic innego niż to, co robi, ponieważ w danym czasie i sytuacji jest w odpowiedni sposób uwarunkowana. Dlatego wszyscy „od wewnątrz” mamy poczucie, że postępujemy właściwie. Jako osoby wszyscy jesteśmy niewinni, nawet jeśli dokonujemy okropnych rzeczy. Nie zmienia to jednak okropności samych czynów. Ale to właśnie do nich powinniśmy się odwoływać.

W związku z tym najlepszą reakcją jest ta, która opiera się na akceptacji osoby i jednocześnie wyrażonej dezaprobatie co do jej konkretnego zachowania. To wcale nie jest takie łatwe, ponieważ uczymy się w toku naszego życia utożsamiać osobę z jej zachowaniem. Dlatego stopniowo dobrze jest przełamywać ten nawyk i rozdzielać jedno od drugiego. Poza tym wyrażona dezaprobatą musi być oparta na jak najbardziej konkretnym opisie zachowania, tak, by osoba słuchająca dowiedziała się, co takiego robi. I najlepiej, jeśli informacja nie zawiera żadnych agresywnych intencji. Stanowczo, konkretnie, acz łagodnie – to chyba określenia najlepiej oddające charakter tego rodzaju informacji.

Tak czy owak, ludzie nie znoszą, jak się im zwraca uwagę i bardzo źle się czują nawet z tak wyważoną krytyką. To oczywiste – nikt nie lubi czuć się źle. Ta wzbudzona sytuacja dysonansowa, jak już o tym pisałem może prowokować do stosowania różnych mechanizmów obronnych. Okazuje się jednak, że można w inny jeszcze sposób zredukować dysonans poznawczy. Można to robić zmieniając własne zachowanie. I to jest ten skutek, którego byśmy sobie życzyli – osoba uświadamia sobie, że postępowała niewłaściwie i postanawia zachowanie to zmienić – w ten sposób niweluje przykre napięcie towarzyszące dysonansowi.

Co jest warunkiem takiej zmiany? Z pewnością pomaga odpowiednio sformułowana informacja zwrotna – tak jak pisałem o tym powyżej. Poza tym psychologowie zauważyli, że pomaga postawienie osoby w sytuacji „hipokryzji”. Jeśli wiemy, że ktoś wyznaje określone wartości prośrodowiskowe lub wyraża tego rodzaju postawę, to w przypadku, gdy ta osoba zachowa się niezgodnie z tym wzorcem, a my zwrócimy jej na to uwagę, to jest spore prawdopodobieństwo, że zmieni ona to zachowanie zgodnie z tym, co wcze-



śniej deklarowała. To pokazuje, jak ważną rolę w zmianie zachowań pełnią wcześniej ukształtowane postawy i przekonania. Nie zapomnijmy jednak, że warunkiem zmiany w tym przypadku jest wzbudzenie poczucia hipokryzji.

A co z tymi, u których nie można wzbudzić poczucia hipokryzji, ponieważ jawnie deklarują postawy antyśrodowiskowe? No cóż, w tym przypadku pozostaje nam jedynie konsekwentne wskazywanie na nieetyczny charakter ich zachowań. Może z czasem któraś z tych informacji do nich dotrze. Wszystkie mechanizmy obronne stosowane przez takie osoby są w gruncie rzeczy smutnym zabiegiem chroniącym *status quo*. Trzeba bardzo wyraźnie to mówić: nie da się zanegować problemu – mamy wystarczająco dużo dowodów na to, że stan przyrody jest zły. Nie da się zanegować, że problemy środowiskowe mają wymiar moralny – zawsze bowiem stoi za nimi dobrostan ludzi (to minimalne antropocentryczne uzasadnienie tego faktu). To, że osoba oceniająca kogoś sama ma określone „grzechy”, nie zmienia faktu, że oceniane zachowanie jest rzeczywiście moralnie naganne. To, że ktoś ma wiele innych zasług, nie usprawiedliwia jego nieetycznych zachowań w innych obszarach. I w końcu argument „unikania skrajności” nie zmniejsza naszych win, tak jak podkradanie od czasu do czasu (w sposób daleki od skrajności), nie usprawiedliwia naszych złodziejskich zachowań.

Może stopniowe dojrzewanie w aspekcie moralnym spowoduje, że stosowanie powyższych mechanizmów obronnych stanie się niefunkcjonalne oraz otwarcie się na etyczny wymiar świata przyczyni się do pełniejszego doświadczania rzeczywistości i po prostu lepszego życia. Doświadczanie niewygody związanej ze świadomością własnych nieetycznych działań, nieuciekanie od tej niewygody, bycie z nią, wydaje się stanowić niezbędny warunek wewnętrznej przemiany.

Nikt nie jest bez winy, ale nie oznacza to, że mamy milczeć.

# Czym jest smutek po stracie?

---

Jedno jest pewne: umrzemy. Każdy z nas w końcu musi się zmierzyć z perspektywą nieuchronnego końca własnego życia, z tą wielką tajemnicą i paradoksem. Kto wie, czy to zmaganie się z nieuchronnością własnej śmierci, a raczej lękiem przed nią, nie jest motorem napędowym całej współczesnej cywilizacji. Zmaganie się ze śmiercią nie dotyczy jednak wyłącznie naszego własnego odejścia, ale też sytuacji, w której inni umierają, a my pozostajemy z uczuciami, które są dla nas trudne. Zostawmy jednak na moment ludzi, ponieważ to, że odchodzą nasi najbliżsi, zdarza się w przeciągu naszego życia zaledwie kilka razy, więc stosunkowo rzadko. Jakkolwiek te straty są najbardziej bolesne, to jednak zostawmy na moment ludzi.

Odchodzą bowiem też wszystkie inne istoty. I mimo, że nic w tym nadzwyczajnego, bo wszyscy bez wyjątku dzielimy nieuchronność śmierci (no może oprócz organizmów, które nie rozmnażają się płciowo), to jednak odchodzenie innych istot w obecnych czasach odbywa się na niespotykaną skalę – jak wiemy nazywane jest to wielkim wymieraniem lub szóstą katastrofą. Odchodzą nie tylko gatunki, odchodzą również siedliska, czyli miejsca, gdzie te gatunki do tej pory żyły. Gleba, powietrze, woda, całe krajobrazy zostają zdegradowane, zatrute i zmienione. Coraz mniej jest dzikiej przyrody, coraz więcej za to betonowo-stalowo-plastikowego porządku.

Większość ludzi może nawet o tym wie, ale specjalnie się tym nie przejmuje. No właśnie, to zadziwiające zjawisko, bo ogrom cierpienia, jakie zadajemy musi w nas przecież zostawiać jakieś ślady. I zostawia! Moja hipoteza jest taka, że każdy z nas oraz ludzkość jako całość nosi na swoich barkach i w swoich sercach ogromne pokłady smutku, żalu, rozpacz, poczucia bezradności oraz poczucia winy, które wiążą się z tym, że jesteśmy odpowiedzialni za pogrom życia.

Dlaczego zatem tak niewielu jest w stanie się do tych uczuć przyznać? Otóż działa tutaj mechanizm psychologiczny, który chroni nas przed tym, co nieprzyjemne. Tak już jesteśmy skonstruowani, że lubimy czuć się dobrze i że negatywne uczucia próbujemy

neutralizować. Stosujemy tutaj kilka technik: możemy nie dostrzegać, nie przyjmować sygnałów, że coś jest nie tak. Unikamy zatem informacji, które pokazują, że przyroda cierpi, a jeżeli nie da się już tych informacji dalej ignorować, możemy tak je zinterpretować, że znowu możemy poczuć się dobrze. Możemy też nie przyznawać się do negatywnych uczuć, które w nas pojawiają się, gdy to wszystko jednak do nas dociera. Spychamy gdzieś głęboko te wszystkie trudne emocje i może się nam nawet wydawać, że po prostu ich nie ma. To odcinanie się od uczuć, wypieranie ich i represjonowanie nieuchronnie prowadzi do tego, że stajemy się coraz bardziej obojętni i zamrożeni. Nasz związek z naturą jest więc coraz słabszy, bowiem brakuje w nim uczuć – i to nie tylko tych trudnych. Również coraz mniej umiemy cieszyć się i zachwycać prostymi rzeczami. Musimy wymyślać coraz lepsze sztuczki i niezwykle atrakcje, by doświadczanie natury było dla nas pociągające. Ostatecznie prowadzi to do tego, że wzruszamy ramionami, gdy dzieje się coś niedobrego na naszych oczach i nie przejmujemy się tym, że obszar cierpienia i zagłady jest coraz większy. W ten sposób nasze oddzielenie, obcość i brak zaangażowania osiąga zatrważające rozmiary. Czy widzicie to wokół siebie?

Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Jest jeszcze bowiem inny mechanizm, który w relacji sprawca – ofiara dodatkowo nakręca niekorzystną spiralę. Otóż sprawca (a mam na myśli tutaj człowieka), zagłuszając własne poczucie winy próbuje obarczyć odpowiedzialnością ofiarę za to, co ją spotkało. Sprawca rzadko bije się w pierś i zmienia swój stosunek do ofiary. Najbardziej prawdopodobny jest wariant, że jeszcze bardziej negatywnie się nastawia i deprecjonuje tego, który doznaje krzywdy. Dzięki temu oddala od siebie poczucie winy i z drugiej strony uzyskuje uzasadnienie własnego nikczemnego zachowania. Zauważcie, jak myśliwi mówią o zwierzętach i ich mordowaniu. Zwierzęta sprowadza się do trofeum, a sam proceder nazywany jest zarządzaniem populacją jakiegoś gatunku. Wiemy dobrze też, jaką złą sławą cieszą się wilki i inne drapieżniki. Im bardziej postępowala ich eksterminacja, tym bardziej były spostrzegane jako krwiożercze bestie. Zatrzymano się i opamiętano dopiero wtedy, gdy wilków, orłów, kruków, niedźwiedzi i rysi zostało już naprawdę mało.

Widać więc wyraźnie, że *im bardziej niszczymy przyrodę, tym bardziej niszczy-  
my przyrodę*. Tak pewnie powiedziałby Kubaś Puchatek, choć wcale nie jest tutaj do

śmiechu. Im bardziej niszczyliśmy, tym bardziej jesteśmy obojętni i tym bardziej musimy siebie przekonywać, że jest to jedynie słuszna droga.

Co więc można z tym zrobić? Co każdy z nas może z tym zrobić? Zbawienie tutaj może okazać się otwarcie się na to, co jest. A co jest? Ano: smutek, rozpacz, żal, poczucie winy. Zamiast uciekać o tego wszystkiego, trzeba się w końcu z tym skonfrontować. Spojrzeć prawdzie w oczy. Dopuścić do siebie uczucia. Specjalnie nie trzeba się tutaj jakoś starać czy wysilać. Właśnie dobrze jest nie robić nic. Ciągłe przecież coś robimy, żeby je zagłuszyć. Bardzo się staramy i sporo energii na to poświęcamy. Trzeba inaczej. Trzeba pozwolić sobie na ich doświadczenie. Trzeba otworzyć się. Generalna i podstawowa zasada, którą dobrze jest stosować wobec naszych emocji jest taka: im mniej się przy nich kombinuje, tym lepiej. Zamiast przy nich majstrować, uczmy się je szanować, przeżywać i mieścić je w sobie. Dokładnie tak samo, jak przyrodę wokół nas. To bardzo proste, choć właśnie proste rzeczy są dla nas najtrudniejsze, bo my lubimy sobie komplikować życie.

Przeżycie żalu po stracie, doświadczenie smutku i cierpienia otwiera serce i pozwala odczuć ożywczy przepływ życia. To prawdziwy punkt zwrotny na drodze do odkrycia Wielkiej Wspólnoty Życia. Po tamtej stronie już nie ma obojętności, nie ma tej ślepej agresji i wojny przeciwko życiu.

Ale jeszcze raz: droga do tego miejsca wiedzie poprzez smutek i rozpacz, które w sobie niechybnie nosimy, jak worek kamieni, jak kamyk w bucie.

Wietnamski mnich buddyjski Thích Nhất Hạnh mówi w tym kontekście, że najważniejszą rzeczą, jaką musimy zrobić, to „usłyszeć w sobie głos płaczącej Ziemi”. To poetyckie określenie wskazuje na warunek, jaki musi być spełniony, by dokonała się rzeczywista przemiana w świecie. Zmiana obecnej sytuacji wymaga naszej wewnętrznej przemiany, gdzie pozwolenie sobie na przeżycie trudnych uczuć smutku, rozpacz i żalu otwiera nasze skamieniałe serce na życie. Otwiera nas na nas samych oraz na otaczający świat. I nie chodzi tu o jakieś cierpiętnictwo, o katowanie się negatywnymi emocjami. Chodzi wyłącznie o otwarcie się na to, co jest, chodzi o uczciwe i proste skonfrontowanie się z tym, co do tej pory skrzętnie ukrywaliśmy, bojąc się, że to doświadczenie będzie zbyt trudne. I jakkolwiek jest trudne, to ostatecznie otwiera nas ono na bogactwo doznań, również tych pozytywnych, które przynosi z sobą zwykłe i proste życie. Otwiera nas na emocje,

które pozwalają nam w pełni zakorzenić się w życiu, docenić jego wartość, zaangażować się w jego obronę. Doświadczenie cierpienia roztopia naszą obojętność, dzięki czemu powracamy do życia.

Jak co roku, podczas Świąta Zmarłych zapalę kadzidełko dla wszystkich istot, dla Ziemi. Ale robię to nie tylko dla nich, robię to też dla siebie, żeby nie zobojętnieć, żeby doświadczać tego, co jest. Dla nich, dla siebie – przestaje mieć znaczenie.

**WSZYSTKO JEDNO!**

# Czy dobre chęci wystarczą?

---

Podobno dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło. Wszyscy wokół zapewniają, że chcą dobrze, ale jednocześnie, w końcu okazuje się, że owoce samych działań nie zawsze zgodne są z początkowymi intencjami. Jak mamy zrozumieć tę rozbieżność? Z czego wynika to, że ludzie co innego deklarują, a co innego robią?

Jeśli chodzi o intencje, prawdopodobnie nie ma powodu, by podważyć to, że ludzie chcą dobrze. Nawet jeśli chcą dla kogoś lub czegoś źle, to tylko po to, żeby w końcu dla kogoś innego było dobrze. Nawet sataniści, którzy w potocznym rozumieniu chcą tylko zła, koniec końców pragną, by ostatecznie zapanowało coś, co w ich przekonaniu jest dobre dla wszystkich. Zło jest dobre – tak zdają się mówić. Zatem ludzie mają zawsze dobre intencje w swoim subiektywnym przekonaniu.

Podobnie jest w przypadku naszego stosunku do przyrody. Nikt chyba nie będzie deklarował, że nienawidzi przyrody lub chce dla niej wszystkiego najgorszego (a nawet jeśli tak, to pewnie na samym końcu spodziewa się czegoś dobrego). Skoro więc wszyscy chcemy tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

Otóż cały problem nie leży w intencjach, ale w tym, z czego one wypływają. Można bowiem spostrzegać świat jak zestaw niezależnych elementów, które muszą ze sobą rywalizować, by zdobyć wyłącznie dla siebie szczególną pozycję. Można też widzieć świat jako przeplatającą się wzajemnie i zależną od siebie mozaikę różnorodnych elementów, w której liczy się bardziej sens i dobro całości niż interes poszczególnych elementów, które swoją drogą trudno precyzyjnie wyodrębnić.

W pierwszym przypadku nasze intencje będą mocno zawężone do partykularnego interesu, co będzie skutkowało wprawdzie dobrostanem jakiegoś jednego elementu, ale jednocześnie będzie pociągało katastrofę dla innego. W drugim przypadku intencja obejmuje coś znacznie większego niż poszczególne części i wypływa z rozumienia interesu nadrzędnej całości.

Jeżeli więc pytamy, czy dobre chęci wystarczą, to odpowiedź jest: NIE! Słuchając

ludzi na temat tego, czego chcą, ważniejsze od tego, co mówią jest to, z czego wypływa to, co mówią. To coś jest stanem ich świadomości, najgłębszym przekonaniem na temat siebie, świata, innych ludzi oraz relacji, jaka tutaj występuje między poszczególnymi elementami. Ta świadomość najprościej rzecz ujmując może być zawężona do wyłącznie własnego interesu, bądź też może się stopniowo poszerzać obejmując sobą coraz większy zakres całości. Najogólniej rzecz biorąc ludzie różnią się między sobą tym, jaki zakres ich świadomość obejmuje.

Jaka świadomość, takie (dobre) intencje. Dlatego też ktoś, kto obejmuje sobą cały świat będzie tak formułował swoje „chcenia”, że ich skutki nie powinny być dla całości kłopotliwe.

Ale sprawa nie jest tak prosta, jak mogłoby się wydawać, bowiem intencje i świadomość jako ich źródło są tylko jednymi z wielu czynników decydujących o tym, co człowiek zrobi. Ogromną rolę odgrywa tutaj również sytuacja, w tym inni ludzie, warunki zewnętrzne oraz cały kontekst, w jakim człowiek funkcjonuje. To właśnie sprawia, że nie zawsze robimy to, co myślimy, że chcielibyśmy zrobić. Jeżeli więc mówimy, że „po owocach ich poznamy”, to jest to z pewnością nadmierne uproszczenie. Owoce nie zawsze, a nawet dość rzadko są bezpośrednim odzwierciedleniem intencji.

Jak więc widać w tej całej skomplikowanej materii zależności między tym, co wewnętrzne i tym, co zewnętrzne jedynie nasza świadomość jawi się jako coś nad czym możemy pracować w kierunku jej poszerzania. Tego rodzaju intencja wydaje się być najbardziej podstawową i najbardziej czystą „chęcią” zadbania o całość.

Jeżeli nasza świadomość jest naprawdę szeroka, to intencje, jakie będą z niej wypływać będą równie szerokie. W takim przypadku na pytanie „czy dobre chęci wystarczą” odpowiemy: TAK!

I nie chodzi tu bynajmniej o to, jaki jest pożytek z takich dobrych chęci. Czy zdołamy np. coś ochronić, czy nie. Czy swoim działaniem doprowadzimy do zatrzymania niszczenia planety, czy nie. W tego typu intencji nie o efekt chodzi, a o czyste działanie, które z tej intencji wypływa. To działanie jest dużo ważniejsze od skutków, bo te zależą jeszcze od wielu innych czynników, a intencja i wypływające z niej działanie, to właśnie ten obszar, który jest najbardziej nasz i który najpełniej nas wyraża. Niezależnie od tego, jakie

są skutki naszych działań, trzeba po prostu robić swoje. Nawet jeżeli będziemy jedyną osobą na świecie, która tak postępuje. Bo z tymi naszymi najgłębszymi intencjami tak właśnie jest: robimy coś, czego nie możemy nie robić! W tym stanie nie ma żadnego kombinowania, analizowania czy rozważania, jaki z tego może być pożytek. W tym stanie jest tylko działanie w najczystszej i najprostszej swej postaci. Działanie bez działania. Cała reszta przychodzi sama.

Tak, dobre chęci wystarczą, ale wpieryw trzeba zadbać o to, z czego one wypływają o jakość tego, kto ostatecznie te intencje w sobie mieści i wyraża. Zadbać o własną świadomość, to wyzwolić ją z ciasnych ograniczeń małego „ja”, to nie przywiązywać się do własnych zachcianek, nawet tych, które wydają się najbardziej szlachetne i wzniosłe, to puścić kurczowe trzymanie się swojego. Wtedy, jakby przy okazji, będziemy mieli okazję usłyszeć w sobie najprawdziwszy głos, który mówi o tym, czego tak naprawdę pragniemy, co jest wspólnym pragnieniem i potrzebą całego świata.

Dobre chęci wystarczą, ale trzeba *nie robić nic*, by je w sobie odkryć.

Bądź Całością i czyń, co chcesz.



# Kim są Wojownicy Szambali?

---

Pozwólcie, że podzielę się z Wami starożytnym prorocstwem pochodzącym z tradycji buddyzmu tybetańskiego.

To prorocstwo przekazała mi Ruth Rosenhek z Australii, współpracowniczka Johna Seeda, gdy razem prowadziliśmy warsztat na Słowacji. Ruth usłyszała je od Joanny Macy, pisarki i aktywistki ekologicznej, która w 1980 roku, będąc w Indii, otrzymała je od swoich tybetańskich przyjaciół.

*Nadejdzie taki czas, kiedy życie na całej planecie zostanie zagrożone. Nastąpi to, kiedy ogromna potęga barbarzyńskiej siły zdominuje cały świat. Jednym z centrów tej potęgi będzie świat zachodni, z jego kulturą, drugim – świat euroazjatycki.*

*Obie te potęgi będą poświęcały swoje zasoby i swój dobrobyt po to, by wyeliminować drugą stronę. Obie będą doskonaliły technologie, po to by wyprodukować doskonałą broń, by zadać ostateczny cios przeciwnikowi. Obie też będą zaśmiecały świat, co będzie skutkiem rozwoju technologicznego.*

*W tym czasie, kiedy życie na Ziemi będzie zagrożone, powstanie Królestwo Szambali.*

*To nie będzie jakieś konkretne miejsce, do którego będzie można się udać. Nie będzie to też jakiś układ geopolityczny. Królestwo to bowiem będzie istniało wyłącznie w sercach i umysłach Wojowników Szambali. Jak będzie można rozpoznać tych Wojowników? Nie będą oni nosili żadnego uniformu. Nie będą nieśli żadnego sztandaru ani posiadali żadnych innych insygniów pozwalających ich rozpoznać. Nie będą wznosić barykad, by zza nich zagrażać wrogom lub by się za nimi schować i odpocząć lub przegrupować swoje siły. Nie będą oni nawet mieli swoich specjalnych siedzib. Zawsze jednak będą poruszali się po terytorium barbarzyńców. Nie będzie więc ich można łatwo rozpoznać, jednak oni między sobą będą rozpoznawać się bez problemu.*

*Teraz nadszedł czas, gdy wielka odwaga fizyczna i psychiczna Wojowników jest niezbędna, by udać się do samego serca barbarzyńskiej siły i tam rozbroić broń, która*

została przygotowana. By to zrobić niezbędne będzie zapuszczenie się w miejsca, gdzie zapadają ważne decyzje.

Wojownicy Szambali mają odwagę by to zrobić, bo wiedzą, że cała broń, jaka została wyprodukowana i zgromadzona jest „manomaya”. Oznacza to, że jest wytworem umysłu. Skoro zaś jest wytworem umysłu, to jedynie umysł może sprawić, by przestała ona zagrażać. Wojownicy Szambali wiedzą też, że zagrożenie Ziemi nie przyszło do nas z zewnątrz: nie jest efektem działania jakiejś obcej siły, jakiegoś pozaziemskiego planu lub niezależnego od nas fatum. To zagrożenie jest bowiem wynikiem naszych własnych decyzji, naszego stylu życia i naszych relacji ze światem.

Jakkolwiek Wojownicy Szambali nie będą posiadać pistoletów, łuków, dzid czy nawet patyków, to jednak będą dysponować ważną bronią w zmaganiach z barbarzyńcami. Tą bronią jest współczucie i wgląd (intuicja).

Współczucie jest siłą, która pcha nas do działania. Czując, nie jesteśmy obojętni, nie stoimy obok. Rozpoznajemy w sobie dzięki współczuciu moc, którą możemy wykorzystać do zrobienia czegoś. Otwarcie się na ból świata, przeżycie go, sprawia, że stajemy gotowi do działania. Ale samo to nie wystarcza. Siła wypływająca ze współczucia może być bowiem ślepa, nie posiada jeszcze właściwego kierunku. Może też „spalić” najlepszego nawet Wojownika.

Współczucie potrzebuje więc drugiej broni, jaką jest wgląd. Oznacza on mądrość wypływającą ze zrozumienia współzależności wszystkich zjawisk. Dzięki tej mądrości Wojownik Szambali wie, jakie związki łączą go z całym światem, również z barbarzyńcami. Wie też, z czego wynika to, co oni robią. W ten oto sposób wgląd pozwala wyraźnie widzieć, że nie jest to wojna między dobrymi ludźmi i złymi ludźmi, pozwala widzieć, że dobro i zło są wzajemnie przenikającymi się aspektami jednej rzeczywistości. Wojownik Szambali wie też, że walka, jaka się toczy nie przebiega na zewnątrz, tylko w sercu i umyśle każdego człowieka. Dlatego też wgląd pozwala zadbać o właściwe intencje działania i ukierunkować to, co wypływało ze współczucia. Ale sam wgląd też nie jest wystarczający.

Wydaje się być czymś chłodnym, konceptualnym i biernym, i dopiero połączenie ze współczuciem daje mu odpowiednią siłę do działania.

*Zarówno współczucie jak i wgląd są potężną bronią w rękach każdego Wojownika Szambali i mogą odmienić los całego świata.*

**To MY jesteśmy Wojownikami Szambali.**

# Co jest normalne, co jest nienormalne?

---

Przy okazji konfliktu o Dolinę Rospudy nasłuchaliśmy się różnych określeń, które ludzie przypisywali ekologom. Pojawiały się tam takie perełki jak: ekoterroryści, wariaci, oszołomy, banda, pseudoekolodzy, nawiedzeni idioci, euro bolszewickie bagienko, ekofanatycy, nieroby, pieniacze, lewacy, darmozjady.

Warto więc przypomnieć w tym miejscu, że przeciw ostatecznie odrzuconej, szkodliwej dla przyrody lokalizacji drogi przez Rospudę protestowali nie tylko ekolodzy, ale też wiele znamienitych postaci, jak: Wisława Szymborska, Andrzej Wajda, Olga Tokarczuk czy Daniel Olbrychski. A ponad 60% społeczeństwa polskiego wyrażało swój sprzeciw wobec planów zniszczenia Doliny. Przypomnijmy też, że wcześniej przy okazji innych konfliktów ekologicznych rzecznikami wartości przyrodniczych były takie osoby jak: Stanisław Lem, Ryszard Kapuściński czy Czesław Miłosz. A papież Jan Paweł II wielokrotnie nawoływał do opamiętania się w związku z degradacją środowiska naturalnego. Jak więc widać grono rzekomych ekoterrorystów, nierobów i lewaków jest naprawdę doborowe, aż się jakoś robi raźniej na duchu.

Wszystkie te epitety skłoniły mnie też do refleksji na temat tego, co jest normalne i co jest nienormalne w dzisiejszym świecie, ponieważ w tych określeniach zawarte jest ukryte założenie, że ludzie stający w obronie przyrody są jacyś inni niż ci normalni. Mieszkańcy Augustowa albo twierdzili, że ekolodzy dostają pieniądze za koczowanie w lesie nad Rospudą, a jeżeli nie to widocznie są nienormalni, bo przecież nikt o zdrowych zmysłach nie będzie marznąć na 25-stopniowym mrozie dla jakichś ptaszków i żabek.

Ileż razy sam spotykałem się i spotykam się z takim naznaczeniem przy okazji różnych okoliczności życiowych. Dlatego dzisiaj ostatecznie zdecydowałem się zrobić zestawienie tego, co wydaje się normalne i nienormalne, po to by każdy z nas mógł sobie jasno uświadomić, kim tak naprawdę jest. Oczywiście zestaw ten jest pewnym uproszczeniem, niemniej jednak pokazuje z grubsza to, co normalnym jest, a co nie.

Oto moja propozycja:

## NORMALNE

Wycinać drzewa by zbudować drogę  
Traktować Ziemię jak dojrzałą krowę  
Troszczyć się wyłącznie o siebie  
Robić coś, co przynosi finansową gratyfikację  
Jeździć samochodem do pracy  
Folgować sobie i dawać sobie przyjemność  
Korzystać z życia i specjalnie się nad tym  
nie zastanawiać  
Widzieć dziką przyrodę  
jako coś bez większej wartości  
Być wolnym za wszelką cenę  
Kupować, kupować, kupować  
Nie narażać się  
Być obojętnym i twardym  
Nocować w hotelu  
Oglądać telenowełe w TV  
Pracować 12 godzin na dobę  
Narzekać, że nie ma się jeszcze tego,  
co chce się mieć  
Załatwiać z innymi interesy  
Instalować kolejne zamki i drzwi  
Jeździć zamiast chodzić  
Żyć nowocześnie  
Stać się kimś

## NIENORMALNE

Przykuwać się do drzewa w jego obronie  
Traktować Ziemię jak Matkę  
Troszczyć się o przyrodę  
Robić coś nie oczekując w zamian wynagrodzenia  
Jeździć na rowerze do pracy  
Powściągać i ograniczać swoje zachcianki  
Zadawać sobie głębokie pytania  
Widzieć dziką przyrodę jako święte miejsce  
Być świadomym i akceptować własną zależność  
od innych i przyrody  
Nie kupować, mimo, że posiada się pieniądze  
Głośno wyrażać swój sprzeciw  
Czuć żal, smutek i rozpacz w związku z tym,  
że przyroda jest niszczona  
Nocować w lesie pod płachtą  
Poświęcać swój czas na działania  
w obronie przyrody  
Iść do lasu, usiąść pod drzewem i nic nie robić  
Cieszyć się z tego, co się ma  
Spotkać się z drugim człowiekiem  
Nie zamykać drzwi na klucz  
Chodzić zamiast jeździć  
Po prostu żyć  
Być tym, kim się jest

*Drodzy czytelnicy, przyjmijcie ode mnie życzenia wszystkiego nienormalnego!*

# Czy edukacja rozwiąże nasze problemy?

---

Wydaje się, że dobra edukacja jest lekiem na większość naszych bolączek. Edukacja jest koniecznością we współczesnym świecie i chyba nikt rozsądny nie będzie podważał tego przekonania. Stąd w Polsce, jak też i w wielu innych krajach, już pięćdziesiąt lat poddane są obowiązkowo planowemu oddziaływaniu edukacyjnemu. Ten, kto nie podda swojego dziecka temu obowiązkowi, naraża się na poważne konsekwencje ze strony państwa.

Przymus szkolny jest ciekawym zjawiskiem, ponieważ zmusza nas do tego, co wydaje się zupełnie spontaniczną i naturalną gotowością człowieka. Przedstawiciele gatunku ludzkiego rodzą się w dużym stopniu jako niezapisana karta, dlatego dziecko nawet przez kilkanaście lat jest niesamodzielne. Ten długi okres jest niezbędny, byśmy nauczyli się najważniejszych rzeczy, by radzić sobie w życiu. Jak to było możliwe kiedyś, gdy nie było jeszcze szkół i planowej edukacji? Tak się składa, że dziecko nie musi specjalnie wiele robić, by tych najważniejszych rzeczy się nauczyć. Wszyscy mamy wbudowany doskonały mechanizm, który pozwala nam uczyć się, rozwijać i dorastać. Psychologowie nazwali go modelowaniem, aby podkreślić szczególny charakter relacji, jaka wiąże dziecko z bliską dorosłą osobą, ale też i z innymi osobami, w tym z rówieśnikami. Innymi słowy, dziecko wnikliwie obserwuje zachowania innych (głównie bliskich) osób i naśladuje je, ucząc się przy okazji życia. W taki oto sposób małe dzieci stawały się dorosłymi od setek tysięcy, a może nawet milionów lat. Bez szkoły.

Szkoła pojawiła się jako instytucja kontrolująca to, co nie daj Boże, mogłoby pójść swoim własnym torem. Trzeba kontrolować, co wyrośnie z dziecka (coraz wcześniej) i sprawić, by wszyscy mniej więcej mieli to samo w głowach. Z tej perspektywy szkoła jawi się jako element totalitarnego państwa, które stara się zrobić z nas dobrze przystosowanych obywateli. Mało tego, współczesna szkoła oparta jest przede wszystkim na przekazywaniu informacji. Z założenia młody człowiek nie tyle ma nauczyć się żyć, ile przyswoić solidną porcję aktualnych informacji, która została wyprodukowana przez naukowców. Nauka jest rodzajem współczesnej religii, której wszyscy ulegamy, stąd

przekonuje się nas, że aby dobrze przeżyć życie, trzeba dużo wiedzieć o świecie. Ale w tym zalewie informacji, który funduje nam szkoła jest coraz mniej miejsca na prawdziwą wiedzę, budującą się na integracji różnorodnych informacji. Coraz więcej danych i coraz mniej prawdziwej wiedzy. A im mniej prawdziwej wiedzy, tym jeszcze mniej mądrości. Ta bowiem wyrasta z głębi zrozumienia tego, co się wie i świadomości powiązań wszystkiego, co jest. Dlatego, jak powiadali starożytni, mędrzec jest tym, który wie, że nie wie. Z takiego przekonania wyrastała następnie postawa życiowa pełna pokory, umiarkowania i dystansu wobec rzeczywistości (jak widać są to takie cnoty, które zupełnie wyszły z mody we współczesnym świecie).

Mądrość w przeciwieństwie do informacji i wiedzy przenika całego człowieka, a nie tylko dociera do jego głowy. Mądrość nawet jest bardziej cielesna i organiczna niż intelektualna. We współczesnej szkole przedmiotem oddziaływania jest niemal wyłącznie głowa (intelekt) dziecka, tak jakby nasze człowieczeństwo można było sprowadzić wyłącznie do funkcji poznawczych.

Z tych i wielu jeszcze innych przyczyn prawie nikt nie lubi szkoły. Nie lubią jej dzieci, bo jakkolwiek mają naturalną tendencję do uczenia się, to szkoła okrutnie ją dławi, sprowadzając niemal wszystko do informacji i intelektu. Nie lubią jej też prawdopodobnie w większości nauczyciele, bo ciągle muszą użerać się z oporem dzieciaków.

I w tym całym edukacyjnym rozgardiaszu jakoś próbuje znaleźć się tzw. edukacja ekologiczna. Najczęściej (w szkole) sprowadzana jest ona do przekazania kolejnej porcji informacji, która w jakiś magiczny sposób ma doprowadzić do cudownej przemiany ludzi, do zmiany ich zachowań i postaw. Tak się jednak w oczywisty sposób nie dzieje. Informacja to nie jest coś, co jest w stanie zmienić człowieka. Ta podstawowa prawda jest niemal zupełnie ignorowana. Prawdopodobnie dzieje się tak, ponieważ gdybyśmy ją w końcu przyjęli, to musielibyśmy zmienić podstawowe założenie, na jakim oparta jest współczesna edukacja.

To, co nas zmienia, to głębokie doświadczenie, w którym obok intelektu zaangażowane są emocje, ciało, zmysły, zachowanie i jeszcze coś, co dotyczy duchowej sfery człowieka. Edukacja ekologiczna w naturalny sposób posiada taki właśnie potencjał, ponieważ idąc do lasu, nad rzekę, czy siedząc na polanie pod gołym niebem, jesteśmy

całościowo angażowani w doświadczanie świata i siebie w nim.

Ale jako osoba, która od wielu lat proponuje ludziom tego typu zajęcia mam coraz więcej wątpliwości, co do skuteczności tych zabiegów. Podstawowy problem polega na tym, że taka głęboka edukacja ekologiczna stawia się po przeciwnej stronie współczesnego świata. Proponuje wartości, ideały, przekonania i postawy, które są obecnie traktowane jako sprzeczne z powszechnie panującymi. Jednym z typowych przykładów jest tutaj problem zachowań proekologicznych, które chcielibyśmy zaszczyścić jako właściwe codzienne zachowania ludzi. Jeżdżenie rowerem, tramwajem lub pociągami zamiast samochodem, branie krótszego prysznica, kupowanie rodzimych produktów, oszczędzanie prądu i gazu. Wszystkie te i podobne im inne zachowania mają jeden wspólny mianownik. Otóż w powszechnej świadomości, jak pokazują badania, wiążą się z niskim statusem społecznym. Innymi słowy, ten, który żyje oszczędnie pewnie jest biedakiem z nizin społecznych, ten zaś, który marnotrawi, używa i specjalnie się nie przejmuje spostrzegany jest jako zajmujący wysoką pozycję społeczną. Zatem jeśli uczymy ludzi umiarkowania i chcemy, by ich życie było bardziej zrównoważone, to tak naprawdę próbujemy odwrócić do góry nogami cały porządek społeczny. To się nigdy nie uda. Ludzie zawsze będą tęsknić za bogactwem i luksusem i będą używać, ile tylko się da, dopóki zewnętrzne okoliczności temu sprzyjają. Jeśli mamy narzędzia, by maksymalizować swój komfort, to prawdopodobnie ich użyjemy. A narzędzia mamy coraz doskonalsze i wyrafinowane. Edukacja ekologiczna w tym przypadku jest na straconej pozycji.

Dzisiejsza edukacja ekologiczna jest rodzajem nieco egzotycznego folkloru; przyjemnie jest pojechać na tego rodzaju zajęcia, doświadczyć bliskiego kontaktu z przyrodą, a później wrócić do swojego świata, opowiedzieć znajomym jak było, zachować wspomnienia i zdjęcia, i żyć dalej swoim życiem. Ci najbardziej zdeterminowani mogą po takim doświadczeniu zakręcać wodę przy myciu zębów, czy nawet wykupić swoje drzewo w bratniej organizacji ekologicznej, ale czy to coś rzeczywiście zmienia?

Żeby taka edukacja miała sens, tego typu zdarzenia muszą być permanentne. Mało tego, muszą być przede wszystkim w miarę spójne z życiem, jakie się prowadzi. Muszą być spójne ze światem i z kulturą, jaka nas otacza. Inaczej jest to walka z wiatrakami.

Edukacja zawsze wyrasta z kultury i czasu, w którym ma miejsce. A człowiek, by stać



się w pełni sobą musi wypełnić się innymi, kulturą, a w końcu nawet całym światem. Tak było zawsze i działa się to zupełnie spontanicznie. Dzisiaj żyjemy w świecie, w którym idee zawarte w edukacji ekologicznej negują podstawowe założenia naszej cywilizacji. Prawdziwie to schizofreniczna sytuacja, ale też skazująca ten edukacyjny projekt na totalne niepowodzenie. Bo, żeby mieć ekologiczne społeczeństwo, trzeba wprawdzie stworzyć ekologiczną kulturę, w której zanurzeni, będziemy uczyć się tego, co najważniejsze o świecie.

# Na czym polega prawdziwa zmiana?

---

Sporo już wiemy. Przede wszystkim to, że sytuacja ekologiczna z powodu działalności człowieka jest zła. Poza tym palacze wiedzą, że palenie szkodzi zdrowiu, rodzice, że dobrze jest poświęcać czas swemu dziecku, pracownicy, że nie należy pracować więcej niż 8 godzin dziennie, a wszyscy chyba wiemy, że bardziej liczą się głębsze wartości niż pieniądze.

Jednocześnie nie przeszkadza nam to szkodzić środowisku, palić papierosy, dzieci podrzucać do żłobka lub niani i zaharowywać się w pracy, po to by mieć jeszcze więcej pieniędzy na rzeczy, bez których spokojnie możemy się obyć. Jak to jest, że tyle wiemy o tym, co powinniśmy robić, by było lepiej i w ogóle albo prawie w ogóle do tego się nie stosujemy? Od tysięcy lat ludzie próbują formułować dekalogi i złote zasady, które mają uchronić nas przed niekorzystnymi sytuacjami, a wydaje się, że po tym czasie ciągle jesteśmy na początku drogi. Z czego więc bierze się rzeczywista zmiana w naszym życiu i dlaczego tak naprawdę (jeśli w ogóle) ludzie zmieniają swoje zachowanie?

Wszystko wskazuje na to, że dążenie do jakiegokolwiek zmiany w swoim postępowaniu z góry skazane jest na niepowodzenie. Co się bowiem dzieje, gdy usilnie do czegoś dążymy i próbujemy się do czegoś zmusić? Powiedzmy, że nie robimy jeszcze czegoś, co powinniśmy i chcemy to zmienić. Zmuszamy się więc np. do tego, żeby nie jeść mięsa, bo przecież jedzenie mięsa jest niekorzystne dla naszego zdrowia i dla środowiska. Jak to dobrze nie jeść mięsa! – mówimy sobie. Z jakiegoś jednak powodu do tej pory jedliśmy je. Może nam smakowało, może dobrze czuliśmy się jedząc mięso, może tak zostaliśmy nauczeni. Teraz zaś mamy z tego zrezygnować. Cała ta sytuacja tworzy w nas wewnętrzne napięcie między tym, co robiliśmy do tej pory (z ochotą) i tym, że mamy z tego zrezygnować (może z nie mniejszą ochotą). To napięcie jest zarówno skutkiem, jak i przyczyną konfliktu oraz walki, jaka się w nas toczy. Jednakże po dwóch stronach barykady stoi ta sama osoba, co oznacza, że niezależnie od tego, która strona wygra, człowiek, wewnątrz którego toczy się ten proces, zawsze przegrywa. Gdy przestanie jeść

mięso – cierpi, bo musi sobie odmawiać tego, co do tej pory lubił. Jeśli będzie jadł mięso dalej – pojawi się poczucie porażki i winy, że nie sprostał zmianie, która jest dla niego korzystna.

Taka wymuszona zmiana pociąga za sobą wiele niekorzystnych konsekwencji. Jeżeli człowiek zwalczył siłą jakąś swoją słabość, co oznacza tak naprawdę, że ją tylko wyparł, często projektuje tę nieakceptowaną część siebie na innych i staje się po prostu mało tolerancyjny wobec tych, którzy robią to, co on rzekomo w sobie zwalczył. Tak oto rodzi się fanatyzm, fundamentalizm i bezpardonowa walka z tzw. złymi ludźmi, którzy są niczym innym jak uosobieniem wypartego własnego cienia. W drugim przypadku poczucie winy, że nie sprostało się wyzwaniu może prowadzić również na zasadzie wyparcia nieprzyjemnych odczuć do jeszcze większej obojętności czy agresywnej niechęci wobec sprawy, której wcześniej się nie sprostało.

Co nam więc pozostaje i kiedy tak naprawdę zmieniamy się? Wszystko wskazuje na to, że prawdziwa zmiana jest zawsze efektem ubocznym procesu, który zachodzi w świadomości człowieka. Innymi słowy, autentyczna zmiana przychodzi jakby sama, nie prowokowana jakimiś szczególnymi zabiegami i dążeniami. Nagle może się okazać, że człowiek przestaje jeść mięso i robi tak nie dlatego, że jedzenie mięsa jest niewłaściwe, tylko dlatego, że wewnątrz dojrzał do odstawienia mięsa. Oczywiście takiej zmianie mogą towarzyszyć uzasadnienia, które odwołują się do jakichś normatywnych sądów, niemniej jednak nie odzwierciedla to istoty procesu wewnętrznego. Ludzie bowiem nie tyle robią to, co jest właściwe, ale dokładnie to, co odzwierciedla stan ich świadomości. Dlatego właśnie normatywne wskazówki, czyli zalecenia, co należy robić albo czego nie robić, są tak słabym czynnikiem zmiany.

W tym też tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego tak trudno jest przekonać ludzi do różnych zachowań prośrodowiskowych racjonalnymi argumentami. Zwróćmy uwagę na to, że do większości ludzi taka argumentacja zwyczajnie nie dociera. Trafia natomiast do tych, których świadomość jest gotowa na przyjęcie nowego. To ci, którzy tak naprawdę są już przekonani, tylko brakuje im może racjonalnych uzasadnień korespondujących ze stanem ich świadomości.

Pozostaje jeszcze kwestia, co oznacza termin „stan świadomości”. Otóż nie oznacza

on stanu wiedzy, przekonań czy innych jeszcze racjonalnych elementów. Oznacza raczej zakres rzeczywistości, jaki ta świadomość obejmuje, włączając ją w pojmowanie samego siebie. Inaczej mówiąc, ludzie różnią się między sobą stopniem, w jaki potrafią rozciągnąć własne „ja” na świat zewnętrzny. To „ja” może zajmować bardzo mały i wąski obszar, w którym liczy się wyłącznie własny interes, a może też obejmować coś, co pozornie znajduje się na zewnątrz, ale spostrzegane jest jako część samego siebie. Dlatego np. argumenty za wegetarianizmem nie przekonują nikogo, kogo tożsamość jest mocno egocentryczna, zaś ci, których „ja” obejmuje inne istoty będą mieli łatwość w automatycznym przechodzeniu na wegetarianizm bez jakiegó wewnętrznego walki ze sobą.

Co to wszystko oznacza dla ruchu ekologicznego i przyszłości naszej planety? Jeżeli prawdą jest to, co powyżej, to główny wysiłek zmierzający do zmiany obecnej sytuacji powinien być nakierowany na pracę z ludźmi nad ich świadomością i poczuciem własnej tożsamości. To prawdopodobnie jest klucz do rzeczywistej przemiany współczesnego świata.

A z drugiej strony warto zauważyć, że trudno krytykować poczynania tych, którzy niszczą planetę. Wszak prawdopodobnie nie robią tego ze złej woli (choć może się tak wydawać), a z braku i deficytu w obszarze własnej tożsamości. Jeżeli jesteśmy wyrozumiali wobec dzieci, które są egocentryczne, zanim ich tożsamość osiągnie odpowiedni poziom rozwoju, tak też spróbujmy zrozumieć tych, którzy nie robią tego, co dla nas oczywiste i pożądane. W tym sensie nikt nigdy nie popełnia błędów i nie podejmuje złych decyzji. Zawsze są to jedyne i najlepsze (na ten moment i z tym poziomem świadomości) decyzje, jakie dany człowiek może podjąć. Bo przecież gdyby mógł podjąć inne, lepsze, to z pewnością by to zrobił.

Wszyscy potrzebujemy sporo zrozumienia dla innych i cierpliwości wobec tego, jak postępują. Ale jak wiemy nie da się tego zadekretować. To również pojawia się samo jako uboczny efekt rozwoju własnej świadomości.

## Na czym polega prawdziwa zmiana? Ciąg dalszy.

---

Podstawowa zasada jest taka, że autentyczna zmiana zdarza się sama jako uboczny efekt rozwoju świadomości człowieka. Jak się to dzieje? Żeby zaszła jakakolwiek zmiana, trzeba zrobić dla niej miejsce. Jest ona bowiem czymś nowym, co zastępuje stare. Zatem to stare musi dać przestrzeń nowemu. Wydaje się to być oczywiste, ale wcale nie zdarza się zbyt często. Na nasze nieszczęście zwykle wydaje się nam, że mamy rację i że coś wiemy. Gdy to poczucie towarzyszy nam na co dzień, jest naprawdę niewiele miejsca na zmianę. Inaczej mówiąc, gdy dobrze sobie radzimy i udaje się nam to, co sobie założyliśmy, jest małe prawdopodobieństwo pojawienia się jakiegokolwiek zmiany. W takiej sytuacji nasze wewnętrzne naczynie jest pełne i nie ma możliwości, by zmieściło się w nim coś nowego.

Nowe pojawia się, gdy naczynie zostaje opróżnione. Tak się dzieje wyłącznie wtedy, gdy coś jest nie tak, gdy sobie nie radzimy, gdy ogarnia nas poczucie bezsilności i nie wiemy, co mamy robić. To właśnie wtedy człowiek otwiera się na nowe. To ważna prawidłowość, ponieważ okazuje się, że każda zmiana poprzedzona jest kryzysem. Zmiana pojawia się dopiero wtedy, gdy detronizujemy się i odpuszczamy własną omnipotencję, gdy nasza arogancja topnieje w warunkach, które ukazują naszą niewiedzę, deficyty i nieumiejętność poradzenia sobie z sytuacją. Tego typu kryzysy, jakkolwiek trudne, są dla nas błogosławieństwem, bo właśnie dzięki nim możemy się rozwijać i iść do przodu. W tym kontekście przerażająca może wydawać się perspektywa świata, który jest pod naszą kontrolą, a my skutecznie zaspokajamy wszystkie nasze zachcianki i mamy dokładnie to, czego chcemy. W takim świecie albo raczej z takim poczuciem w świecie, szansa na zmianę jest naprawdę niewielka. Ale nie ma tego złego (dobrego?), co by na dobre (złe?) nie wyszło.

W naturze leży równowaga, więc gdy rośnie nasza moc, skuteczność i przekonanie co do własnej nieomylności, zaraz też rzeczywistość próbuje dobrać się do tego aroganckiego zestawu i podważyć nasze poczucie samozadowolenia. Świat na zewnątrz

ciągle nam coś komunikuje, a sytuacje, które nas spotykają są naszym najlepszym nauczycielem. Dlatego, gdy dzisiaj mówimy o kryzysie ekologicznym i pogarszającej się sytuacji świata, to powinniśmy się uważnie wsłuchiwać w te różne przykre objawy, bo to właśnie one mówią nam, że coś jest nie tak i że czas na zmianę. Jeśli jesteśmy głusi na te sygnały, to jednocześnie prowokujemy silniejszy głos z drugiej strony oraz taką katastrofę, wobec której nie będziemy już mogli pozostać obojętnymi.

W tym sensie można stwierdzić, że przychodzi zawsze do nas nie to, czego po prostu chcemy, ale to, czego rzeczywiście potrzebujemy w głębokim tego słowa znaczeniu. A czego potrzebujemy? Potrzebujemy odzwierciedlenia naturalnego porządku, którym po prostu jesteśmy. Chcemy równowagi między „wiem” i „nie wiem”, między siłą a słabością, między stabilnością a zmianą. W dzisiejszym świecie niestety(!) zbyt dobrze radzimy sobie na co dzień i jak ognia unikamy przykrości, stąd nasze naczynie niemal zawsze jest pełne. I nie ma szans na żadne nowe.

Można jednak w mniej bolesny i dramatyczny sposób otworzyć się na zmianę. Dla mnie taką metodą jest praktyka medytacyjna. Medytację traktuję tutaj nie jako technikę, która ma konotacje religijne, ale jako stan świadomości. Ten stan jest dostępny każdemu z nas, w każdej sytuacji i momencie życia, a jego istotą jest opróżnienie naczynia po to, by w przestrzeni, która się otwiera mogło pojawić się nowe. Podstawowym warunkiem praktyki medytacyjnej jest stan „nie wiem”. W medytacji, czy dotyczy to zmywania naczyń, spaceru w parku, słuchania muzyki, czy siedzenia przed pustą ścianą, chodzi o przyzwolenie, by rzeczy pojawiały się zgodnie ze swoją naturą, a obserwujący umysł przyjmował wszystko bez jakiegokolwiek oceniania czy manipulowania rzeczywistością. Trenowanie się w takim podejściu do świata, własnych emocji, myśli i życiowych zdarzeń w sposób niezwykły pozwala świadomości stopniowo poszerzać się i obejmować coraz szerszy zakres tzw. rzeczywistości zewnętrznej. A ostatecznie praktyka medytacyjna prowadzi do zakwestionowania podstawowego podziału na podmiot i przedmiot, co oznacza objęcie świadomością oraz utożsamienie się z tym, co jest.

Gdy spojrzymy na rozwój świadomości na przestrzeni lat naszego życia, to okaże się, że nasz rozwój w tym obszarze najkrócej można opisać jako stopniowe odchodzenie od egocentryzmu poprzez światocentryzm, aż do przekroczenia podstawowego

dualizmu podmiot – przedmiot. Dziecko jest skrajnie egocentryczne i nie potrafi w żaden sposób dawać siebie innym. Z czasem ten egocentryzm mięknie, między innymi poprzez różne bolesne doświadczenia (stopniowa separacja z matką, rozstawanie się z poczuciem własnej onnipotencji) i dziecko jest w stanie coraz bardziej się decentrować, np. dzieląc się swoimi zabawkami z innymi dziećmi. Co ciekawe nie dzieje się tak z powodu moralizujących kazań wygłaszanych przez rodziców, którzy mają przekonanie, że muszą wychować swoją pociechę, ale z powodu stopniowo poszerzającej się świadomości w naturalnym procesie życia.

Wydaje się, że jako gatunek stoimy wobec kolejnego progu, w którym czeka nas przekroczenie naszego ludzkiego egocentryzmu (antropocentryzmu) i objęcie troską całego świata wokół nas. W tej przemianie, która stopniowo (miejmy nadzieję) się dokonuje, ważną rolę odgrywa to, co mówi do nas Ziemia (i co niekoniecznie jest dla nas przyjemne) oraz wewnętrzny wysiłek, jaki podejmujemy w celu wyjścia poza ciasne granice naszego „ja”. Praktyka medytacyjna, którą podejmujemy bez przywiązywania się do jej rezultatów jest niezwykłym wysiłkiem, w którym osiągamy zgodę na to, by rzeczy były takie, jakie są.

By tak się stało nie trzeba nic robić. Każda zmiana pojawia się sama jako uboczny efekt rozwoju świadomości. Ale żeby tak się stało trzeba się bardzo napracować. Bo najtrudniej jest nie robić nic i realizować to, co najprostsze.

# Co się musi stać, by człowiek zmienił swoje podejście do przyrody?

---

Powiedzmy to krótko: nasz oddzielony umysł jest jednocześnie umysłem uzależnionym. Oddzielenie tworzy pustkę, a ona sprawia, że naszych potrzeb nie można nasycić, a to w konsekwencji powoduje powstanie toksycznej zależności od rozmaitych rzeczy. Poza alkoholem, tytoniem czy narkotykami wymienianymi najczęściej w tym kontekście, jesteśmy wszyscy w większym lub mniejszym stopniu zależni od dobrobytu, poczucia kontroli czy posiadania znaczenia. W wymiarze gatunkowym to nasze uzależnienie jest jednym z czynników odpowiedzialnych za destrukcję świata naturalnego.

Na gruncie leczenia uzależnienia od alkoholu wypracowano wiele strategii terapeutycznych. Sięgając do tradycji Anonimowych Alkoholików (AA) znajdziemy niezwykle ważną procedurę pracy nad własnym uzależnieniem, która nosi nazwę 12 kroków AA. Wspomniane kroki w moim przekonaniu mogą stać się inspiracją dla stworzenia propozycji pracy nad własnym uzależnieniem od dobrobytu, które jest niszczące dla przyrody.

Oto wersja 10 kroków dla Natury:

**1. Przyznaliśmy, że jesteśmy bezsilni wobec własnego nienasyceńia, że przestaliśmy kierować własnym życiem.** To początek i jednocześnie przełomowy moment w dokonaniu przemiany. Żeby coś się zmieniło musimy przyznać się przed sobą, że mamy problem, że jesteśmy chorzy. Ale to jeszcze nie wszystko, bo w tym punkcie jest wyraźny element kapitulacji: przestaliśmy kierować własnym życiem. To szczególnie trudne dla nas, ludzi żyjących w kulturze zachodnioeuropejskiej, bo przecież my ciągle (złudnie) wierzymy, że kierujemy własnym życiem. Bez doświadczenia bezsilności i bez kapitulacji naszego „ja” nie może rozpocząć się proces zdrowienia.

Edward Stachura mawiał: Aby wyzdrowieć, wpierw trzeba zachorować. Konfrontacja z problemem jest trudnym momentem, bo robimy wiele, by zaprzeczać temu, że mamy kłopot, ale bez tego kroku nie ma żadnej szansy na zmianę.



## **2. Uwierzyliśmy, że Natura (siła większa od nas samych) może przywrócić nam zdrowie.**

To kolejny element kapitulacji naszego „ja”. Jeżeli „ja” kapituluje i się pomniejsza, na kogo lub na co możemy się zdać? Najczęściej przywołuje się tutaj Boga (jakkolwiek rozumianego). Ja proponuję Dziką Przyrodę, Naturę. Ona też jest Siłą Większą od nas, jest nieogarniętym systemem życia, który podtrzymuje siebie od wielu miliardów lat. Mówimy, że Przyroda jest Największym Nauczycielem. Ten krok to usunięcie siebie z centrum wszechświata, zanegowanie własnej wspaniałości, wszechmocy i samowystarczalności.

Otwarcie się na uzdrawiającą moc Natury w tym punkcie, to odkrywanie w sobie zasobów, które swoje źródło posiadają w porządku przekraczającym nasze „ja”. W tym procesie można odwoływać się do mądrości własnego ciała jako najbliższego nam kawałka dzikiej przyrody, do naturalnych rytmów przyrodniczych (dobowych i rocznych), które zakorzeniają nas w rzeczywistości, wreszcie do Natury na zewnątrz nas, która stanowi nieskończony obszar inspiracji i głębokiej mądrości.

**3. Postanowiliśmy powierzyć naszą wolę i nasze życie Naturze.** Ten krok można określić mianem „kroku akcji”, ponieważ polega na podjęciu działań ograniczających własną wolę i poczucie siły. To jednocześnie jeden z najtrudniejszych kroków, bo w praktyce trzeba dać mu wyraz w samoograniczaniu się, w życiu zgodnie z hasłem: „wystarcza to, co wystarcza” oraz uczeniu się przyjmowania i akceptowania tego, co przynosi nam los. Zauważcie, że chyba wszystkie wielkie religie mówią coś podobnego: akceptacja zamiast walki, pokora zamiast pychy, wiara, nadzieja i miłość wobec Większego zamiast stawiania siebie w centrum. W tym kroku naturalny porządek rzeczy ma wyznaczać priorytety w naszym codziennym życiu. To nie nasze małe „ja” ma dyktować warunki naszej egzystencji, to nie nasze zachcianki i sztuczne potrzeby mają organizować nasze życie i działania, ale uczciwe rozpoznanie, czego tak naprawdę pragniemy i co jest ważne dla naszego życia. Uzyskanie takiego wglądu wymaga zestrojenia się z Naturą i zakwestionowania tyranii własnego „ja”.

**4. Zrobiliśmy gruntowny i odważny rachunek sumienia.** To krok w kierunku uczciwego i pozbawianego zakłamania spojrzenia na siebie. Sumienie jest tutaj głosem naszej dzikiej, prawdziwej natury: naszego Większego Ja. To z tej perspektywy widać, jak

bardzo niszcząc przyrodę, przeciwstawiamy się samym sobie. Każdy z nas ma tutaj coś na sumieniu i w końcu trzeba to do siebie dopuścić i spojrzeć na siebie pełniej.

Efektom takiego rachunku sumienia powinna być wyraźna świadomość tego, jak bardzo występowaaliśmy przeciwko życiu na różnych poziomach rozumienia tego pojęcia. Obejmuje to zarówno krzywdzenie innych ludzi, samego siebie, jak też i innych istot, w tym tych nieożywionych np. rzek. Każda nasza czynność ma wpływ na cały świat i jakkolwiek może powodować cierpienie innych, to w rachunku sumienia przywołujemy jedynie te nasze działania, które wypływały ze świadomych intencji krzywdzenia lub były zakorzenione w naszych egoistycznych skłonnościach.

**5. Wyznaliśmy przed sobą oraz drugim człowiekiem istotę naszych błędów.** To kontynuacja poprzedniego kroku, w którym dokonujemy swoistej „spowiedzi ekologicznej”, również, a może przede wszystkim przed innymi osobami. To wyznanie pozwala nam uporać się z poczuciem winy (które wcześniej przyczyniało się do wypierania problemu) oraz uzyskać poczucie, że inni, których słuchamy również popełniają błędy. Takie wyznanie błędów oczyszcza nas i tworzy odpowiednie warunki do dalszej przemiany. Ten proces ma charakter rozstawania się z bolesną przeszłością, domykania niezafatwionych spraw, które boleśnie ciążyły i zaśmiewały naszą świadomość. Społeczny charakter tej „spowiedzi” sprzyja również rozwojowi świadomości wspólnoty, a także większej akceptacji oraz wewnętrznego spokoju, który jest warunkiem dalszego zdrowienia.

**6. Zrobiliśmy listę istot oraz spraw, wobec których zawiniliśmy. Staliśmy się gotowi do zadośćuczynienia.** Ten krok jest kontynuacją dwóch poprzednich. Tym razem chodzi o konkretne działania mające na celu naprawienie szkód poczynionych wobec przyrody. Zanim jednak to nastąpi, należy uczciwie i konkretnie wypunktować te sprawy, w których świat przyrody poniósł jakieś straty.

Jeśli zaś chodzi o zadośćuczynienie, to oczywiście często trudno jest to zrobić bezpośrednio w tej samej sprawie, w której zawiniliśmy. Tak czy owak, wszyscy jesteśmy jakimiś dłużnikami przyrody i chodzi tutaj raczej o wzbudzenie oraz podtrzymanie naszej gotowości do działania na jej rzecz.

**7. Zadośćuczyniliśmy osobiście w tych sprawach, w których było to możliwe oraz działaliśmy w innych.** W tym punkcie chodzi o to, by konkretnie działać. Jeśli

wcześniej zrobiliśmy listę spraw, w których zawiniliśmy, to teraz przyszedł czas na naprawienie szkód bezpośrednio w danej sprawie lub pośrednio w innej. Każdy z nas codziennie może zrobić coś niewielkiego, co będzie zadośćuczynieniem za doznane krzywdy. Istotna jest tutaj świadomość intencji, które nami kierują oraz uważność na własne działania, które mogą manifestować się w wielu sytuacjach na co dzień.

**8. Prowadziliśmy nadal rachunek sumienia, z miejsca przyznając się do popełnionych błędów.** Okazuje się, że proces pracy nad sobą w tej konwencji nie jest aktem jednorazowym. Nasze małe „ja” nieustannie pragnie stawiać się w centrum, wobec czego ciągle trzeba je detronizować. Służy temu bieżący rachunek sumienia oraz codzienna uważność, przypominająca o tym, że w centrum znajduje się coś większego od nas.

**9. Dążyliśmy poprzez praktykę (rytuały, medytacja) do coraz bliższej więzi z Naturą.** Ten krok wskazuje na duchowy aspekt naszej więzi z Naturą oraz na jej potencjalnie uzdrawiającą moc. Podtrzymywanie więzi z Naturą gwarantuje, że nasza przemiana będzie miała trwałe charakter, że dzięki temu unikniemy kolejnych błędów pojawiających się jako skutek oddzielenia. Okazuje się, że tego rodzaju praca jest nieustannym i niekończącym się procesem, w którym dajemy sobie szansę na stopniowe dojrzewanie i osiągnięcie pełni. Zatem ten krok ma nie tyle charakter uzdrawiający, jak to było w przypadku poprzednich kroków, ale raczej charakter rozwojowy, gwarantujący trwałe wymiar naszej przemiany. W tej przemianie opartej o głęboki związek z przyrodą najważniejszą rolę odgrywa ugruntowywanie pokory i kapitulacji małego „ja”.

Istnieje wiele różnych sposobów i technik praktykowania więzi z Naturą. Część z nich ma charakter indywidualny, inne zaś – grupowy. Niezależnie od tego, jakie sposoby wykorzystujemy, ważne jest to, by odbywały się one regularnie, dając nam gruntowne podstawy przemiany i dalszego rozwoju.

**10. Przebudzeni duchowo w rezultacie tych Kroków, staraliśmy się nieść posłanie innym ludziom oraz stosować te zasady we wszystkich naszych poczynaniach.** Dawanie świadectwa i dzielenie się własnym doświadczeniem na tej ścieżce jest naturalną, i jednocześnie najlepszą chyba drogą pomagania sobie oraz innym. Bez wysiłku i bez walki daje się wyraz temu, co istotne, ważne i zdrowe. W tym sensie nie trzeba nic specjalnie robić, tylko świadomie, uważnie i odważnie kroczyć tą ścieżką.

Oczywiście jeśli chodzi o kontakty z innymi ludźmi, należy to robić z wyczuciem i umiarem. Zarówno narzucanie innym własnych poglądów, jak i ukrywanie tego, co istotne jest niekorzystne. Z czasem, gdy wewnętrzna przemiana zostanie zintegrowana i „przetrawiona”, dylematy – jak zachować się w określonej sytuacji – przestaną być istotne i zaczniemy działać naturalnie i bez wymuszania czegokolwiek, odważnie krocząc drogą środka.

Komu w Drogę temu Teraz!



**KU ŻYCIU**

# Czy obszary chronione powinny być ogólnie dostępne bez żadnych ograniczeń?

---

Jakiś czas temu rozpętała się dyskusja na temat tego, czy w Tatrach zlikwidować ubezpieczenia na szlakach wysokogórskich (łańcuchy, drabinki, klamry). Problem ten tylko z pozoru dotyczy bardzo konkretnej, wybiórczej kwestii związanej z uprawianiem turystyki w wysokich górach. Sprawa łańcuchów w Tatrach bowiem odkrywa znacznie szerszy problem ułatwień turystycznych w parkach narodowych i rezerwach przyrody.

Na przykładzie Tatr od lat borykamy się z prawdziwą inwazją turystów, którzy chcą chodzić i jeździć po tych niewielkich (obszarowo) górach. Co roku jest ich około 3 miliony. Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby wszyscy ci ludzie (a może inni jeszcze by dołączyli) rozeszli się bezładnie po całym terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego, gdyby mogli poruszać się poza wytyczonymi szlakami. Prawdopodobnie skończyłoby się to fatalnie dla tatrzańskiej przyrody. Już teraz, gdy cały ten ruch skanalizowany jest na szlakach turystycznych, przyroda cierpi w wielu miejscach. W Dolinie Kościeliskiej, na Giewoncie czy pod Morskim Okiem często jest tak tłoczno jak w centrum dużego miasta. Władze parku narodowego już od lat głowią się, jak rozwiązać ten problem. Może iść w ślady Słowaków, którzy część szlaków zamykają dla turystów, a część udostępniają wyłącznie z przewodnikiem. Ta reglamentacja przynosi jakieś efekty, choć zawsze można oburzać się, że ktoś (inny człowiek) ogranicza naszą wolność.

A mnie się marzy zupełnie inne rozwiązanie, znacznie prostsze, ale też dużo bardziej radykalne. Otóż nie powinno być żadnych ograniczeń w dostępie do terenów parków narodowych czy rezerwatów! Każdy człowiek powinien móc, jeśli tylko chce, chodzić gdzie chce.

Już słyszę te głosy oburzenia z waszej strony. Za takie heretyckie poglądy jakaś ekologiczna inkwizycja mogłaby nawet palić na stosie tych nieprawomyślnych.

Ale do rzeczy. Obecnie problem dostępności miejsc cennych przyrodniczo postawiony jest na głowie, co sprawia, że sam w sobie jest źródłem kłopotów i zamieszania. Z jednej

strony obszary takie udostępnia się turystom: buduje się drogi dojazdowe, parkingi, hotele lub schroniska, wytycza się szlaki, tworzy punkty gastronomiczne, wyciągi, kładki, zakłada łańcuchy, a wszystko po to, by przeciętny człowiek mógł nacieszyć swe oczy pierwotną (sic!) przyrodą. No więc, jak już cała ta infrastruktura jest postawiona i ludzie zaczynają w ogromnej ilości z niej korzystać (bo są przecież zachęceni), stwierdzamy, że coś jest nie tak. Wtedy to w majestacie prawa wkraczają urzędnicy i decydują, że tu wchodzić wolno, a tu nie. Biedni turyści próbują się w tym jakoś połapać (no bo niby mogą, choć nie mogą), ale na dłuższą metę wszystkim trudno jest zaprzeczyć, że cały ten system jest – lekko mówiąc – schizofreniczny. Chodzi bowiem o to, że próbuje się ingerować infrastrukturą turystyczną w dziewicze miejsca, ułatwiając do nich dostęp zwykłym ludziom, a gdy ci się już zjawiają, stawia się ich w obliczu sztucznych ograniczeń. Tak oto w miejscach najbardziej naturalnych mamy mnóstwo sztucznych ułatwień, które prowokują nienaturalne ograniczenia.

A problemu by nie było, gdyby nie było ułatwień. Wyobraźmy sobie, komu by się chciało iść wiele kilometrów pieszo, by dotrzeć do (zaledwie) rogatek parku narodowego, w sytuacji gdy nie ma tam dróg dojazdowych. Gdyby nie było schronisk czy wyciągów, problem nadmiaru turystów w Tatrach by nie istniał. A gdyby jeszcze zlikwidowano szlaki turystyczne (nie mówiąc już o ubezpieczeniach), komu by się chciało chodzić po tak niepewnym terenie i spać gdzieś w skałach. Komu? Pewnie byłiby tacy szaleńcy. Ci nieliczni, którzy nie boją się nocy spędzonej w lesie, nie muszą mieć łózka, gorącego prysznicza czy zaopatrzonego bufetu. Jest garstka takich szaleńców, którzy gotowi są nosić ciężki plecak z zapasem jedzenia na wiele dni i stosunkowo dobrze znoszą zmęczenie, niewygody, chłód i niepewność. Nie jest ich wielu, więc nie czynią raczej uszczerbku przyrodzie, a poza tym nie są to przypadkowi ludzie. Zwykle są to osoby, które z szacunkiem odnoszą się do tego, co dziewicze. Ten szacunek wyraża się między innymi w tym, że dostosowują się do wymagań gór czy innego miejsca, w którym przebywają, a nie dążą do tego, żeby sobie to miejsce podporządkować, zgodnie z własnymi zachciankami. Prawdziwa turystyka, to taka, która respektuje prawa miejsca, w którym się odbywa. Ci, którzy tego nie potrafią zostają w domu lub wybierają takie miejsca, w których mogą się czuć dobrze. Jak więc widać, w takiej opcji, sprawa dostępności reguluje się sama, nie jest



to kwestia jakichś administracyjnych decyzji, tylko naturalnego procesu, w ramach którego relacja turysta – przyroda układa się na bazie rzeczywistych przesłanek: warunków terenowych i pogodowych czy własnych umiejętności.

Tak czy owak, cały ten pomysł wydaje się nieco utopijny. Ale w Bawarskim Lesie w Niemczech, który ma status górskiego parku narodowego, władze zdecydowały się częściowo niszczyć wcześniej wybudowaną infrastrukturę. Wysadza się np. mosty, po to, by w sposób naturalny limitować liczbę turystów odwiedzających to miejsce. Jeżeli wcześniej powiedzmy przechodziło tamtędy tysiąc osób, to teraz przejdzie może kilka. I o to właśnie chodzi. Pozwólmy, żeby ścieżki zarosły, żeby zabiłżniły się wszystkie rany, jakie zostały zadane przyrodzie na przestrzeni wieków. Niech to, co dzikie, na powrót zawładnie cennymi górami, torfowiskami, rzekami, wydhami i lasami. I wtedy pozwólmy tam ludziom chodzić. Zaręczam wam, że pójdą tylko ci, którzy nie boją się dzikości, którzy sami są dzicy. Swoją drogą, jaka to cudowna szansa dla człowieka, żeby w tych warunkach ponownie zdziczeć. Cudowna szansa dla przyrody i człowieka. Bo jak zawsze na JEDNO to wychodzi!

Krótko mówiąc: cała przyroda powinna być dostępna wszystkim ludziom bez żadnych ograniczeń, ale też bez żadnych ułatwień dla nich.

Likwidowanie łańcuchów w Tatrach jest w tym przypadku na pewno krokiem w dobrą stronę.

# Jakie życie jest dobre?

---

Z pewnością dobre życie to najlepsze życie. Słyszymy o tym ciągle, gdy inni składają nam życzenia z okazji urodzin, imienin czy świąt. Sami też powtarzamy to ludziom na wiele różnych sposobów: „Wszystkiego najlepszego!” Przede wszystkim długiego życia. Sto lat!

Oczekiwanie długiego życia jest jednym z najważniejszych naszych pragnień. Długie życie ma przybliżyć nam pragnienie wiecznego życia. Długie życie jest niejako bliżej wieczności. Nie powinno nas zatem dziwić, że jedną z najważniejszych miar dobrobytu jest oczekiwana długość życia.

To pragnienie długiego życia obnaża jednak bezlitośnie nasz lęk przed śmiercią. Coś, co jest nieuchronne, nieznanne i budzące najsilniejszy chyba lęk chcemy odsunąć jak najdalej w czasie. Im później tego doświadczymy, tym lepiej. Dlatego cała nasza cywilizacja usilnie pracuje nad wydłużeniem życia. Świat, który tworzymy w całości, nastawiony jest na stworzenie optymalnych warunków, w których możemy maksymalizować długość naszego życia. A gdy w końcu dopada nas śmierć, ludzie wokół nas dwoją się i trójają, by choć przez chwilę nasze życie mogło jeszcze trwać. Przykuci do łóżek, podłączeni do aparatury podtrzymującej życie, galernicy dobrobytu dogorywają w cierpieniach, bo inni nie są w stanie pozwolić im tak po prostu umrzeć. W imię czego? Życie musi trwać za wszelką cenę, jak najdłużej. Śmierć jest zawsze porażką. Prawdopodobnie dlatego, gdybyśmy jakimś cudem wynaleźli pigułkę na śmierć, wielu z nas od razu by ją sobie zaaplikowało.

Długie życie stało się fetyszem współczesnej kultury zachodu i w ten sposób wpisuje się w permanentną niezgodę naszej cywilizacji na to, co jest, czyli w tym przypadku na rzeczywistość śmierci. Jak bardzo długie życie jest iluzoryczną wartością widać, gdy głębiej przyjrzymy się samej istocie egzystencji. Co to oznacza: przeżywać swoje życie? Wydaje się, że można je doznawać wyłącznie w czasie teraźniejszym. Nawet przeszłe zdarzenia lub marzenia o przyszłości przeżywa się teraz. Nie istnieje nic poza czasem

teraźniejszym. Jeśli więc umieramy, to zawsze dzieje się to w naszym „teraz” To, co tracimy w momencie śmierci, to zawsze nasze „teraz”. W tym sensie nie ma żadnej różnicy między umierającą staruszką, a umierającym młodzieńcem. I w jednym, i w drugim przypadku każda z osób traci wszystko, czyli swoje „teraz”. Czy jednak młody człowiek nie traci więcej? Ktoś mógłby powiedzieć, że traci on to, czego jeszcze nie przeżył, co jednocześnie ma już za sobą staruszka. Ale i ona prawdopodobnie mogłaby mieć jeszcze coś, czego nie przeżyła: pewnie chciałaby zobaczyć, jak dorastają jej wnuki, jak kończą szkoły, zakładają rodziny i mają swoje dzieci. Te pragnienia nigdy nie mają końca. Prawdopodobnie większość z nas, nawet w zaawansowanym wieku, chciałaby przeżyć jeszcze jedną godzinę, jeszcze jeden dzień, miesiąc, rok... wieczność. Dlatego między staruszką a młodzieńcem w perspektywie śmierci nie ma żadnej różnicy. I jedno i drugie zawsze traci wszystko: swoje „teraz”. Pragnienie, by śmierć była daleko od nas, jest niezależne od tego, ile mamy lat. Dlatego oczekiwanie dłuższego życia jest daremne, bo jakiegokolwiek długie by ono nie było i tak śmierć dopadnie nas w jakimś naszym „teraz”.

Do tego wszystkiego pragnienie długiego życia bezlitośnie obnaża naszą nieumiejętność doświadczenia chwili obecnej. Ciągłe jesteśmy o krok dalej, ciągle chcemy czegoś w przyszłości, co zabiera nam jednocześnie okazję do pełnego doświadczenia naszego „teraz”. Nie doceniamy tego, co jest i dlatego wybiegamy w przód, wyobrażając sobie, że jak już dostaniemy to, czego nie mamy teraz, to dopiero będzie życie. Niestety jak już to mamy, to gnani jesteśmy kolejną wizją odbierającą nam umiejętność cieszenia się tym, co jest. Stąd długie życie zawiera w sobie jakąś magiczną obietnicę. Będzie lepiej! Lepiej niż teraz.

Chcemy długiego życia, bo nie umiemy żyć w teraźniejszości.

Długie życie jeszcze z jednego powodu jest wartością dość iluzoryczną. Otóż zwierzęta w ogrodach zoologicznych żyją przeciętnie dłużej, a nawet dużo dłużej niż te na wolności. Brak wrogów, dostatek jedzenia, opieka weterynaryjna, to wszystko zapewnia dłuższe życie. Ale czy gdyby zwierzęta mogły wybierać, czy wołałyby długie życie w ZOO, czy krótsze na wolności? Co my byśmy na ich miejscu wybrali? To pytanie stawia nas przed dylematem, co jest ważniejsze: długość życia, czy jego jakość. Intuicyjnie, prawdopodobnie bliższe nam jest kryterium jakości niż długości. Co nam po długim

życiu, kiedy przeżywa się je na pół gwizdka, a nawet na ćwierć?

Swoją drogą, ten dylemat skłania nas też do postawienia sobie kilku innych ważnych pytań: jakie koszty płacimy za nasze długie życie i czy przypadkiem, dobrowolnie nie zamknęliśmy się w swego rodzaju ludzkim ZOO, tracąc to, co jest naprawdę ważne?

Czy przebywanie niemal cały czas w zamkniętych pomieszczeniach, które odcinają nas od świata zewnętrznego jest spełnieniem naszych najgłębszych tęsknot? Czy pracowanie po 10 i 12 godzin na dobę, by spłacić kredyty, które wzięliśmy na samochód, dom, meble i telewizory jest tym, czego rzeczywiście pragniemy? Czy siedzenie przed telewizorem, mając do dyspozycji setki kanałów jest spełnieniem naszych snów o wolności? Czy edukacja, której jesteśmy przymusowo poddawani uczy nas najważniejszych rzeczy o świecie i sobie, czy też przygotowuje nas do sprostania oczekiwaniom społecznym, w których trzeba np. „być sobą, czyli pić pepsi”? Tak oto wygląda nasze ZOO, które pokochaliśmy miłością zaślepiającą resztki zdrowego rozsądku, miłością zagłuszającą jakiś wewnętrzny głos pochodzący z naszego serca.

Z pewnością udaje się nam żyć dłużej niż naszym przodkom. Ale co to za życie – chciałoby się rzec. Większość z nas, tak czy owak, będzie bronić tego życia do upadłego. Będziemy na ołtarzu dobrobytu i długiego życia kłaść kolejne ofiary z nas samych oraz ze świata, który nas otacza. Na tym ołtarzu kładziemy spokój umysłu, zaufanie do tego, co jest, umiejętność cieszenia się chwilą obecną, poczucie wolności, głęboki związek ze światem przyrody oraz ostatecznie sam świat, który ginie na naszych oczach.

Jeśli więc poszukujemy naprawdę dobrego życia, to sprawa wydaje się dość prosta: dobre życie to przede wszystkim takie, które nie ucieka za wszelką cenę przed śmiercią. W tym znaczeniu dobre życie, to niekoniecznie długie życie, ale takie, którego jakość jest wysoka i która często (choć nie zawsze) skutkuje rzeczywiście długim życiem. Długość jednak nie jest tutaj celem samym w sobie, a jedynie jednym z wielu skutków ubocznych, które pojawiają się, gdy żyjemy tak, jak należy.

Gdy nie skupiamy się nad tym, by za wszelką cenę żyć długo, to otwiera się nagle to, co jest, czyli ta chwila. Nasza uwaga, nasze myśli koncentrują się na tym, co się dzieje. W tym pełnym doświadczeniu własnego „teraz” wychodzimy poza czas. Niektórzy nazywają ten moment wiecznością lub „bezczasowością”, jednak nie o słowa tu chodzi,

a o proces, w którym wchodzimy w kontakt z prawdziwą rzeczywistością. W tym właśnie zawiera się prawdziwe używanie życia, choć myli się ten, który skojarzy to z folgowaniem sobie i pogonią za jakimiś niezwykłymi doznaniem. Paradoksalnie w takiej pogoni faktycznie mamy do czynienia z ucieczką przed światem, podczas gdy tutaj w pełni do świata wracamy. I dzieje się to niezależnie od tego, co robimy: zmywanie naczyń, cerowanie skarpetek, spacer w lesie czy rozmowa z drugą osobą jest tak samo pełnym doświadczeniem prawdziwego życia.

Właśnie o takim życiu mówili mistycy różnych tradycji, gdy wskazywali na to, że prawdziwą sztuką jest przeżyć jeden dzień. Co tam całe życie – przeżyj jeden dzień w taki sposób, by na 100 procent być obecnym w każdej chwili i traktować ją jako wyjątkową i niepowtarzalną okazję na spotkanie z tym, co jest.

Zatem najważniejszym kryterium jakości życia jest umiejętność przeżywania każdej chwili w sposób pełny. Jeśli tak potrafimy to robić, to z pewnością nie potrzebujemy tych wszystkich poprawiaczy, ułatwaczy i samozadowalaczy, które ciągle podsuwa nam współczesna cywilizacja z rzekomą gwarancją, że jak je sobie zaaplikujemy, to w końcu będzie TO. Nie będzie, bo NIE JEST. Nie potrzebujemy też kurczowo trzymać się myśli, że najlepiej, jak będziemy żyć długo. Nie trzeba żyć długo, by już teraz żyć w pełni!

Dobre życie jest wyjściem z klatki, w której sami się zamknęliśmy. Tam, poza klatką można smakować pełni życia. Poza klatką jest poddanie się procesowi.

Jest życie – tak po prostu.

## Jakie życie jest dobre? Ciąg dalszy.

---

Gdzie szukać kryteriów dobrego życia? Czy te wyznaczniki, z jakimi najczęściej się spotykamy, kierują uwagę na najważniejsze aspekty naszej egzystencji?

Odwołując się jeszcze raz do życzeń, jakie składamy bądź składają nam inni, odkrywamy, że uniwersalnym pragnieniem jest rzeczywistość poprzedzona przedrostkiem „naj...”. Dobre życie, to najlepsze życie. Gdybyśmy mieli czarodziejską różdżkę, prawdopodobnie uczynilibyśmy z naszego życie nieustanne pasmo szczęśliwych, przyjemnych i dobrych zdarzeń. No cóż, wszystko wskazuje jednak na to, że zakończyłoby się to totalną katastrofą dla nas, innych ludzi oraz naszej planety. Gdyby bowiem spełniały się wszystkie nasze pragnienia i moglibyśmy używać sobie bez żadnych ograniczeń, to w końcu...zwymiotowalibyśmy ten dostatek (wcześniej doprowadzając środowisko naturalne do zapaści). To nie tylko jest dosadna metafora, ale zjawisko, które rozgrywa się na naszych oczach. W bogatych społeczeństwach nadmiar jedzenia prowadzi do wielu zaburzeń w odżywianiu (prowokowanie wymiotów jest jednym z nich). Pójście na łatwiznę, co oznacza przyjmowanie przetworzonego (oczyszczonego, tłustego i słodkiego) jedzenia, skutkuje też otyłością oraz innymi chorobami. To, co najlepsze (najsmaczniejsze, najłatwiejsze do strawienia), okazuje się dla nas najgorsze. Najzdrowsze diety, to te, które oparte są na nieprzetworzonych produktach – z którymi nasz układ pokarmowy musi się trochę pogimnastykować – i prostych, niepolepszonych smakach – które generalnie mają niewielu zwolenników.

Już Wolter zauważył, że „ciągle przyjemność przestaje być przyjemnością”. Dzisiaj, gdy mamy już wszystko, okazuje się, że ciągle jesteśmy niezadowoleni, może właśnie tym bardziej niezadowoleni. Nasze głodne i nienasycone małe „ja” marzy wyłącznie o tym, by rzeczywistość była „po jego myśli” Ale to prowadzi jedynie do nadmuchiwania owego „ja”, co skutkuje przerostem arogancji, pychy, dumy i ambicji. Marzenia o totalnej władzy, bogactwie i pomyślności utkane są z szatańskich nici. We wszystkich chyba kulturach baśnie, legendy i mity pełne są nieszczęśników kierujących się wizją totalnej wszechmocy

i bogactwa, którzy ostatecznie muszą ulec zwykłym, prostym (często biednym) bohaterom. Przekaz jest prosty: nadymanie własnego „ja” jest prostą drogą do zguby. Mimo to z owego zadufania uczyniliśmy podstawowy sens naszej cywilizacji.

Wypowiadając życzenia „wszystkiego najlepszego”, faktycznie życzymy tego, co najlepsze nie jest. Życzymy bowiem maksymalnego rozchwiania wahadła, które niechybnie będzie musiało się wychylić w drugą stronę. To, co „najlepsze”, nieuchronnie wystawia nas na konieczność skonfrontowania się z drugą stroną medalu, która pojawi się jako naturalna przeciwwaga pierwszej. Widać to bardzo wyraźnie w przypadku osób, które osiągnęły sukces materialny. Wiele z nich ostatecznie pogrążyło się w alkoholowym, narkotykowym lub nihilistycznym marazmie, zmieniając partnerów w oczekiwaniu na to, że w końcu pojawi się ten idealny. Idealny nie pojawia się nigdzie i nigdy, bo życie za wszelką cenę unika skrajności.

My jednak ponad wszystko pożądamy skrajności. Przyjemność, szczęście, wygoda, długie życie. Tak by się chciało. Cała nasza cywilizacja jest dramatycznym pragnieniem tych skrajności. Na ołtarzu tego marzenia dosłownie zarzynamy Ziemię, a ostatecznie nas samych.

Co więc oznacza dobre życie? Nie najlepsze, najszcześniejsze, najprzyjemniejsze, a jedynie wystarczająco dobre. Oznacza to przede wszystkim zgodę i akceptację tego, co potocznie wydaje się być mało przyjemne. Mówimy tu o cierpieniu, ale pod tym kryją się różnorodne doznania, które dla człowieka są trudne. Zatem, jeśli jest ci smutno, to nie staraj się za wszelką cenę, żeby było ci wesoło. Smutek, płacz, rozpacz czy żal są ważnymi uczuciami, które trzeba umieć przeżywać i mieścić w sobie, akceptując w pełni te stany. Jeśli przeżywasz takie trudne emocje, nie próbuj ich znieczulać alkoholem, tabletkami, narkotykami czy innymi sztuczkami. Pozwól im wybrzmieć, a po jakimś czasie one po prostu odejdą.

Podobnie jest z bólem czy chorobą. Robimy wszystko, by nas nie bolało i by czuć się dobrze. Ale zarówno ból, jak i choroba są ważnymi informacjami dla nas i tłumienie ich tabletkami pogarsza sytuację, jednocześnie nas osłabiając. Najczęściej kupowane przez ludzi leki, to środki przeciwbólowe i uspokajające. To pokazuje naszą totalną niezgodę na to, by było nam źle. A chorobie podobnie jak emocjom też trzeba pozwolić wybrzmieć,

by ostatecznie organizm (z niewielką pomocą lekarzy) uporał się z problemem.

Kolejny problem dotyczy wysiłku fizycznego, za którym nie przepadamy. To dlatego wymyśliliśmy windy, samochody, wyciągi w górach czy nawet pilota do różnych urządzeń. Wstanie z fotela, by zmienić kanał w telewizorze dla wielu z nas jest ponadnaturalnym wysiłkiem. Tak oto spędzamy czas – głównie siedząc i wożąc się – co sprawia, że tyjemy, nasze mięśnie i kości się degenerują, a my gnuśniejemy w jakimś bezwysiłkowym marazmie. A przecież ruch jest potrzebny naszym ciałom jak słońce liściom. Lekarze podkreślają, że warunkiem zdrowia jest między innymi spocenie się pod wpływem wysiłku fizycznego przynajmniej raz dziennie. Ilu z nas jest gotowych na takie poświęcenie? My tak nie lubimy się pocić.

Zatem dobre życie unika wożenia się. Tam, gdzie to możliwe, wybierajmy chodzenie piechotą oraz jazdę na rowerze. Zamiast jeżdżenia windą wchodzimy po schodach. Zamiast wjazdu kolejką na górski szczyt, mozolnie podchodzimy. Najlepiej, jeśli ta aktywność jest wpisana w sposób naturalny w naszą codzienność, bowiem coraz częściej widzimy takie absurdy, gdy ludzie w pracy jeżdżą windą, a później idą do fitness klubu, gdzie ostro biegają na sztucznej bieżni. Gdybyśmy potrafili żyć w sposób zrównoważony, nie potrzebowalibyśmy klubów fitness. To zbilansowane życie dostępne jest każdemu już tu i teraz!

Generalnie wystarczająco dobre życie polega na trosce, jaką obdarzamy nasze ciało, które stanowi nasz mały dom, będący odzwierciedleniem naszego dużego domu – Ziemi. Takie istnienie zadowala się bardziej małym niż wielkim. To życie, które nie tyle odmawia sobie przyjemności, ale które potrafi ją dostrzec i docenić w zwykłych, codziennych przeżyciach i sytuacjach. Proste jedzenie, proste przyjemności bez konieczności odwoływania się do wyrafinowanej infrastruktury współczesnego świata, która ogromnym kosztem ma służyć człowiekowi, a ostatecznie zwodzi go na manowce.

Zatem lepiej pójść do lasu na spacer niż do parku rozrywki.

Warto pojechać na wieś na wakacje, niż lecieć samolotem na drugi koniec świata. Rozsądniej kupić jabłka zamiast bananów. Lepiej położyć się na trawie i obserwować chmury, niż wypożyczyć quada i rozjeżdżać leśne ścieżki.

Pamiętajmy też, że najcudowniejsze i najważniejsze na świecie rzeczy są za darmo.



Nikt nam nie każe płacić za błękit nieba, zachody słońca, zapach łąki i szmer strumienia. Rozmowa z przyjacielem może być ważniejsza niż daleka egzotyczna wyprawa. Uśmiechnięte oczy dziecka są cudowną nagrodą za bliskość, jaką można nawiązać w zwykłym czasie codziennej egzystencji, gdy rozluźnieni nie musimy gonić nie wiadomo za czym.

Najważniejszą tajemnicą dobrego życia jest zaś wewnętrzny spokój, który wypływa z prostej akceptacji tego, co jest wokół. Również z akceptacji śmierci. Jeśli nie ulegamy złudzeniu, że szczęście można znaleźć w otaczającym świecie, jeśli wiemy, że zawsze nosimy je w sobie i że polega ono na akceptacji siebie i świata, to tak naprawdę niczego więcej nie potrzebujemy. Z taką jakością w sobie potrafimy bez poświęcania się zadowolić się tym, co mamy, nawet, jeśli jest tego niewiele.

Bo po prawdzie nie potrzebujemy wiele, by żyć dobrze.

# Jakich dróg potrzebujemy?

---

Prawdopodobnie mało jest spraw, co do których Polacy byliby tak zgodni: niemal wszyscy czekamy na nowe drogi. Chcemy jeździć po równych nawierzchniach, wielopasmowych autostradach – najlepiej szybko i wygodnie. No i żeby te drogi przebiegały jeszcze w urokliwych miejscach, aby móc podziwiać piękne widoki z okna samochodu. Tak by się chciało.

Widać jednak, że takie oczekiwania stoją w sprzeczności z interesem przyrody. Wiemy, jak bardzo i na ile różnych sposobów drogi zagrażają bogactwom naturalnym. W takiej sytuacji próbujemy jakoś równoważyć interesy ludzi i przyrody, wierząc, że możliwe jest pogodzenie obecnego modelu rozwoju cywilizacji – gdzie budowa dróg stanowi priorytet – z zachowaniem wrażliwych ekosystemów. Dwoimy się i troimy, budując przejścia dla zwierząt, omijając co wartościowsze tereny, czy kompensując w innym miejscu straty poniesione przez przyrodę.

Wszystko to wskazuje, że budowę dróg traktujemy jako święty obowiązek i jakkolwiek próbujemy nie niszczyć przyrody, to nikt (nie narażając się na śmieszność, ostracyzm czy etykietkę ekoterrorysty) nie będzie próbował podważać tego jedynie słusznego kierunku. Jest tylko jedna droga i jest nią... droga.

Mimo że może to być trudne do przełknięcia dla naszych pragmatycznie wąsko nastrojonych umysłów, proponuję pozbawić tę świętość blichtru.

Właściwe pytanie nie dotyczy tego, jakich i jak poprowadzonych dróg potrzebujemy, ale tego, dlaczego w ogóle potrzebujemy dróg. Zagłębiając się w ten problem zobaczymy, że drogi są kwintesencją nowoczesnie pojmowanego rozwoju i stanowią podstawowy atrybut globalnego systemu ekonomicznego. Bez nowoczesnych, szybkich dróg współczesny świat nie mógłby istnieć w obecnej postaci. Budując drogi, wspieramy wszystkie te procesy, które stoją za światową gospodarką: dramatycznie narastające nierówności społeczne, wykorzystywanie taniej siły roboczej przez wielkie korporacje, załamywanie się lokalnych rynków i co za tym idzie: rozpad tradycyjnych struktur społecznych (co

skutkuje rozlicznymi patologiami), rabunkowa gospodarka surowców naturalnych i niszczenie przyrody poprzez jej fragmentację. Dlaczego to wszystko? Tylko po to, byśmy mogli jeść banany i pomarańcze zamiast jabłek albo po to, by kolejny, nowszy model komputera kosztował o połowę mniej.

Poza tym lubimy sobie też wyskoczyć gdzieś na weekend i tak bardzo nie chcemy, by korki zepsuły nam ten czas. Nasze życie dramatycznie podzieliło się na niechcianą pracę i smrodliwe miasta, od których to dobrodziejstw próbujemy wyzwolić się czym prędzej z pomocą szerokich dróg, które mają nas zawieść w nieskażone zakątki dzikiej przyrody.

Nie usiedzimy w miejscu. Ciągłe nas nosi, ciągle jeszcze czegoś chcemy i ciągle musimy się przemieszczać.

Drogi są czymś, czego pożądamy i jednocześnie czymś, co zagraża przyrodzie. W tej sprzeczności widać całe szaleństwo naszego świata. Bo z jednej strony widzimy, jak samochody, spaliny, hałas, beton czy asfalt degradują krajobraz i szkodliwie wpływają na życie wokół, a z drugiej strony to właśnie my – jedna z części tego życia – funduje sobie i innym taki prezent. Miejsca cenne przyrodniczo bronimy przed tym wpływem, minimalizujemy koszty i staramy się ochronić to, co dziewicze, a jednocześnie sami tkwimy w tym piekle po uszy. Czy nie zasługujemy na podobną troskę? Czy nie należy nam się odrobina spokoju, ciszy, zdrowego powietrza, wody i nieskażonej ziemi? Dlaczego uwierzyliśmy, że to, co dla nas dobre, jest po drugiej stronie życia? Budując drogi sprzeniewierzamy się sobie, swojej prawdziwej naturze, która umiera pod kolejną warstwą betonu. Chronimy gatunki i miejsca, ale jakoś nie wpadliśmy do tej pory na to, że jedną z najbardziej zagrożonych wymarciem istot na tej planecie jesteśmy my sami. Już czas, abyśmy wpisali się do jakiejś Czerwonej Księgi.

Spoglądając na drogi, widzimy więc cały nasz świat jak na dłoni: pośpiech, nieumiejętność bycia tak po prostu w jednym miejscu, zagubienie, przepracowanie, poczucie niespełnienia, nienasycenie w dążeniu do zaspokajania zachcianek, brak spokoju. Widzimy też nieubłaganą destrukcję świata przyrody. Bo trzeba to powiedzieć wprost: każdy metr asfaltu, to kolejny metr zabrany przyrodzie. Ale nie tylko taki prosty rachunek stoi za tym stwierdzeniem. Każda bowiem droga jest wierzchołkiem góry lodowej, której masywne cielsko jest niczym innym jak destrukcyjnym walcem naszej cywilizacji. Zatem

problem dróg nie leży jedynie w tym, że mogą one naruszyć jakiś konkretny cenny kawałek przyrody. Takie spojrzenie jest krótkowzroczne. Jeśli zaś popatrzymy szerzej, to zobaczymy drogi jako kolejną cegłę w budowlu, która odgradza nas od prawdziwego życia i mu zagraża.

Ktoś powie, że to spojrzenie jest naiwnym idealizmem, bo naszą potrzebą jest pragmatyzm, pozwalający rozwiązywać mądrze kolejne środowiskowe dylematy. No cóż, może jest w tym sporo racji, ale dopóki nie zobaczymy wyraźnie sprzeczności, jakie sami tworzymy, dopóki nie odwołamy się do głębokich toksycznych fundamentów, na których postawiony jest nasz świat i dopóki nie zakwestionujemy podstawowych założeń leżących u podstaw naszej cywilizacji, dopóty kolejne zmiany będą jedynie kosmetycznym tuszowaniem trudnej prawdy. Ta prawda brzmi tak, że z każdą chwilą tracimy życie, od którego zależymy i którym jesteśmy, i to pomimo wielu zabiegów, by nasz świat był bardziej zrównoważony. Paradoks polega na tym, że jesteśmy coraz bardziej zadowoleni z siebie, bo coraz bardziej dbamy o przyrodę. I niestety nie widzimy naszej porażki.

Dlatego ten naiwny idealizm jest dzwonkiem alarmowym, że nie tędy droga. A którą? Jeżeli drogi są zatłoczone i tworzą się korki, to są dwie odpowiedzi. Ta, którą słyszymy wszędzie: mamy za mało dróg. I ta, którą słyszymy rzadko: mamy za dużo samochodów. Może najwyższy czas, by zastanowić się nie nad tym, ile to jeszcze dróg wybudować, lecz jak zniechęcić ludzi do jeżdżenia samochodem. Pojawia się tutaj sporo rozwiązań. Część z nich nawet funkcjonuje tu i ówdzie, jak np. w Londynie, gdzie kierowcy za wjazd do centrum muszą sporo płacić. Ja jednakże jestem zwolennikiem dużo prostszego sposobu. Najlepiej jest nie robić nic. To znaczy nie budować nowych dróg, nie remontować starych. Wiecie, co się stanie? Widzicie to? Totalny korek. Cudowny zastój. Błogosławione spowolnienie.

Dokładnie to, czego potrzebujemy.

Taki korek jest tak traumatycznym doświadczeniem, nie tylko dla pojedynczego kierowcy, ale też dla całej gospodarki, że niechybnie wymusiłby rezygnację z samochodu i próbę radzenia sobie w oparciu o lokalne zasoby. To jest alternatywa dla obecnego świata. Mała skala.

Póki co jednak mamy takie absurdalne sytuacje jak w Tatrach, które zalewane są

tłumami turystów. Zastanawiamy się, jak ograniczyć tę ilość, ponieważ jest ona zdecydowanie za duża. W tym samym czasie debatuje się nad tym, jak zmodernizować Zakopiankę, by mogło nią szybciej dotrzeć pod Tatry jeszcze więcej prawdziwych miłośników przyrody. Jak już zmodernizujemy tę drogę, to przyjdzie czas na to, by w oparciu o najnowsze technologie udoskonalić i powiększyć same Tatry. Bo to przecież nie może być tak, że czegoś chcemy i tego nie dostajemy.

Jakich dróg naprawdę potrzebujemy? Z pewnością nie takich, które chcemy zbudować, ponieważ wszystkie te drogi wiodą nas na manowce. Potrzebujemy takich szlaków komunikacyjnych, które na powrót, tak jak kiedyś, powiążą nas z naszym miejscem, najbliższą okolicą, którą możemy poznać, chodząc na własnych nogach, lub poruszając się skromnymi środkami. Potrzebujemy takich dróg, które powiodą nas do naszych najbardziej podstawowych potrzeb, do naszego serca, w którym nie ma sprzeczności między naszym interesem a interesem naszego otoczenia. To właśnie takich dróg najbardziej dzisiaj potrzebujemy.

Ale cóż, to taki naiwny idealizm.

# Jakiej energii potrzebujemy?

---

Wiemy już dzisiaj z całą pewnością, że ta sielanka nie będzie trwała wiecznie. Od czasu, gdy odkryliśmy zastosowanie węgla, a później ropy i gazu do produkcji energii, uczyniliśmy bezprecedensowy krok w kierunku rozwoju ludzkiej cywilizacji. Nasz świat wyglądałby zupełnie inaczej, gdyby nie te cudowne energetyczne tabletki, które pozwoliły zastąpić wysiłek naszych oraz zwierzęcych mięśni pracą maszyn zasilanych energią paliw kopalnych.

Ale ta sielanka nie może trwać wiecznie. Najpierw uświadomiliśmy sobie, że paliwa kopalne stanowią zasób nieodnawialny, czyli, że w końcu się wyczerpią, a stosunkowo niedawno dotarło do nas, że spalanie tych surowców emituje dwutlenek węgla do atmosfery, co ostatecznie przekłada się na psucie klimatu i wiele problemów dla ludzi oraz środowiska. Głównie z tych powodów poszukujemy intensywnie innych źródeł energii, które nie miałyby wspomnianych dwóch podstawowych mankamentów obciążających węgiel, ropę i gaz.

Dzisiaj podstawowy spór dotyczy wykorzystania do produkcji energii atomu oraz tzw. źródeł odnawialnych, czyli wiatru, wody, słońca i biopaliw. Rzecznicy energii jądrowej przekonują, że jest to energia czysta (bez emisji CO<sub>2</sub>), bezpieczna, względnie tania i dostępna. Przeciwnicy wskazują, że nie jest czysta, ponieważ produkuje najgorszy z możliwych odpadów – radioaktywne substancje zagrażające życiu – których nie można zneutralizować ani bezpiecznie składować. Energia ta nie jest także bezpieczna, bo wiąże się z ryzykiem katastrofy – takiej jak w Czarnobylu – i nie jest tania, ponieważ wybudowanie elektrowni i przechowywanie odpadów generuje ogromne koszty. Obrońcy pozyskiwania energii ze źródeł odnawialnych przekonują natomiast, że energia ta jest stosunkowo dostępna, czysta, niewyczerpywalna, tania i przyjazna środowisku. Antagoniści jednak wskazują, że niekoniecznie tak jest, ponieważ np. elektrownie wiatrowe są drogie, szpecą krajobraz i zabijają ptaki, elektrownie wodne zaś zmieniając krajobraz, negatywnie wpływają na przyrodę i klimat, a energia słoneczna jest niezwykle droga

i mało efektywna. Wykorzystanie biopaliw krytykuje się zaś z powodu emisji CO<sub>2</sub>, innych toksycznych substancji, a także mówi się, że zakładanie plantacji roślin energetycznych negatywnie ingeruje w ekosystemy, co powoduje np. utratę bioróżnorodności.

Tak oto znaleźliśmy się w impasie. Coś się kończy i coś się ma zacząć. Tylko co? Kto będzie w stanie ocenić, które z powyższych przesłanek przyjąć za istotne, a które odrzucić lub potraktować jako mniej ważne? Te dylematy pokazują, że jedyne co nam pozostaje, to wybór mniejszego zła. Jak jednak je oszacować? Kto to ma zrobić, w przypadku gdy mamy do czynienia z przenikaniem się aspektów środowiskowych, ekonomicznych, gospodarczych, społecznych, politycznych czy kulturowych?

W tych energetycznych zmaganiach i przepychankach większość z nas zapomina jednak o podstawowej rzeczy, stanowiącej źródło naszych problemów. Otóż założyliśmy, że problem pozyskiwania energii dotyczy wyłącznie źródła, z jakiego ta energia pochodzi. Podczas gdy naszym podstawowym problemem jest to, że tej energii tyle potrzebujemy. Milcząco założyliśmy, że cywilizacja, jaką stworzyliśmy, jest jedynym możliwym wariantem życia, jakie możemy prowadzić i w związku z tym potrzebujemy jakiejś magicznej i zdrowej tabletki energetycznej, która rozwiązałaby nasze dotychczasowe problemy. Jednak problemem nie jest to, skąd ją wziąć, ale to, że w ogóle jest nam niezbędna.

Takie ustawienie problemu wynika wprost z diagnozy sytuacji, jakiej dokonujemy. Jeśli mówimy, że wszystko jest dobrze i świat ma dalej rozwijać się w taki sposób jak dotychczas, to rzeczywiście będziemy się skupiać wyłącznie na tym, skąd wziąć cudowną tabletkę. Jeśli zaś przyjmiemy, że kierunek rozwoju cywilizacji jest błędny, ponieważ podcina gałąź, na której siedzimy, to nie tyle będziemy poszukiwać nowej tabletki, ile zaczniemy poszukiwać takich sposobów życia, które nie wymagają posiłkowania się tak skoncentrowanymi energetycznie tabletkami.

Zatem sprawą kluczową jest diagnoza obecnej sytuacji. Oczywiście mamy aż nadto dowodów, że sytuacja świata, przyrody i ludzkości jest zła. Na ile gotowi jesteśmy przyjąć tę niewygodną prawdę? Po raz kolejny można powiedzieć, że przypominamy tutaj alkoholika, który łudzi się, że nie ma problemu. A nawet jeśli rozpoznaje problem, to zaczyna go definiować w takich kategoriach, które wzmacniają iluzję, w jakiej tkwi. Może np. zastanawiać się, co powinien pić, by mniej cierpieć. Z pewnością lepiej pić wysokogatun-

kową wódkę niż denaturat. Może też lepiej pić piwo i wino niż wódkę. W końcu piwo i wino w pewnych aspektach są zdrowe. Czy jednak przejście z denaturatu na piwo i wino rozwiązuje problem choroby alkoholowej? Oczywiście, że nie! Jedyne, co go rozwiązuje, to zaprzestanie picia.

Trzeba to powiedzieć bardzo wyraźnie: jesteśmy jako ludzkość, jako cywilizacja, uzależnieni od wysokoenergetycznych substancji, które wykorzystujemy do codziennego „upijania się” naszym przesadzonym dobrobytem. Nasze życie ponad stan wymaga nieustannego dopływu silnie skoncentrowanej energii. Niezależnie od tego, czy pochodzi ona z ropy, atomu, wiatru czy słońca, jest tak samo toksyczna, ponieważ sprawia, że w centrum widzimy jedynie naszą przyjemność, a nie szeroki kontekst środowiskowy.

Nawet jeśli udałoby się wymyślić idealną energetyczną tabletkę – coś co byłoby tanie, czyste, bezpieczne i dostępne – to ostatecznie ten wynalazek obróciłby się przeciwko nam i całemu światu. Wyobraźmy to sobie: tania i czysta energia zostaje zaprzęgnięta w cugle naszych ambicji, aspiracji, pragnień i marzeń. Nowe samochody, pojazdy latające, maszyny, urządzenia, nowe wizje ekspansji naszego świata, który idzie naprzód zasilany cudownym paliwem. Moglibyśmy produkować i konsumować jeszcze więcej. Bralibyśmy jeszcze więcej surowców, produkowalibyśmy jeszcze więcej odpadów, zmienilibyśmy jeszcze bardziej ten świat zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Takie są nasze marzenia i wizje. Przypominają marzenia alkoholika czy generalnie osoby uzależnionej, która śni o idealnej substancji dającej przyjemność i nie powodującej negatywnych konsekwencji.

Na szczęście takiej substancji nie ma, bowiem podstawowy problem polega na tym, że służyłaby ona tworzeniu iluzji, odciąganiu od życia, zwodzeniu nas na manowce. Sprawiałaby, że przestalibyśmy kontaktować się z rzeczywistością taką, jaka ona jest. Kto wie, czy na tym właśnie nie polega podstawowa funkcja naszej cywilizacji.

Jakiej zatem energii potrzebujemy? Czy mamy cofnąć się do czasów, gdy mieszkaliśmy w jaskiniach i wykorzystywaliśmy siłę naszych mięśni. Nawet jeśli ta wizja jest przerażająca, to prędzej czy później może stać się bardziej realna, niż nam się wydaje, jeśli nie zakwestionujemy kierunku, w jakim mamy podążać. A jeśli poddamy go pod wątpliwość, to naszym podstawowym zadaniem będzie nie tyle poszukiwanie nowych źródeł energii, ile radykalne przejście na energetyczną dietę odchudzającą, która spowoduje, że



przestaniemy potrzebować aż tak wiele paliwa do życia, jakie prowadzimy. Nasze rozpasanie oraz marnotrawstwo osiągnęło bowiem przerażające rozmiary. Wystarczy wspomnieć, że amerykański Urząd Ochrony Środowiska i Ministerstwo Gospodarki Energetycznej szacują, że w przeciętnym gospodarstwie domowym 75% całej energii elektrycznej wykorzystywanej do zasilania domowego sprzętu zużywa się w czasie, gdy urządzenia te są **wyłączone**.

Zatem nie tyle chodzi tu o to, by zastąpić stare urządzenia nowymi – bardziej oszczędzającymi energię – ile o to, by stopniowo uczyć się żyć w taki sposób, który nie wymaga włączania tych urządzeń czy kupowania ciągle nowych rzeczy. Życie może być dużo prostsze niż nam się wydaje, a najwięcej energii możemy uzyskać z tej, którą zaoszczędzimy.

To jest oczywiście wielkie wyzwanie wymagające determinacji. Na szczęście, by to zrobić, nie potrzebujemy energii z ropy, atomu czy wiatru. Wymaga to trzeźwego spojrzenia i siły naszego wrażliwego serca.

# Czy wegetarianizm służy przyrodzie?

---

Kiedy mowa jest o wegetarianizmie najczęściej przywołuje się aspekty etyczne związane z dobrostanem zwierząt hodowlanych oraz z samym faktem ich uśmiercania. W tym kontekście wegetarianie kojarzą się z osobami o wrażliwych sercach, które nie chcą przyczynić się do zabijania zwierząt oraz do niehumanitarnego ich traktowania w ramach przemysłowej hodowli. Wegetarianizm – jak wynika z wielu badań medycznych – coraz częściej jest też traktowany jako wybór, który sprzyja w większym stopniu zachowaniu zdrowia. Jak pisze Roman Rupowski w opracowaniu *Wegetarianizm – sposób na życie* „z końcem 1995 r. Federalny Komitet Doradczy ds. Kierunków Dietetycznych zarekomendował Ministerstwu Rolnictwa i Zdrowia USA (Secretaries of Agriculture & Health) dietę wegetariańską jako właściwy i zalecany sposób odżywiania się dla Amerykanów”.

Stosunkowo najrzadziej przywołuje się wpływ tej diety na przyrodę. Jakież było moje zdziwienie, gdy jakiś czas temu w grupie osób z wykształceniem biologicznym rozgorzała dyskusja na temat środowiskowych aspektów diety wegetariańskiej. Osoby w niej uczestniczące nie były świadome powiązań, jakie ma ten rodzaj odżywiania się ze stanem środowiska.

Przypomnijmy więc, że przewaga wegetarianizmu nad dietą mięsną w aspekcie środowiskowym wynika przede wszystkim z charakteru obiegu materii – energii w przyrodzie. Całość energii, jaką przyswajamy z pożywienia, pochodzi ze słońca. Ta energia słoneczna przechodzi przez określony łańcuch nazywany siecią troficzną. W skrócie: rośliny magazynują ją w swoich tkankach, a na kolejnym poziomie roślinożercy – zjadając rośliny – wykorzystują część tej energii. Dalej: drapieżcy – zjadając roślinożerców – wykorzystują zmagazynowaną w ich ciele energię i ostatecznie znajdujące się na końcu łańcucha drapieżniki zjadają swoje ofiary, by w ten sposób skonsumować swój kawałek słońca. Istotne jest to, że na kolejnych poziomach dochodzi do strat energii. Szacuje się, że 1–10% energii danego poziomu troficznego wykorzystywać można przez najbliższy wyższy

poziom troficzny. W konsekwencji z każdego tysiąca kalorii dostępnych producentom pierwotnym (roślinom) zwykle tylko kilkadziesiąt (10–80 kalorii) zużywają konsumenci drugiego rzędu, stanowiący kolejny, wyższy poziom troficzny. Wskutek tak szybkiej redukcji ilości dostępnej energii zwierzęta wchodzące w skład wyższych poziomów troficznych są zazwyczaj o wiele rzadsze od zwierząt, składających się na niższy poziom troficzny.

Ludzie jedzący mięso są drapieżnikami na trzecim lub czwartym poziomie troficznym, co wiąże się z największymi stratami energii w jej obiegu w przyrodzie. Jak się to manifestuje w konkretnych przykładach z naszego życia?

Zgodnie z danymi zawartymi w raporcie Departamentu Rolnictwa USA opublikowanego w ostatniej dekadzie XX w., 87% wszystkich gruntów rolnych w tym kraju jest wykorzystywana bezpośrednio do wypasu lub produkcji paszy dla zwierząt hodowanych na ubój. Ten areał stanowi jednocześnie 45% ogółu gruntów w Stanach Zjednoczonych.

Ponad połowę wody zużywanej w Stanach Zjednoczonych wykorzystuje się w trakcie hodowli zwierząt na ubój. Żeby wyprodukować 1 kg mięsa trzeba zużyć niemal 21 tys. litrów wody. Wyprodukowanie 1 kg pszenicy wymaga 210 litrów wody. Dieta całkowicie wegetariańska wymaga 1100 litrów wody na dobę, podczas, gdy jedzenie mięsa wiąże się z użyciem ponaddziesięciokrotnie większej ilości wody.

Hodowla zwierząt na ubój powoduje w Stanach Zjednoczonych więcej zanieczyszczeń wody niż jakkolwiek inna gałąź gospodarki. Zwierzęta te produkują 130 razy więcej odchodów niż cała populacja ludzka – około 44 tony na sekundę.

Ponad 105 mln hektarów lasów w Stanach Zjednoczonych wycięto po to, by przeznaczyć je na grunty rolne, gdzie produkuje się pasze dla zwierząt hodowanych na mięso. Obecnie deforestacja na potrzeby rolnictwa ma miejsce przede wszystkim w krajach trzeciego świata. Co trzy sekundy znika hektar lasu z przeznaczeniem na pastwisko. Najbardziej pod tym względem narażone są cenne lasy – puszcze tropikalne – które stopniowo zamienia się na ogromne pastwiska. Naukowcy szacują, że aby wyprodukować jednego hamburgera, trzeba wyciąć aż 5 m<sup>2</sup> lasu deszczowego.

W USA zwierzęta hodowane na mięso zjadają ponad 80% uprawianej kukurydzy i przeszło 95% owsa. Światowe pogłowie tylko bydła rogatego zużywa tyle żywności, ile

wystarczyłoby do zaspokojenia potrzeb kalorycznych 8,7 mld ludzi, czyli znacznie więcej niż wynosi obecna populacja ludzka.

Ktoś może oczywiście powiedzieć, że nie da się przeżyć na wyłącznie roślinnej diecie, ponieważ człowiek ze swej natury jest mięsożercą. Nie wchodząc w szczegóły, i nie nakręcając niepotrzebnej polemiki, wystarczy stwierdzić, że gdyby tak było w istocie, to rzesza wegetarian nie byłaby w stanie przeżyć. Jeśli zaś spotykamy wegetarian na wszystkich kontynentach, w każdym wieku i w stale rosnącej liczbie (w samej Polsce jest ich ponad milion), to wniosek jest oczywisty – jest to bezpieczna dla organizmu i zdrowa, pełnowartościowa dieta.

Mimo ogromnych kosztów środowiskowych jedzenie mięsa staje się również coraz bardziej powszechne i popularne. Stanowi bowiem synonim dobrobytu i luksusu. Im bardziej bogate społeczeństwo, tym większe spożycie mięsa. Nawet jeżeli tak jest, to zauważmy, że konsekwencje zdrowotne i środowiskowe pewnych działań coraz częściej poddawane są wartościowaniu moralnemu. Palenie papierosów, wyrzucanie toksycznych odpadów, niehumanitarne traktowanie zwierząt, ostentacyjne marnotrawienie energii, wody i innych zasobów poddawane są osądowi, a wobec ludzi zachowujących się w ten sposób wyrażana jest dezaprobatą. Tak się jednak nie dzieje w przypadku ludzi jedzących mięso. Tutaj ciągle zakłada się, że dieta jest suwerennym wyborem człowieka i nic nikomu do tego. Swoje nawyki żywieniowe poza tym traktuje się jak rzecz świętą. Zmiana tych nawyków wydaje się niezwykle trudna, a ludzie bronią swoich preferencji do upadłego. Widać to też w przypadku oporu wobec konieczności zmiany diety ze względu na wskazania zdrowotne.

Stosunek do wegetarianizmu jest pochodną tych mechanizmów. Jeśli bowiem wegetarianie są w mniejszości, to traktuje się ich jak jedzeniowych dziwaków, którzy coś tam sobie ubzdurali. W końcu przecież każdy ma prawo jeść to, co chce.

Ta relatywistyczna postawa jednak z czasem będzie się stawała coraz bardziej anachroniczna. Okazuje się bowiem, że jedzenie, tak jak i wiele innych naszych zachowań, ma wyraźny kontekst etyczny. I nie chodzi tu wyłącznie o kwestie dobrostanu zwierząt hodowanych na mięso. Prawdopodobnie kluczową stanie się kwestia kosztów środowiskowych, bowiem jedzenie mięsa przez ludzi przyczynia się do ogromnego marnotraw-

stwa energii oraz nadmiernej presji na ekosystemy, które coraz bardziej bezwzględnie podporządkowywane są naszym kulinarnym apetytom. Oczywiście zawsze możemy je uzasadnić dążeniem do przyjemności – mięso jest takie smaczne. Tej przyjemności nie da się zastąpić niczym innym. Ale z podobnymi dylematami spotykamy się w innych obszarach naszego życia: długi prysznic jest przyjemniejszy niż krótki, luksus jest lepszy od skromnego życia, a jazda quadem po górskich bezdrożach jest (może) wygodniejsza niż mozolne wspinanie się z plecakiem. Mimo to próbujemy tutaj powściągnąć nasze zachcianki, bo przecież nawet, jeśli wszystko nam wolno, to nie wszystko jest korzystne. Okazuje się więc, że jednym z najważniejszych zadań, przed jakimi stoimy, jest stopniowe rezygnowanie z własnej przyjemności i odkrywanie głębszych korzyści, które przekraczają nasz jednostkowy interes.

Nasz sposób odżywiania się będzie stopniowo zyskiwał aspekt etyczny, choć tak naprawdę nigdy nie był go pozbawiony.

Jaki z tego płynie wniosek dla mięsożerców? Czy masowo mamy przechodzić na wegetarianizm? W moim przekonaniu nie jest to konieczne, szczególnie dla osób, które lubią jeść mięso. Konieczne jest natomiast ograniczenie ilości zjadanego mięsa oraz wyraźna świadomość konsekwencji naszych codziennych wyborów dla życia na naszej planecie. Jedzenie mięsa tylko raz w tygodniu pozwala zaoszczędzić taką ilość energii, która jest porównywalna do tej, jaką zaoszczędzilibyśmy, montując kolektory słoneczne i moduły fotowoltaiczne. Wychodząc poza zero-jedynkowy schemat myślenia, można jeść niewiele mięsa i tym samym przyczynić się do poprawy sytuacji zwierząt oraz kondycji środowiska. Ważny bowiem jest krok (nawet niewielki) we właściwą stronę niż absolutne dążenie do nieosiągalnego dla siebie ideału.

# Kim jest ekolog?

---

Ekolog, podobnie jak słowo ekologia, w obecnych czasach zmienił zupełnie pierwotne znaczenie. Gdyby być precyzyjnym, to trzeba by powiedzieć, że ekolog jest przedstawicielem dyscypliny naukowej, jaką jest ekologia. Zatem jako naukowiec zajmuje się zależnościami, jakie występują w środowisku: między organizmami oraz między organizmami a fizycznymi aspektami środowiska. Paradoksalnie osoby wpisujące się w taką definicję rzadko kiedy są tymi, którzy z tzw. ekologami w potocznej świadomości są utożsamiani. Mury uczelni i instytutów naukowych pełne są naukowców, którym stan środowiska jest dalece obojętny. Pochłonięci badaniami nad wybranymi problemami, starając się o kolejne granty czy stopnie kariery naukowej, pozostają głusi na prawdziwe wyzwania dotyczące stanu środowiska. Prawdopodobnie brakuje im też pogłębionej refleksji filozoficznej rozpoznającej problemy współczesności – ta nie mieści się w coraz wąsko pojmowanej i praktykowanej specjalizacji naukowej. Oczywiście od tej reguły są też wyjątki, niemniej jednak smutnym pozostaje fakt, że Wydziały Ochrony Środowiska wielu szkół są takimi tylko z nazwy.

Jeśli więc będziemy poszukiwać tak zwanego ekologa, to odnajdziemy kogoś, komu bardziej odpowiadałoby określenie: aktywista ekologiczny. Aktywista jest kimś, kto podejmuje praktyczne działania zmierzające do zmiany jakiegoś stanu rzeczy. W tym przypadku będzie chodziło o zachowanie i ochronę miejsc, gatunków zwierząt i roślin czy ogólnie – dobrego stanu środowiska naturalnego. Takie osoby, często bez kierunkowego wykształcenia biologicznego angażują swój czas i energię, by w różny sposób pomagać przyrodzie. Dlaczego to robią? Sami aktywiści uzasadniają to złym stanem środowiska i negatywnymi zjawiskami związanymi z rozwojem cywilizacji. Dlatego kluczową rolę odgrywa tutaj diagnoza obecnego stanu świata. Przywoływane w tym miejscu są dokumenty, raporty i analizy różnych instytucji, które pokazują, w jakim stopniu środowisko jest degradowane. Ale te informacje są też w posiadaniu wielu innych osób (np. wielu naukowców), którzy jednak nie podejmują w związku z tym jakichś zdecydowanych

działań. Dlaczego więc aktywiści angażują się? Jaka jest motywacja tych osób? Co sprawia, że człowiek jest w stanie znosić niewygodę, narażać się na ostracyzm, ponosić koszty finansowe czy inne dla ratowania Ziemi?

W badaniach, jakie prowadziłem kilka lat temu, okazało się, że kluczową rolę odgrywa tutaj tożsamość człowieka, czyli to, co stanowi treść odpowiedzi na pytanie: „Kim jestem?”. To, jak na nie odpowiadamy, uzależnione jest od rozwoju naszego „ja”, które z biegiem lat obejmuje stopniowo coraz większy zakres obiektów: zaczynając od własnego ciała przez emocje, myśli, własną grupę i szerszą wspólnotę (ludzkość), aż po cały materialny świat (również w jego duchowym wymiarze). Nasze zachowanie zawsze sterowane jest interesem „ja”, dlatego kluczowe jest to, z czym to „ja” się identyfikuje, co stanowi jego treść. Jeśli np. człowiek identyfikuje się z własną grupą społeczną, to jego zachowaniem kierują głównie normy, wartości i role wyznaczone w obszarze wspólnoty. Dobre jest to, co jest korzystne dla społeczności. Dlatego też pomoc kieruje się jedynie wobec „swoich”. Kolejnym krokiem w rozwoju jest przekroczenie myślenia w kategoriach dobra własnej grupy. Człowiek zaczyna identyfikować się nie tylko ze „swoimi”, ale także z ludźmi jako takimi. Przekraczając etnocentryzm, potrafi dostrzec swoją korzyść w dobrostanie ludzi, niekoniecznie przynależących do tej samej, co on grupy i nawet wtedy, gdy nie wymagają tego normy społeczne.

Szczególnie interesujące jest jednak to, że w owym poszerzaniu własnej tożsamości można pójść jeszcze dalej. Wtedy człowiek utożsamia się z całym materialnym światem. W ten sposób, podobnie jak wcześniej pozostawił utożsamianie się z własną grupą na rzecz identyfikacji z ludzkością, tak teraz porzuca antropocentryzm na rzecz identyfikacji z wszystkimi żyjącymi istotami. Ken Wilber, jeden z wybitnych współczesnych filozofów, tak oto pisze o ekologicznym „ja” w swojej książce *Krótką historią wszystkiego*:

„Nie jesteś częścią natury, natura jest częścią ciebie. Właśnie z tego powodu troszczysz się o naturę jak o własne płuca czy nerki. Z twojego serca płynie spontaniczna etyka środowiskowa i w zupełnie nowy sposób patrzysz na rzekę, liść, sarnę, drozda”.

W przeprowadzonych przeze mnie badaniach okazało się, że połowa aktywistów ekologicznych odpowiadała na pytanie „Kim jestem?” w sposób, który wskazywał na istnienie owego szerokiego „ja”. Inne badania zaś pokazują, że większość ludzi zorien-

towana jest na siebie, bądź własną grupę, co sprawia, że w działaniach dbają o interes wyłącznie swój lub „swoich” (rodziny, klubu sportowego, narodu, współwyznawców jakiejś religii czy rasy).

Można by w tym miejscu zapytać, co jest przyczyną takiego rozwoju tożsamości aktywistów? Kluczowym wydaje się tutaj bliski i nieuwarunkowany kontakt z dziką przyrodą, podczas którego człowiek może stopniowo rozluźniać ciasny gorset własnego egocentryzmu, narcyzmu i antropocentryzmu. Dłuższe przebywanie – najlepiej samotne – w dzikiej przyrodzie pozwala na odkrywanie osobistej zależności od tego, co wokół. Daje możliwość doświadczania bliskości i podobieństwa z tym, co pozornie znajduje się na zewnątrz. Ów proces poszerzania własnego „ja” wydaje się czymś romantycznym. Takie też były początki rodzącego się w Stanach Zjednoczonych w XIX wieku ruchu ochrony przyrody, który zainicjował powołanie pierwszych parków narodowych. Henry Thoreau, John Muir czy inni aktywiści ekologiczni byli prawdziwymi miłośnikami dzikiego życia, spędzając sporo czasu w dziczy.

Współcześni aktywiści mają coraz mniej w sobie tego romantycznego ducha. Uzbrojeni w komputery, większość czasu spędzają na redagowaniu pism urzędowych, przy których bardziej istotna jest znajomość prawa czy umiejętność postępowania się Exelem niż identyfikowanie się z Matką Ziemią. Praca w organizacjach pozarządowych zajmujących się ochroną przyrody coraz częściej traktowana jest jak okazja do zdobycia doświadczenia w zarządzaniu projektami, które nie tyle służy rozwijaniu własnej osobowości, ile zdobyciu kompetencji i kolejnych szczebli kariery. Profesjonalizacja aktywistów jest prawdziwym znakiem czasu, jest wyrazem próby wciągnięcia do gry przez system niszczący przyrodę tych, którzy dla tego systemu są kłopotliwi. Gdy aktywiści zaczynają grać w tę grę stają się bardziej przewidywalni, można ich kontrolować i lepiej pacyfikować. Uczucia i emocje, które są najtrudniejsze do okiełznania, stanowią najlepsze uzasadnienie działań w obronie przyrody. Gdy te zostają odsunięte i zneutralizowane, tęgie umysły, za którymi stoi potężna cywilizacyjna machina, są w stanie udowodnić i uprawomocnić wszystko.

Jako ludzie zawsze mamy rację. Niestety. Dlatego tak ważne jest, by pójść do lasu i głęboko wdychając powietrze odpuścić sobie ten myślowy przymus. Noc spędzona pod



gołym niebem znaczy więcej niż stos analiz i najlepsze nawet ekspertyzy. Z tego powodu aktywista ekologiczny z prawdziwego zdarzenia powinien kilkadziesiąt dni w roku spędzić w dziczy, doświadczając na własnej skórze chłodu lub ciepła, wachając zapachy, pijąc wodę ze strumienia czy obserwując chmury sunące po błękitnym niebie. Ta szczególna praktyka może sprawić, że aktywista rozwinie w pełni własne ekologiczne „ja”, które przyczyni się do tego, że bez przemocy i kurczowego przywiązania do założonych celów, będzie bronić tego, czym sam jest.

**NATURA  
NAJWIĘKSZYM NAUCZYCIELEM**

# Co mi daje dzika przyroda?

---

To jedno z najważniejszych pytań, które możesz sobie zadać. Jest ono tym ważniejsze, im bardziej spychamy dzikość na margines naszego świata. Wiemy, że rozwój cywilizacyjny nieuchronnie pociąga za sobą cywilizowanie świata, a więc zamianę dzikości, tego, co nieokiełznane i naturalne na kontrolowane, przewidywalne i ludzkie. Zauważmy, że większość ludzi unika dzikiej przyrody. Jeżeli nie ma w niej ścieżek, dróg, schronisk, hoteli, sklepów, to tylko nieliczni zapaleńcy zapuszczają się w takie miejsca. W związku z tym prawdziwie dzikich miejsc nie jest dużo. I z każdym dniem jest ich mniej.

Dzikość jest też procesem, który toczy się bez ingerencji człowieka. Jest tym, co się dzieje: pory roku, cykle życia i śmierci, zależności między poszczególnymi elementami środowiska. Wszystkie formy istnienia, które przecież są treścią tej dzikości w naturalny sposób poddają się jej. Jedynym wyjątkiem jest człowiek, który próbuje ją kontrolować i na nią wpływać.

Co więc jest takiego w dzikości, że od niej uciekamy?

Czym jest dzika przyroda?

Moim zdaniem dzikość jest naszą Pierwotną Naturą. Jest naszym Pierwszym Dorem. Jest naszą Prawdziwą Twarzą. Niestety identyfikując się z naszym małym „ja”, bardzo się jej boimy, ponieważ dzikość jest nieprzewidywalna, zmienna i tajemnicza. To wszystko nieuchronnie przywołuje w nas świadomość własnej śmierci, której tak bardzo nie chcemy. Trzymamy się zatem kurczowo naszego małego „ja” i zmieniamy świat, po to, by w iluzji kontroli i stałości choć przez chwilę zredukować czający się zewsząd lęk. W tym procesie to, co dzikie, spychane jest ciągle na margines naszej świadomości. Ale dzikość w nas jest jak uporczywa czkawka, która nie pozwala o sobie zapomnieć. Zatem ciągle trzeba jakoś się z nią zмагаć. I już wydaje się nam, że w tej walce wygrywamy, gdy tymczasem staje się coś takiego, że po raz kolejny musimy konfrontować się z dzikim procesem. Bo jakkolwiek w kontrolowaniu rzeczywistości zaszliśmy daleko, to dzikość ciągle przypomina nam, że ta wojna wygrana nie jest. I być nie może.

Jednakże życie w tym permanentnym stanie konfliktu z (dziką) rzeczywistością jest źródłem nieustannego napięcia i lęku. Mimo, iż dzika bestia trzymana jest w klatce, to nigdy nie mamy pewności, że się z niej nie wymknie i nie zrobi czegoś, co nas przerazi. Im bardziej staramy się ją kontrolować, i im bardziej wyrafinowane klatki wymyślamy, tym – paradoksalnie – obawa jest większa. Tak oto w procesie cywilizowania świata i siebie nigdy nie zaznajemy spokoju.

Co mi daje dzika przyroda? Tak! Ona daje przerażenie i lęk. Czy tego właśnie się spodziewałeś? Ale pozwól, że dodam: jest to prawdziwie błogosławiony stan. Jeżeli oczywiście otworzymy się na niego w pełni i pozwolimy sobie na doświadczenie tej przeszywającej grozy do końca. Bo cóż tak na dobrą sprawę możemy utracić? Jeżeli nie będziesz uciekał od tego lęku w zabawę, pracę, oglądanie telewizji, czytanie książek, używki czy jakkolwiek inną przymusową aktywność, to może uda ci się odkryć, że jedyne, co możesz utracić, to... własne małe „ja”. Nasze „ja” jest zbroją, która miała nas chronić przed lękiem, którego źródłem jest niepojęta, zmienna i nieokiełznana rzeczywistość. Jest ono właśnie tą klatką, w której zamykamy świat i samych siebie. Staje się ostatecznie tym, co stwarza problem zamiast go rozwiązywać. Więc pozbycie się tej zbroi jest aktem prawdziwej odwagi, ale też i ulgi, że oto kończy się wojna, która tyle nas kosztowała.

Jeżeli więc uczciwie i odważnie potrafisz przyjąć tę dziką perspektywę, w której „ja” stopniowo się rozplywa, jeśli potrafisz wytrzymać z nią, to może będziesz tym szczęśliwcem, który odkryje, że za tą stratą otwiera się cudowna rzeczywistość. Otwiera się dzikość, w której nie ma przywiązania do małego „ja”, w której rozpoznajesz się we wszystkim, co jest i jednocześnie w sposób niewymuszony godzisz się na wszystko, co się pojawia. W tym stanie spontanicznie znika przymus gnania na oślep w cywilizacyjnym pędzie zmieniania rzeczywistości, czy manipulowania sobą (swoimi uczuciami) oraz innymi ludźmi. Mówiąc najkrócej, w tym stanie nic już nam nie grozi i nie ma się czego bać.

Co zatem daje mi dzika przyroda? Daje mi lęk i przerażenie, po to, abym mógł odkryć, kim naprawdę jestem. Bym zobaczył swoją Prawdziwą Twarz i w tym stanie nigdy więcej już się nie lękał. Dzikość daje mi szansę powrotu do siebie po to, aby stwierdzić, że nigdy od siebie nie odszedłem, że od zawsze i w każdym momencie byłem dzikością, byłem

swoim Pierwszym Domem. Pierwszym i jedynym, jaki jest.

To prawdziwa śmierć za własnego życia, po której śmierć nigdy już nas nie dotyka. Bo nie ma już nikogo, kto może umrzeć. Bo dzikość jest wieczna.

Tu i teraz.

# Czym jest kontrola?

---

Wydaje się, że coraz lepiej sobie radzimy. Potrafimy zarządzać procesami biologicznymi lasu, po to by otrzymywać drewno w odpowiedniej ilości, przy zachowaniu trwałości samego lasu. Dysponujemy zwierzyną, zasobami wody czy innymi bogactwami naturalnymi. Uprawiamy rośliny i hodujemy zwierzęta, a ostatnio nawet dokonujemy manipulacji genetycznych po to, by uzyskiwać odpowiednie dla nas organizmy. Ale to jeszcze nie wszystko, ponieważ zarządzamy też sami sobą. Kreujemy swój wizerunek, co często wiąże się z odpowiednim modelowaniem własnego ciała. Odchudzamy się lub budujemy tkankę mięśniową, a gdy to nie pomaga, to idziemy do chirurga, by ten poprawił to i owo. Podobnych zabiegów dokonujemy też na własnym „ja”, które ma być takie, jak sobie wymyślimy, najlepiej niezależne, wewnątrzsterowne i dobrze radzące sobie w każdej sytuacji.

Czy jest coś, co nie podlega naszej kontroli?

Z pewnością ciągle jeszcze poza naszym wpływem jest pogoda. Dlatego właśnie zawsze jest dobry powód, by na nią narzekać, bo albo jest za ciepło, za zimno lub za sucho czy mokro. Ach, jakby to było cudownie, gdyby można było nastawiać sobie samemu odpowiednią pogodę...

Poza naszą kontrolą jest też śmierć, która w końcu przyjdzie po każdego z nas, czy tego chcemy, czy nie. A pewnie byśmy nie chcieli, o czym świadczą te wszystkie zabiegi mające przedłużyć nasze kruche życie.

Obecnie kontrolujemy znacznie więcej spraw niż jeszcze kilkaset lat temu, a nawet kilkanaście lat temu. Czyż dzięki telefonom komórkowym nie potrafimy lepiej kontrolować swojego życia? Ta wszechobecna kontrola ma nam oczywiście pomagać żyć i lepiej się czuć, ale zauważmy, że im więcej mamy spraw na głowie (a tym objawia się kontrolowanie), tym trudniej o wolny czas, brak pośpiechu i spokój umysłu. Jest w tym jakiś paradoks, ponieważ cały rozwój współczesnej cywilizacji, z jego nowinkami technicznymi ma nam pomóc lepiej sobie radzić z życiem, a ostatecznie prowadzi do pędu, braku czasu

dla siebie i permanentnej frustracji, że rzeczy jednak nie zawsze idą zgodnie z planem (choć powinny).

Podobnie jest z naszym biednym małym „ja”, które poddane jest ogromnej presji, by być skuteczne, asertywne, twórcze i zadowolone. „Wszystko zależy od ciebie”, „głowa do góry”, „wygrywaj”, „idź do przodu”, „uśmiechnij się” – wszędzie wokół słyszymy takie komunikaty i takie oczekiwania, przy których nie ma miejsca na smutki, bezradność czy chwilę odpoczynku. Ilu z nas jest w stanie sprostać tak wysoko postawionej poprzeczce? Ale właśnie dlatego wielu z nas cierpi na depresję, coraz więcej jest zagubionych i przegranych (swoją drogą ci, którzy są w stanie dotrzymać tego szaleńczego tempa i wszystko mają pod swoją kontrolą, bardzo często kończą na oddziałach kardiologicznych, bo ich serce nie wytrzymuje presji, pośpiechu i braku odpoczynku).

Dlaczego tak usilnie próbujemy kontrolować to, co wydaje się całkiem dobrze radziło sobie bez naszej ingerencji? Przyczyną jest prawdopodobnie lęk naszego oddzielonego „ja”, które obawia się, że wyrzucenie poza krąg natury może skończyć się dla nas źle. Poniekąd jest się czego bać, bo stawiając się poza albo ponad przyrodą rzeczywiście ryzykujemy, że dostaniemy po tyłku. Stąd próbujemy złapać te wszystkie sznurki i pociągać za nie, by uchronić się przed nieprzewidywanymi konsekwencjami. Ale niestety kolejny paradoks jest taki, że kontrolując coraz więcej, bardziej alienujemy się od świata. Im więcej nadzoru, tym więcej oddzielenia i tym silniejszy lęk. Co robić? Kontrolować jeszcze bardziej!

Ta spirala oddzielenia, lęku i kontroli eskaluje się w nieskończoność i jest podstawowym motorem napędzania cywilizacyjnej spirali rozwoju za wszelką cenę i bezwzględ- nego parcia do przodu.

A wszystko dlatego, że nie potrafimy cierpieć po ludzku. Unikamy trudności i ucieka- my przed tym, co nieprzyjemne, zabezpieczając się nadmiernie przed bolesnym doświad- czeniem. Oczywiście każdy organizm próbuje unikać tego, co nieprzyjemne, jednak gdy w końcu coś przykrego się zdarza – czego nie da się uniknąć – przyjmuje taką sytuację w pełni i doświadcza tego, co jest. Można by powiedzieć, że taka jest naturalna kolej rzeczy: życie zawiera w sobie i to, co przyjemne, i to, co nieprzyjemne. Być w zgodzie z naturą, to przyjmować te stany takimi, jakimi one są, bez szczególnego przywiązywania

się do jednego bądź drugiego bieguna. My natomiast próbujemy za wszelką cenę nie dopuścić do siebie cierpienia i dlatego cały czas staramy się kontrolować rzeczywistość. Gdy nie potrafimy spać – tabletka na sen, gdy rano jesteśmy zmęczeni – napój energetyzujący, gdy nieszczęśliwi – środek poprawiający nastrój. Nawet niewinny ból głowy uśmierzamy od razu tabletką, byleby tylko nie zobaczyć, że ten objaw może coś ważnego powiedzieć nam o naszym życiu. A ból i przykre doświadczenia zawsze są ważną informacją dla nas, której powinniśmy uważnie słuchać i wykorzystać ją w codziennym życiu. My jednak ciągle zagłuszamy ten głos i udajemy, że wszystko jest w porządku.

Wydaje się, że nieumiejętność cierpienia, odcinanie się od tego doświadczenia powoduje bardzo poważne konsekwencje, których wspólnym mianownikiem jest... jeszcze większe cierpienie. Ten mechanizm prawdopodobnie leży u podłoża wszystkich problemów psychicznych i zaburzeń emocjonalnych, z którymi borykają się ludzie. Stanowi też bezpośrednią przyczynę różnorodnych uzależnień, w które wnikają się ludzie, próbując w sposób nałogowy regulować swoje życie emocjonalne, czyli robić wszystko, by unikać cierpienia. A prawda jest taka, że problem cierpienia może być rozwiązany jedynie poprzez połączenie się z nim. Jeśli jesteśmy w stanie je w sobie pomieścić, doświadczyć go i przeżyć, to wtedy cierpienie przestaje mieć destrukcyjny i toksyczny wymiar.

Uczenie się tej trudnej sztuki odbywa się prawdopodobnie we wszystkich gabinetach psychoterapeutycznych, ale też w bliskim kontakcie ze światem przyrody. Natura bowiem uczy nas, że życie składa się z doświadczeń przyjemnych i przykrych, a jedynym sposobem, który pozwala sobie z nimi radzić jest przyjęcie ich w pełni jako koniecznych i ważnych doświadczeń życiowych. Na tym właśnie polega życie. Odkryć to możemy, wnikliwie obserwując świat przyrody, przyglądając się różnorodnym zjawiskom i to nie tylko ze świata przyrody ożywionej, ale również tej nieożywionej.

Z pewnością jednak nie to chcielibyśmy usłyszeć. Ciągłe marzy nam się rzeczywistość, w której nie będzie trudnych doświadczeń. W końcu życzymy sobie wszystkiego najlepszego i pomyślności. Tak oto skazujemy siebie i innych na zupełnie nierealistyczną i niebezpieczną grę, w której jesteśmy zmuszani do zdobycia totalnej kontroli nad sobą i światem.

Ta gra przyjmuje postać walki z kornikami, przymusu regulacji rzek, modyfikowania



genetycznego organizmów czy podawania zwierzętom rutynowo z paszą antybiotyków. Zagłuszamy to, co nie pasuje do naszych wyobrażeń i w ten sposób niszczymy cały układ, prowokując jeszcze poważniejsze problemy.

Tak oto świat wydaje się coraz bardziej obcy i zagrażający, a my zamknięci gdzieś w swoich sterylnych klatkach laboratoriów i doskonale czystych mieszkaniach z przyklejonym reklamowym uśmiechem i jednocześnie coraz większą pustką w środku, łykamy kolejną tabletkę, która sprawi, że nie musimy konfrontować się z tym, co jest.

Nasza permanentna kontrola przestała być adekwatnym radzeniem sobie z rzeczywistością, a stała się przymusowym nawykiem, bez którego nie jesteśmy w stanie funkcjonować. Dlatego przymus kontroli przynosi nam i światu więcej szkody niż pożytku.

A chodzi tylko o to, by nie przesadzać. Struna naciągnięta za bardzo – pęknie, naciągnięta za słabo – nie wyda dźwięku. Wszystko wskazuje na to, że ta struna lada chwila może pęknąć, a my mimo to próbujemy dalej ją naciągać.

Droga środka czy droga równowagi zakłada, że w naszym życiu są rzeczy, na które mamy wpływ i takie, które są poza naszym wpływem. I niech tak zostanie.

Pozwólmy kornikom zabijać świerki, a starym drzewom spokojnie umierać i zamieniać się w ściótkę, podczas gdy my jednocześnie pozyskujemy jakąś część drewna z lasu. Pozwólmy wilkom zjadać sarny, bo wtedy możemy z ulgą odetchnąć i być spokojnymi o przetrwanie podrostu. Pozwólmy sobie na słabość we własnym życiu, na to, żeby odpoczynek równoważył się z pracą. Pozwólmy też sobie na to, by nasz organizm sam poradził sobie z przeziębieniem zamiast faszerować go kilogramami leków. Bądźmy naturalni, a nie tacy, jacy mamy być, realizując jakiś dziwny program zarządzania sobą.

A gdy przyjdzie po nas śmierć, pozwólmy sobie na godne odejście, bo nie ma nic gorszego niż kurczowe łapanie się życia odbierające mu godność i powagę.

Cierpmy i cieszymy się po ludzku. Bo to wszystko jest takie proste, a gdy my zaczynamy w to ingerować, staje się zagmatwane i skomplikowane.

W najważniejszej modlitwie świata chrześcijańskiego mówimy: „bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi”.

Beatlesi w pięknym hymnie religijnym śpiewają: „niech tak będzie”.

A ludzie uzależnieni proszą: „Boże, daj mi pokorę i pogodę ducha, by przyjmować to,

czego zmienić nie mogę, daj mi odwagę i siłę, by zmieniać to, co zmienić mogę – i daj mi mądrość, by móc odróżnić jedno od drugiego”.

I niech tak się stanie!

# Czym jest uważność?

---

Wstaję rano z łóżka, idę myć zęby. W czasie szczotkowania myślę, co też będę jadł na śniadanie. Gdy jem, moje myśli wędrują do spraw związanych z pracą. Podczas pracy zastanawiam się, co też mam do załatwienia, kiedy będę w drodze do domu. W domu myślę o wakacjach, o spacerowaniu po lesie. Gdy jestem już w końcu w tym lesie, moje myśli ciągle wędrują do spraw, które zostawiłem w domu.

Czy znacie to z własnego doświadczenia?

W naszym umyśle ciągle odtwarzana jest jakaś taśma z myślami, obrazami i sprawami, które mamy do załatwienia. Ciągłe jesteśmy krok do przodu. Zanim gdzieś wyruszymy, myślimy gdzie będziemy szli, gdy już idziemy, zastanawiamy się, jak to będzie, gdy dojdziemy, a po dojściu już planujemy kolejną sprawę. Tak oto nigdy nie jesteśmy tu i teraz. Zawsze albo prawie zawsze krążymy gdzieś w przyszłości lub w przeszłości, zonglując swoimi myślami. A może to nasze myśli ciągle manipulują nami, nie pozwalając dostrzec tego, co jest?

Czyż to wszystko nie przypomina snu?

Wygląda na to, że przeżywamy nasze życie w jakimś uśpieniu i poruszamy się jak w transie, mamieni ciągłym jazgotem naszych myśli.

Cywilizacja, którą stworzyliśmy dodatkowo wpisuje się w ten cały myślowy rozgardiasz ze swoim pośpiechem, nastawieniem na cel za wszelką cenę, agresywną rozrywką, reklamą, nerwowym chodzeniem po sklepach czy uzależnieniami, które pozwalają nam nie kontaktować się z rzeczywistością. Na zewnątrz nieustanny cywilizacyjny jazgot; wewnątrz nieustanny myślowy jazgot zręcznie nakręcany przez pędzący na oślep świat. Robimy wszystko, by nie doświadczać życia, choć z pozoru może się wydawać, że właśnie korzystamy z niego w maksymalnym stopniu. Skaczemy przecież na bungee, jedziemy daleko na wakacje, szalejemy na nartach czy imprezujemy do białego rana. Robimy to wszystko rzekomo po to, by w końcu poczuć smak prawdziwego życia. Ulegamy przeświadczeniu, że prawdziwe, pełne i autentyczne życie wymaga specjalnych

przedsięwzięć, a te oczywiście pieniędzy, które musimy zarabiać w mozolnym trudzie bezbarwnej codziennej egzystencji. Tak czy owak, ciągle coś musimy robić, starać się i poszukiwać takich atrakcji, by nasz umysł dał się wciągnąć w jakiś narkotyczny stan świadomości. Fajerwerki muszą być coraz bardziej wymyślne. Tak oto poprzeczka zostaje coraz wyżej zawieszana, a my stoimy pośrodku tej wirującej karuzeli świata znudzeni i zde gustowani, z coraz większym poczuciem niespełnienia. Ile potrzebujemy kanałów w telewizorze? Pięć, pięćdziesiąt, a może pięćset? Siedzimy więc przed tą współczesną kapliczką z pilotem jak z różańcem i przerzucamy kanały, mając nadzieję, że w końcu coś nas zainteresuje. Szukamy prawdziwego życia i ciągle mamy poczucie porażki. Pcha nas ono następnie do ciągłego działania, do robienia czegokolwiek, bo jeżeli nie, dopada nas jakiś dziwny niepokój. Ale to właśnie ten niepokój jest wyraźnym sygnałem, że obawiamy się życia, czyli tego, co jest tu i teraz. Że korzystając z życia, faktycznie uciekamy przed nim.

Gdzie więc jest to prawdziwe życie? Gdzie go szukać? Można by powiedzieć „szukajcie, a **nie** znajdziecie”. Bo przecież nie trzeba szukać tego, co jest zawsze. Nie trzeba robić nic, bo moje życie jest właśnie teraz. Życia można doświadczać wyłącznie w czasie teraźniejszym. Ta chwila, która jest, stanowi absolutnie pełną i wyjątkową okoliczność. Tej chwili niczego nie brak. Ale my ciągle czekamy na coś jeszcze, ciągle jeszcze czegoś nie mamy albo ciągle do czegoś usilnie dążymy. I tak oto budujemy swój świat oparty na permanentnym poczuciu braku i niezgody na chwilę obecną. Cały ten cywilizacyjny gmach jest wielkim krzykiem protestu wobec rzeczywistości takiej, jaka jest. Stanowi głos protestu wobec życia z jego niewymuszoną prostotą.

To właśnie dlatego budujemy wyciągi w górach – bez nich góry wydają się takie nudne. To dlatego kupujemy tysiące niepotrzebnych rzeczy – bez nich musielibyśmy spotkać się ze sobą, z innymi, ze swoim „teraz”. To dlatego ciągle musimy gdzieś jeździć, najlepiej po szerokich autostradach, goniąc szczęście – bez tego musielibyśmy się zatrzymać i ryzykowalibyśmy, że wtedy to szczęście mogłoby złapać nas.

Uciekamy od życia tak szybko i skutecznie, że ono nie jest w stanie nas dogonić.

A co się dzieje, gdy na to w końcu pozwalamy? Cóż, dzieją się tak proste i banalne rzeczy, że może szkoda o nich pisać. Ale może właśnie dlatego to doświadczenie prostoty

świata staje się jednym z najbardziej niezwykłych doświadczeń, jakie mogą stać się naszym udziałem.

Błękit nieba staje się bardziej niebieski, a trawa bardziej zielona. Łyk wody obmywa każdą komórkę naszego ciała, oddech jest łagodnym falowaniem całego kosmosu, a śpiew drozda to najpiękniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszeliśmy. Kiedy jesteśmy uważni, nie istnieje nic prócz tej chwili, która jest najlepszym z darów ofiarowanym nam przez wszechświat. Ten pełny kontakt z życiem sprawia, że to doświadczenie przepływa przez nas niczym fala i porywa nas w swój nurt. Ostatecznie zostajemy pochłonięci przez chwilę, która jest i roztapiamy się w tym doświadczeniu, stopniowo tracąc swoje granice. To właśnie w takim momencie mamy poczucie, że nie istnieje nic prócz tego śpiewu drozda. „Nie istnieję ja, który słyszy dźwięk dzwonu – istnieje tylko ten dźwięk” – jak powiedział kiedyś pewien mnich przeniknięty na wskroś przez doświadczenie swojego „teraz”. W takiej chwili czas przestaje istnieć, ta krótka chwila staje się wiecznością, a raczej momentem beczasowym.

Podobnie jest z przykrymi doświadczeniami. Przed nimi bronimy się jeszcze zacieklej, bo wydaje się nam, że otwierając się na życie zostaniemy przez nie pokiereszowani i stłamszeni. To dlatego uciekamy od cierpienia za wszelką cenę, za cenę pełnego życia. Nie potrafimy tak po prostu cierpieć. Ale gdy w końcu zdobędziemy się na odwagę, to okaże się, że w tym przepływie nasze oddzielone „ja” stopniowo się rozpuszcza i doświadczony ból jest ostatecznie łatwiejszy niż wcześniej podtrzymywany i czający się ciągle lęk przed tym bólem.

Już lepiej doświadczyć cierpienia, niż ciągle się przed nim bronić, budując mur lęku. Mur, który ostatecznie oddziela nas od życia.

Żeby praktykować uważność w ten sposób nie potrzebujemy żadnych specjalnych akcesoriów. Nie potrzebujemy żadnej egzotycznej eskapady, żadnej nowej zabawki czy gadżetu. Jedyne, czego potrzebujemy, to odpuszczenia sobie. Odpuszczenia nawet tego, że może nam się nie udawać bycie uważnym. Wiec, jeżeli łapię się na tym, że zamiast widzieć, słyszeć i doświadczać tego, co jest, moje myśli zwodzą mnie w stronę jakichś różnych spraw, to uśmiecham się do siebie łagodnie i po prostu zauważam, że właśnie się to dzieje. Odpuszczając sobie w ten sposób napięcie i kontrolę, można na

spokojnie stopniowo zanurzać się w rzekę życia, praktykując uważność w każdej chwili.

To oznacza przeżywanie tej chwili, jakby była twoją ostatnią. Bo w istocie tak jest – każda chwila jest absolutnie jednorazowa. Wchodząc w nią w pełni, płynąc w niej i stając się nią, w końcu umieramy dla swego małego „ja” i dotykamy wieczności.

Dzięki uważności zmywanie naczyń jest tak samo pełnym i niezwykłym doświadczeniem jak egzotyczna podróż. Czyż nie brzmi to jak herezja? Ale jeżeli tak właśnie nie potrafimy przeżywać swojego życia, to świadczy to jedynie o naszym głębokim upośledzeniu, które ostatecznie przekłada się na tworzenie świata pędzącego na oślep ku samozagładzie.

Naszym ratunkiem jest uważność – zapomniana i coraz rzadziej praktykowana sztuka doświadczania tego, co jest. Uważność, która przyjmuje życie w pełni bez stawiania mu jakichś warunków.

Jak wyglądałby nasz świat, gdybyśmy tak potrafili żyć?

# Czy jest miejsce na duchowość w ochronie przyrody?

---

Ekologia i duchowość. Jakie macie tutaj skojarzenia? Czyż nie jest tak, że połączenie tych dwóch określeń przywołuje obrazy jakichś dziwnych praktyk, podejrzanych guru, tajemnych rytuałów i zamkniętych grup, które jednoznacznie kojarzą się z sektą? A niech ktoś jeszcze wypowie to przerażające słowo „satanizm” i już wszyscy wiedzą, że ci niewiedzeni ekolodzy są odpowiedzialni za całe zło świata.

Z tych właśnie powodów ruch ekologiczny boi się duchowości jak diabeł święconej wody. Jaka duchowość? Do czego niby ona ma się przydać? Tak oto mamy do czynienia niemal wyłącznie z tak zwanymi organizacjami eksperckimi w obszarze ruchu ekologicznego. Zajmują się one konkretnymi problemami ochrony środowiska i w swoich działaniach korzystają z autorytetów naukowych, podpierają się badaniami i ekspertyzami po to, by skutecznie osiągać swoje cele. Tak naprawdę nie ma w tym nic zdrożnego – z pewnością potrzebujemy sporo pragmatyzmu w działaniach chroniących przyrodę. Czy jednak to pragmatyczne podejście zupełnie wystarczy?

Dzisiejszy świat jest do cna laicki. Religia i duchowość stały się niemal wyłącznie sprawą prywatną, która nie powinna wchodzić w sferę życia publicznego. Dlatego proces laicyzowania naszej kultury objął również ruch ekologiczny, który odcina się wyraźnie od religijnych skojarzeń. No chyba, że dotyczy to św. Franciszka z Asyżu, którego można nosić na ekologicznych sztandarach bez wystawiania się na krytykę. Ale jest tak wyłącznie dlatego, że św. Franciszek związany jest z katolicyzmem, czyli dominującą religią w naszym społeczeństwie. Biedaczyna z Asyżu jest bezpieczny, bo nie kojarzy się z sekciarstwem. Wszystko inne jest już podejrzany New Age.

A kiedyś było inaczej. Nasi dalecy przodkowie nie oddzielali życia społecznego od sfery duchowej. Mało tego, tak naprawdę duchowość przenikała każdy aspekt życia: od polowania, poprzez narodziny potomka, aż po zabawę. Manifestacją Ducha były zwierzęta, kamienie, zjawiska atmosferyczne, drzewa, a w końcu cały wszechświat. Te

pierwotne wierzenia nie były jakąś oddzielną częścią wiedzy na temat świata, tak jak jego sprawy nie istniały poza kontekstem religijnym. Wszystko to tworzyło doskonałą całość, w której poszczególne elementy życia i religijnych wyobrażeń na temat świata wzajemnie się przenikały. Później stopniowo wierzenia religijne się antropocentryzowały, co oznacza, że człowiek w coraz większym stopniu zawłaszczał sobie Boga i odcinał go od środowiskowego kontekstu. Tak jak człowiek alienował się od przyrody, tak też jego Bóg był coraz mniej związany z materialnym światem. W końcu na stałe zamieszkał gdzieś w zaświatach. A gdy człowiek poczuł się siłą płynącą z wiedzą naukową i osiągnięć technologicznych, mógł już z dumą stwierdzić, że Bóg umarł albo nie jest mu do niczego potrzebny. Co ciekawe, jeszcze w starożytnej Grecji filozofia, czyli umiłowanie mądrości, była ścieżką duchową, w której chodziło nie tyle o zrozumienie świata, poznanie go, ale o duchowy rozwój, czyli osiągnięcie pełni człowieczeństwa. Filozof to był ktoś, kto przede wszystkim praktykował (w sposób religijny) to, co głosił, po to, by zrealizować siebie. Przyglądając się współczesnej filozofii zajmującej się głównie językiem i metodologią nauk, widać wyraźnie jak daleko odeszliśmy od owego umiłowania mądrości i duchowej głębi.

Więc gdy dzisiaj ruch ekologiczny jest do bólu ekspercki i oparty na informacjach, wykresach i tabelach, dostrzegamy, że brakuje mu owej duchowej iskry, tego umiłowania mądrości, które było cechą starożytnych filozofów. Odkrywanie duchowości w ochronie środowiska nie jest jakimś sztucznym zabiegiem czy ideologiczną fanaberią. Jest raczej naturalnym powrotem do tego, co było istotną częścią naszego doświadczenia przez większą część ewolucji gatunku ludzkiego. Spójrzmy na to w ten sposób: oddzielenie duchowości od różnych sfer życia jest wynalazkiem, który liczy sobie zaledwie kilkaset lat. Ten okres czasu nie jest nawet mrugnięciem oka w skali rozwoju człowieka jako gatunku. Cóż jest więc tutaj fanaberią, w dodatku taką, która bezlitośnie kawałkuje nasze doświadczenie i każe nam odcinać od całości coraz to nowe, istotne elementy naszego życia?

Dzisiaj mówimy, że potrzebujemy jak nigdy dotąd zadawania głębokich pytań. To właśnie one konfrontują nas z takimi kwestiami jak życie i śmierć, byt człowieka i jego miejsce w systemie życia. Zastanawiamy się, co jest ważne, właściwe, jak żyć, dlaczego



niszczymy przyrodę, co jest naszą tęsknotą. To zadawanie sobie głębokich pytań powoduje, że w naszym funkcjonowaniu jest więcej uważności, powściągliwości wobec własnej mocy, jest więcej gotowości do poddania się i współistnienia z tym, co jest. Pytania obnażają i redukują naszą arogancję, zapatrzenie w siebie oraz pozwalają nam zyskać niezbędny dystans do rzeczywistości. To właśnie dzięki nim dochodzimy do jednej z najważniejszych odpowiedzi, jaka może pojawić się w naszym życiu: NIE WIEM.

Zadając sobie głębokie pytania, praktykujemy duchowy wgląd, który prawdopodobnie jest naszym jedynym ratunkiem. Tego rodzaju praktyka nie jest oczywiście związana z jakąś konkretną doktryną religijną. Nie odwołuje się do dogmatów, prawd absolutnych, miejsc kultu czy kapłanów. Nie wymaga specjalnych strojów, powtarzania formułek, czy kładzenia pieniędzy na tacy. Jest wyłącznie indywidualną ścieżką, którą można włączyć w jakikolwiek nurt religijny, który jest bliski konkretnemu człowiekowi.

Zadawanie tych pytań nie ma być jednak jakąś wyrafinowaną intelektualną grą umysłu. Nie chodzi tutaj o żonglowanie pojęciami, teoriami i koncepcjami. Chodzi bardziej o wgląd, który pojawia się poza słowami, który jest stanięciem oko w oko z tajemnicą.

Jednym z najważniejszych sposobów praktykowania głębokich pytań jest intymny kontakt z naturą. Będąc w lesie, słuchając ptaków, obserwując chmury, czy przyglądając się płynącej rzece, możemy otworzyć się na mądrość przekraczającą nasze ludzkie rozumienie świata. Wobec przyrody możemy stanąć jak naukowiec z głową pełną koncepcji i widzieć tylko to, co już i tak znajduje się w naszym wszytkowiedzącym umyśle. Możemy też stanąć jak uczeń przed mistrzem, od którego chcemy się czegoś nauczyć. Wtedy niezbędne jest opróżnienie naczynia naszego umysłu, by w tej przestrzeni mogła zaistnieć nowa jakość. By usłyszeć przekaz, jaki przychodzi do nas z naturalnego świata. To właśnie dlatego tak ważną rzeczą jest pozostawanie w stanie NIE WIEM. Zatem zadawanie głębokich pytań w kontakcie z przyrodą nie służy poszukiwaniu odpowiedzi, ale służy łączeniu się z tajemnicą, byciu razem z nią bez wykonywania zbędnych ruchów. To wcale nie jest takie łatwe, bowiem tajemnica jest nieznanym, jest czymś niepokojącym, a my tak bardzo lubimy wszystko wiedzieć od razu, co ostatecznie odziera tajemnicę z jej subtelного charakteru.

Natura jest naszym największym nauczycielem, który ciągle do nas coś mówi i uczy

nas najważniejszych rzeczy o sobie i o świecie. Jak prawdziwy mistrz nie daje jednak prostych i gotowych odpowiedzi, a bardziej zachęca do praktykowania uważności i podtrzymywania umysłu w stanie NIEWIEM.

Tak czy owak, zadawanie głębokich pytań jest praktyką duchową i jeżeli ruch ekologiczny będzie się od tego ciągle odcinał, to albo zredukuje swoje działania do spraw czysto technicznych (np. gdzie najlepiej poprowadzić kontrowersyjną drogę), albo też wpadnie w pułapkę walki na życie i śmierć z tymi, którzy niszczą Ziemię.

W naszych działaniach ochroniarskich potrzebujemy głębokiego duchowego wglądu po to, by lepiej chronić przyrodę, ale też i po to, by po prostu pięknie żyć.

# Zamiast zakończenia, czyli jak się to wszystko skończy

---

Podjęmowane przez nas działania prośrodowiskowe wypływają wprost z niepokojącej diagnozy dotyczącej stanu środowiska naturalnego, ale też kondycji człowieka i tworzonej przez niego cywilizacji. Chcemy uchronić świat przed nadciągającą katastrofą. Warto jednak w tym miejscu uświadomić sobie, że niezależnie od tego, czy nasze działania zakończą się sukcesem, czy nie, czeka nas ten sam koniec.

Podstawową zasadą wszechświata jest bowiem zmiana. Każda cząsteczka, organizm czy układ na jeszcze wyższym poziomie zorganizowania jest procesem, a nie jakimś statycznym, nieruchomym zjawiskiem. A to sprowadza się do tego, że pojawia się, trwa przez jakiś czas w określonym zakresie, a następnie odchodzi, co oznacza, że przekształca się w jakąś inną formę, która rozpoczyna kolejny cykl. Podlega mu cały znany nam wszechświat z galaktykami, gwiazdami i planetami. Potrafimy określić wiek wszechświata, rozpoczynając od Wielkiego Wybuchu do chwili obecnej. Próbuje też przewidzieć scenariusz dalszego rozwoju z możliwym końcem obecnego układu. Nasza planeta również uczestniczy w tej wędrówce przez czas. Narodziła się około 4,5 mld lat temu z mgławicy słonecznej, następnie zakwitła cudownym bogactwem życia, które ostatecznie zostanie zniszczone razem z materią nieożywioną za kilka miliardów lat. Zanim Ziemia zostanie pochłonięta przez pęczniejące Słońce, życie skończy się wcześniej z powodu wyparowania oceanów lub zmiany składu atmosfery. Gatunki zamieszkujące Ziemię niezależnie od tego, co stanie się z naszą planetą mają swój własny schemat rozwojowy. W każdym przypadku oparty jest on na procesie powstawania, trwania przez jakiś czas, a następnie odejścia w niebyt w dotychczasowej formie. Prawie wszystkie gatunki kiedykolwiek zamieszkujące naszą planetę już nie istnieją. Ich czas się skończył, choć przecież materia, z której się składały wciąż krąży m.in. w naszych ciałach. Człowiek jako gatunek, który powstawał od ok. 2 mln lat temu i ostatecznie wyewoluował ok. 200 tys. lat temu, podlega temu samemu prawu przemiany. Za jakiś czas, czy tego chcemy,

czy nie, odejdziemy w niebyt, zasilając jakąś kolejną formę istnienia. Ludzkie cywilizacje i kultury także rodziły się, osiągały rozkwit, a następnie upadały, dając początek jakiejś nowej strukturze. Zanim wyginieemy jako gatunek z pewnością rozstaniemy się z obecnie dominującą cywilizacją przemysłową, która przekształci się w jakąś inną postać. Scho- dząc na jeszcze niższy poziom refleksji trzeba ostatecznie powiedzieć, że każdy z nas, jak wszystko inne podlega temu niezwykłemu tańcowi. Rodzimy się, dojrzewamy, osiągamy pełnię swoich możliwości rozwojowych, a następnie stopniowo się degenerujemy, co ostatecznie prowadzi do śmierci.

Śmierć rozumiana bardzo szeroko – jako koniec pewnej formy – jest podstawowym zjawiskiem, z jakim mamy do czynienia na wszystkich poziomach organizacji materii i życia. Śmierć jest atrybutem zmienności, jest warunkiem istnienia procesu. Gdyby nie śmierć, nie byłoby życia, nie byłoby nawet jakiegokolwiek reakcji chemicznej. Tlen i wodór, łącząc się w cząsteczkę wody umierają na swój sposób, ponieważ tracą swe indywidualne właściwości na rzecz zupełnie innej formy, charakteryzującej się całkowicie odmiennymi cechami. Gdyby nie było śmierci, życie na naszej planecie stałoby się nie do zniesienia i ostatecznie skończyłoby się jakąś katastrofą, czyli... śmiercią. Gdybyśmy żyli wiecznie jako ludzie, zarznelibyśmy niechybnie w krótkim czasie Ziemię i sami ostatecznie wystalibyśmy się w niebyt. Gdyby nie było śmierci, komórki naszego ciała by nie obumierały, co doprowadziłoby do takiego przyrostu masy ciała, że nie pomieściłyby nas żadne, nawet największe budynki, jakie stworzyliśmy. Życie istnieje tylko dlatego, że istnieje śmierć. Stąd nasze sny o nieśmiertelności są bardzo niezyciowe. Są niebezpieczne, bo sprzeciwiają się najbardziej podstawowej zasadzie rzeczywistości.

Nie będzie nas.

Cieszymy się zatem, bo to prawdziwie dobra nowina.

Wielu z nas wierzy też w inną dobrą nowinę. Wierzymy, że jako istoty nie tylko cielesne nosimy w sobie coś stałego i niezmiennego, coś, co nie podlega podstawowej zasadzie zmienności wszystkiego. Nasza dusza, ludzki duch, czy umysł ma ostatecznie połączyć się z Absolutem, który ma niematerialną formę. Ta intuicja i tęsknota za stałością ma uzasadnienie w procesach, które obserwujemy zewsząd. Formy są nietrwałe i zmienne, ale powstają z pewnej niezmiennej i tajemniczej osobliwości. Nazywamy ją

Pustką, Bogiem, Absolutem, Duchem, Tajemnicą, Zasadą, Drogą. Przypisujemy jej określone atrybuty, niemniej jednak uczciwie jest powiedzieć – za mistykami – że nie wiemy o tym nic, że jedyne co możemy powiedzieć o tym, to NIE WIEM.

Na pewno zaś wiemy to, że jako istoty ludzkie jesteśmy śmiertelni i dzielimy to doświadczenie razem ze wszystkim, co jest – od bakterii po gwiazdy.

Jeśli chodzi o znany nam świat, o naszą cywilizację, to warto zastanowić się, ile czasu nam zostało. Na jakim etapie jesteśmy i co nas czeka w najbliższej przyszłości. Jak już wielokrotnie o tym wspominałem, obecnie pojawia się coraz więcej sygnałów świadczących o zbliżającym się przesileniu. Rozwój, który sobie zafundowaliśmy w znanym wariacie, charakteryzuje się w podstawowym wymiarze rosnącą nierównowagą. Mówimy, że gospodarki rozwijają się w sposób niezrównoważony, co oznacza, że nie biorą pod uwagę szerokiego kontekstu środowiskowego. Dotyczy to np. współczesnego, przemysłowego rolnictwa, które jest coraz bardziej niewyważone. Wielkoobszarowe gospodarstwa i farmy wymagają ogromnych nakładów energii i pochłaniają mnóstwo surowców. Uprawy muszą być silnie nawożone i chronione toksycznymi związkami chemicznymi. Mechanizacja, wprowadzanie GMO, stosowanie antybiotyków, hormonów czy innych jeszcze substancji oraz duża ilość odpadów, powoduje ostatecznie degradację ekosystemów oraz produkcję marnej jakości produktów spożywczych, którymi się karmimy.

Nierównowaga jest zjawiskiem, które można analizować nie tylko z perspektywy globalnej, ale również na poziomie naszego jednostkowego życia. Ile czasu poświęcamy na pracę, ile na odpoczynek, spotkanie z bliskimi? W jaki sposób wykorzystujemy czas wolny? Czy rozrywka, z której korzystamy jest zrównoważona? Czy żeby wypocząć musimy lecieć daleko samolotami lub jechać samochodami, powiększając tym samym znacząco nasz negatywny wpływ na ziemski ekosystem? Nasz ślad ekologiczny jest jedną z najlepszych miar nierównowagi, w jakiej tkwimy. A nierównowaga prowokuje przeciwną siłę, która staje się częścią procesu ostatecznie zmierzającego do przywrócenia równowagi. Na tym polega przesilenie, które nas czeka.

Szczególnie ciekawym i użytecznym narzędziem do analizy stanu nierównowagi współczesnego świata jest proces entropii. Odwołuje się on do drugiego prawa termodynamiki. Mówi ono, że masa (energia) mogą być przemienione tylko w jednym kie-

runku, to znaczy ze stanu użytecznego w bezużyteczny, z dostępnego w niedostępny, z uporządkowanego w nieuporządkowany. Prawo entropii mówi nam, że wszystko we wszechświecie (gwiazdy, gorąca herbata, nasza cywilizacja, porządek w pokoju czy ludzkie życie) ma początek w określonej strukturze czy wartości, która następnie nieuchronnie zmierza w kierunku chaosu i rozpadu. Porządek i ład zawsze wymagają energii, która podczas zamiany w pracę zostaje bezpowrotnie tracona – choć nie znika nigdy – i rozprasza się. Zatem wszystko ostatecznie zmierza do stanu nieuporządkowania, chaosu, który zdaje się być stanem ostatecznej równowagi czy jak fizycy mawiają – śmierci cieplnej. Jeśli więc staramy się utrzymać gdzieś wyspy ładu i porządku, to zawsze wymaga to energii, która następnie w formie rozproszonej powiększa nieład w otaczającym środowisku.

I tutaj właśnie tkwi podstawowa przyczyna obecnego kryzysu ekologicznego. Z jednej bowiem strony mamy coraz bardziej wypieszczone mieszkania i domy, jeździmy lepszymi samochodami, jemy przetworzone jedzenie, mamy nowszy sprzęt komputerowy i coraz bardziej wyrafinowane technologie, ale z drugiej strony kosztem, który musimy wziąć pod uwagę jest powiększający się nieład w środowisku w postaci góry śmieci, truczyn w glebie, wodzie i powietrzu, zmian klimatycznych czy wymierających gatunków.

Proces cywilizacyjny, czyli tak zwany rozwój, wymaga coraz większych nakładów energii, która nieubłaganie powiększa obszar chaosu i zniszczenia. Wyspa ładu i porządku, jaką stanowi nasza cywilizacja jest utrzymywana dzięki dramatycznie powiększającemu się chaosowi, który obserwujemy w środowisku. Im więcej wygody i luksusu w naszym życiu, tym większa entropia (rozkład), która objawia się w różnych obszarach naszego i nie tylko naszego życia.

Traktując prawo entropii jako podstawową zasadę widać wyraźnie fałszywe założenia, na jakich oparty jest nasz świat. Przede wszystkim sądzymy, że cywilizacja jest sposobem na osiągnięcie powszechnego szczęścia budowanego na materialnym dobrobycie. Tak się jednak nie dzieje: wraz ze wzrostem dobrobytu nieubłaganie rośnie też entropia w postaci patologii społecznych czy zniszczenia środowiska. Wierzmy też, że gospodarka może rozwijać się w nieskończoność pomnażając wskaźniki bogactwa, podczas gdy prawda jest taka, że tak zwany rozwój jest ostatecznie drogą w kierunku chaosu

i rozproszenia. Jeżeli jest coraz lepiej, to znaczy, że jest coraz gorzej. Utrzymanie bowiem takiego świata, jaki znamy, kosztuje nieustannie powiększającą się skalą entropii.

Każda cywilizacja może być rozumiana jako specyficzny system zapewniający wykorzystanie energii w celu utrzymania szczególnej formy porządku. Nasza współczesna cywilizacja razem z systemem ekonomicznym, istniejącymi instytucjami i stylem życia ludzi została w całości oparta na wykorzystaniu tak zwanych nieodnawialnych źródeł energii, głównie ropy naftowej, gazu i węgla. Dzięki temu, że w tych surowcach energia zawarta jest w postaci silnie skoncentrowanej (w odróżnieniu np. od mocno rozproszonej energii promieniowania słonecznego), doświadczamy dosłownie cywilizacyjnej eksplozji, która w ciągu zaledwie kilkuset lat diametralnie zmieniła oblicze naszej planety. Niestety ten rozwój pociągnął za sobą dramatyczne skutki środowiskowe, które mogą być rozpatrywane jako powiększająca się entropia świata. Nasz sukces jest katastrofą dla świata, a jako że jesteśmy jego częścią jest też katastrofą dla nas samych.

Jednak mądrość procesu polega na tym, że tam, gdzie jest największa nierównowaga, tam też pojawia się najsilniejsza tendencja do przywrócenia stanu równowagi. Co to dla nas oznacza? Niewątpliwie oznacza to zmianę obecnego układu, a to może wiązać się z końcem cywilizacji, jaką znamy. Sami prowokujemy to przesilenie. Paradygmat entropowy wskazuje również na to, że im jesteśmy cywilizacyjnie silniejsi, tym stajemy się coraz słabsi. Widać to np. na poziomie naszego ciała. Przebywając ciągle w „cieplarnianych” warunkach, degenerujemy się fizycznie. Naturalne mechanizmy adaptacyjne, które ewoluowały przez miliony lat, w pomieszczeniach, w których przebywamy, są bezużyteczne i „wyłączone”, sprawiają też, że jak przychodzi co do czego i musimy radzić sobie z chłodem, zarazkami czy innymi czynnikami środowiskowymi, to doświadczamy dyskomfortu lub załamujemy się. Każde kolejne pokolenie jest słabsze, bo przestaliśmy się „ćwiczyć” w dostosowywaniu się do warunków zewnętrznych, za to zaczęliśmy się intensywnie ćwiczyć w dostosowywaniu warunków do naszych oczekiwań. To paradoksalnie nas osłabia.

Również nasza z pozoru silna technologicznie cywilizacja staje się coraz słabsza. Im bardziej zaawansowane urządzenia i systemy konstruujemy, tym większe prawdopodobieństwo wystąpienia usterki, która „położy” cały układ. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu

przeciętny człowiek był w stanie przy pomocy stosunkowo prostych narzędzi naprawić każde urządzenie. Dzisiaj potrzebujemy zaawansowanych komputerów, urządzeń diagnozujących czy wyrafinowanej elektroniki, by naprawić to, co się zepsuło. Coraz częściej już w ogóle nie naprawiamy, bo jest to niemożliwe. Warto też zwrócić uwagę na to, że cała ta skomplikowana cywilizacja oparta jest na energii elektrycznej. Gniazdko z prądem stało się naszą kroplówką, bez której nic nie jesteśmy w stanie zrobić. Jeśli z jakiegoś powodu zabraknie prądu, cały ten wyrafinowany układ rozsypie się jak domek z kart. Kiedy przestaną działać komputery i telefony komórkowe, to świat pograży się w niewyobrażalnym chaosie. To jest ten punkt, do którego zbliżamy się wielkimi krokami.

Zatem, jakie jest z tego wyjście? Jeśli pozwolimy, by ten proces dokonał się sam (a wiele na to wskazuje, że tak się stanie) czeka nas prawdziwie dramatyczne przesilenie. Trudno nawet wyobrazić sobie zamęt, jaki powstanie, gdy istniejący układ przekroczy jakiś punkt krytyczny, po którym zjawiska potoczą się lawinowo. Tym krytycznym punktem może być stan środowiska, np. niewydolność ekosystemów, może nim być głęboki kryzys energetyczny lub poważna awaria systemu zasilania, a może kolejny – znacznie głębszy i rozleglejszy – kryzys ekonomiczny. Wiele wskazuje na to, że po tym przesileniu będziemy zmuszeni do powrotu do starych sprawdzonych sposobów życia. Jeśli technologia zawiedzie, trzeba będzie ponownie odwołać się do mądrości naszego ciała i takich kompetencji, które rozwijaliśmy przez tysiące lat procesu ewolucji. Tylko kto potrafi teraz jeszcze z nich korzystać? Kto np. potrafi pójść na łąkę i znaleźć tam coś do jedzenia?

Możliwy jest również inny scenariusz. Zanim nastąpi przesilenie, będziemy w stanie dogadać się co do zmiany, jaka jest konieczna. Co ciekawe, jej kierunek jest podobny do tego, jaki może się zdarzyć, jeśli procesy potoczą się w sposób spontaniczny. Otóż ten nowy świat wcale nie będzie „nowym wspaniałym światem”. Ale z pewnością będzie wystarczająco dobry dla nas, jak i dla Ziemi. Niskoentropowa cywilizacja, bo tak możemy ją nazwać, to taka, która wykorzystuje rozproszoną energię słoneczną. Jej wykorzystanie jest jednak znacznie trudniejsze niż tej – również słonecznej – skoncentrowanej w surowcach tradycyjnych, dlatego też ten nowy świat będzie całkowicie inny niż obecny. To będzie świat małych społeczności o dużym stopniu samowystarczalności, gdzie podstawową wartością będzie praca ludzkich rąk. Wyrafinowane technologie, razem



z wieloma gałęziami przemysłu, odejdą razem ze starym światem, a my będziemy musieli się nauczyć żyć skromniej, oszczędniej i prościej tworząc mniej chaosu w świecie.

Wydaje się, że do takiego świata chcą nas przekonać ekolodzy, szczególnie ci, którzy poddają krytycznej refleksji współczesną cywilizację i sięgają do głębokich przyczyn obecnego stanu rzeczy. Nie chodzi więc o kosmetyczną zmianę, ale o gruntowną przebudowę naszego sposobu myślenia na temat tego, czego naprawdę potrzebujemy i w jaki sposób to osiągnąć. Chodzi o to, by już teraz powściągnąć własne apatyty i samoograniczyć się. Jeśli nie zrobimy tego dobrowolnie, wkrótce sprowokujemy sami taką sytuację, która nas do tego zmusi. Ale wtedy konsekwencje mogą być dużo poważniejsze.

Oczywiście trudno zarządzać globalnymi procesami, można jedynie zrobić coś z własnym życiem. Ktoś może jednak zapytać po co, skoro i tak gwiazdy umierają, cywilizacje się kończą, a nasze jednostkowe istnienie kończy się śmiercią. Z pewnością tak jest, niemniej jednak właśnie to, że istnieje śmierć, nadaje życiu szczególną wartość. Fakt naszej śmiertelności pozwala nam doceniać każdą chwilę, która jest nam dana i skłania nas do tego, by jej nie marnować, tak, jak nie marnujemy drogiego daru. Wiemy, że kiedyś umrzemy, ale ta perspektywa nie sprawia, że przestajemy się o siebie troszczyć, zabiegać o dobrostan i rozwijać swój potencjał.

Każdy z nas ma do przeżycia swoje życie i niezależnie od tego, co stanie się z Ziemią i czy jutro będziemy jeszcze żyć, mamy zrobić najlepszy użytek z tego, co nam pozostało. Co to oznacza? Jakie życie jest pełne i wartościowe?

Niech to pytanie pozostanie z Tobą czytelniku. Niech będzie Twoim przewodnikiem i nauczycielem w każdej chwili. I niech prowadzi cię do takiego świata, w którym, stojąc mocno na ziemi, ze spokojem mówisz: NIE WIEM.

# KLUB MYŚLI EKOLOGICZNEJ

**Klub jest inicjatywą, która ma na celu propagowanie idei ekologicznych oraz prezentowanie osób wcielających te idee w życie.**

Uważamy, że żyjemy w czasach bezprecedensowych zagrożeń dla przyrody i człowieka. Dlatego tak ważną wydaje się potrzeba pogłębionej refleksji nad diagnozą obecnej sytuacji, określeniem przyczyn negatywnych zjawisk oraz poszukiwaniem dróg wyjścia. Potrzebujemy bowiem nowych wizji, odkrywania swoich głębokich związków z przyrodą, rozwijania postaw umiarkowania, pokory i szacunku wobec życia, a także dążenia do równowagi na wielu poziomach egzystencji. W ramach Klubu Myśli Ekologicznej proponujemy spotkania z naukowcami, aktywistami ekologicznymi, działaczami społecznymi, dla których zmiana świata na lepsze jest ważnym motywem działań. Chcemy inspirować, zachęcać do aktywności, wspierać oddolne inicjatywy oraz budować krąg osób, angażujących się w pracę dla przyrody i człowieka.

## **Spotkania Klubu**

odbywają się raz w miesiącu o godz. 17.30  
w Kinoteatrze Rialto w Katowicach, ul. Św. Jana 24  
<http://rialto.katowice.pl>

Organizatorzy:

– prof. UŚ. dr hab. Piotr Skubała

(Wydział Biologii i Ochrony Środowiska, Uniwersytet Śląski)

– dr Ryszard Kulik

(Centrum Szkoleń i Rozwoju Osobistego MERITUM)

Centrum Szkoleń i Rozwoju Osobistego MERITUM jest wiodącą śląską organizacją działającą w obszarze podnoszenia świadomości społecznej i rozwoju zasobów ludzkich z poszanowaniem zasad zrównoważonego rozwoju. Powstało w Katowicach w roku 1999.